

Liliana
Fabisińska

Arbuzowy
sezon



Replika

Fabisińska Liliana

Arbuzowy sezon

Historii miłosnych pisanych z kobiecego punktu widzenia było już mnóstwo. Mnóstwo też było książek o mężczyznach silnych, bezwzględnych, wykorzystujących partnerki, a potem porzucających je bezlitośnie. Ale przecież XXI wiek to wiek mężczyzn wrażliwych, delikatnych, nieśmiałych.

Na jakie upokorzenia może zdecydować się taki mężczyzna, szukając bliskości, uczucia... i pracy? Jak bardzo może cierpieć?

"Arbuzowy sezon" to niezwykła historia miłosna, opowiedana przez mężczyznę. Historia, która zaskakuje najbardziej wtedy, kiedy czytelnikowi wydaje się, że wie już wszystko. W tej powieści dobre kobiety rodzą się o wschodzie słońca, książki zamiast kurzem pachną kredkami świecowymi, a prawdziwych przyjaciół poznaje się po tym, że pędzą przez całe miasto w środku nocy z koronkowym stanikiem w bagażniku.



*Julce za cudowną codzienną przyjaźń
i tysiące SMS-ów,
Marylce za dworzec w Wenecji
i Tomkowi za śniadania, obiady, kolacje
i wszystkie poranki świata.
Tomku! Bez Ciebie nie byłoby tej książki!
I w ogóle bez sensu by było...*

ROZDZIAŁ 1

Perfumy Adeli

Podniosłem rękę i dotknąłem twarzy. Ręka pachniała tobą. Niezwykłą mieszanką zapachów. Był tam zapach oliwki dla niemowląt, której z niewiadomych przyczyn uparcie używasz zamiast kremu. Zapach szamponu z pokrzywy (na opakowaniu napisano, że nic nie zapobiega plątaniu się włosów równie skutecznie jak on, ale burza twoich rudych loczków najwyraźniej o tym nie wie i dlatego daje się poplątać każdemu podmuchowi wiatru). Zapach herbaty malinowej, bez której nie możesz usnąć. No i zapach arbuza. Przede wszystkim on. Arbuz zawsze dominował w tej mieszance aromatów. W końcu twoje perfumy pachną właśnie arbuzem. Kiedy wyjechałaś na staż do Paryża, najbardziej tęskniłem za tym zapachem. Szukałem tych perfum w luksusowych sklepach i w osiedlowych drogeriach. Wszędzie słyszałem to samo: „Nie ma na świecie perfum, w których dominującą nutą byłby arbuz. Niech pan się dowie, jak się nazywają”, radziły ekspedientki. Ha, gdyby to było takie proste! Gdybyś nie uparła się, że nie powinienem tego wiedzieć! Gdybyś nie zamazała ich nazwy czarnym markerem i nie nakleiła karteczki z napisem *Perfumy Adeli* Sama zrobiłaś tę karteczkę, kiedy nie patrzyłem. To było twoje drobne, kanciaste, lekko pochylone pismo.

- Nie chcę pachnieć dla ciebie Armanim, Diorem, Guerlainem - śmiałaś się, odrzucając do tyłu niesforne, poplątane wiatrem włosy. - Chcę pachnieć sobą. Dla ciebie to po prostu Perfumy Adeli, rozumiesz?

Rozumiałem... ale trudno mi było się z tym pogodzić.

Kiedy wróciłaś z tego stażu, ukradkiem zabrałem ko-reczek od tej prostokątnej butelki i poszedłem z nim do największej perfumerii w mieście. Myślałem, że dzięki koreczkowi sprzedawczyni zorientuje się, czego szukam.

Sprzedawczyni zrobiła wielkie oczy.

- To nie jest zakrętka od perfum. To najtańszy plastik, pewnie od jakiegoś płynu do naczyń. Niech pan sprawdzi na tamtej półce, po prawej.

Sprawdziłem. To nie był płyn do naczyń, lecz odżywka do włosów. Ty nigdy nie używałaś odżywki. Wierzysz tylko w szampon pokrzywowy w wielkiej, brązowej butelce z korkową zatyczką. Do dziś nie wiem, skąd wzięłaś tę zakrętkę i dlaczego wymieniłaś na nią oryginalny koreczek od perfum. Zapytałem o to kiedyś, ale odpowiedziałaś z uśmiechem:

- Mówiłam ci już. To Perfumy Adeli. Chcę, żeby tak zostało.

Więc zostało... tak jak chciałaś.

Twoja przyjaciółka, Iza, też uważała, że to, co robisz, jest absurdalne. Zamówiła u znajomego plastyka specjalną butelkę z wygrawerowanym napisem *Perfumy Adeli*. Chciała, żebyś zrozumiała, że to śmieszne. Ale ty byłaś zachwycona, prawie się popłakałaś ze wzruszenia. Od tej pory zawsze przelewałaś perfumy do „najwspanialszego prezentu, jaki dostałaś w życiu”. I natychmiast wyrzucałaś oryginalne opakowanie, wywoziłaś do śmietnika na drugi koniec miasta, żeby go przypadkiem nie zapamiętał.

Nie zapamiętałem. Niestety. A dziś oddałbym wszystko, żeby przez pięć sekund poczuć ten zapach. Twój zapach. Zapach Adeli.

Podniosłem rękę do twarzy. Pachniała tobą. Oliwką, szamponem pokrzywowym, herbata, perfumami, które podobno nie istnieją.

Ten zapach też nie mógł istnieć. Nie było cię w tym domu od ponad pół roku. Nawet twoja szara bluzka - jedyna, której przez nieuwagę nie zabrałaś - przesiąkła już bez reszty dymem z mojej fajki i rybą wonią karmy dla żółwia. W tym domu nic już nie pachniało tobą, od tak dawna. Nic oprócz mojej ręki.

Uszczypnąłem się z całej siły. Siniak został na dwa tygodnie. I jeszcze raz, mocniej, tuż obok. To nie był sen. Moja dłoń naprawdę pachniała tobą. Mocniej niż kiedykolwiek, kiedy tu mieszkałaś.

ROZDZIAŁ 2

Posada

Poznałem twój zapach jeszcze zanim cię zobaczyłem. Dokładnie pamiętam tamten zimowy poranek.

„Skąd ta kobieta wzięła arbuza w środku stycznia?“, pomyślałem, czekając w twoim gabinecie, na fotelu ustawionym tuż przy wielkim biurku, na którym potem kochaliśmy się wiele razy. Wtedy, oczywiście, seks nawet nie przemknął mi przez głowę. Nie spodziewałem się, że pani prezes może być młoda i piękna. Chwilę wcześniej nie spodziewałem się nawet, że prezes może być panią prezes.

- Jestem umówiony z prezesem Cudnym w sprawie pracy - powiedziałem dziewczynie siedzącej w recepcji. Miała obcisłą błękitną bluzeczkę, lekko rozchyłoną tam, gdzie zaczyna się ta rozkoszna szparka między piersiami. Dostrzegłem nawet koronkę stanika. Sam rąbek koronki. Może milimetr, może pół... ale wiedziałem, że jest biała. I bardzo delikatna. Mgiełka, a nie koronka. Ten widok zadziałałby na każdego, nawet na nieboszczyka. Natychmiast dopadła mnie fantazja o tym, co się zdarzy, kiedy już dostanę tę pracę. Chciałem rzucić jakąś dowcipną, delikatną aluzję, ale w tym momencie Patrycja, ta recepcjonistka, powiedziała:

- Jest pan umówiony z panią prezes. Panią prezes Adelą Cudny.

No i, oczywiście, seks natychmiast wywietrzył mi z głowy. Gdybym wiedział, że mam się spotkać z kobietą, ubrałbym się jakoś inaczej! Kobiety lubią błękitne koszule. W ogóle lubią błękit. O, proszę, nawet recepcjonistka ma błękitną bluzkę; pewnie szefowa każe jej nosić wyłącznie ubrania w tym kolorze. Tak, założyłbym granatowy garnitur, błękitną koszulę, krawat, jeden z tych stonowanych, który świadczyłby o moim dobrym guście. No i koniecznie woda po goleniu! Kobiety uwielbiają zapach piżma, mocny i męski. Powinienem pachnieć piżmem, żeby dostać tę pracę. Nie pachniałem. A przecież bardzo zależało mi na tej posadzie. Właściwie była to moja ostatnia deska ratunku. Jeśli nie tu, to chyba już nigdzie! Wszędzie wymagali doświadczenia, a ja go nie miałem. Miałem trzy dyplomy, z trzech różnych kierunków, i rozgrzebany doktorat; znałem najdziwniejsze języki świata, co oczywiście w żadnej firmie nie było potrzebne... no i nie pracowałem ani dnia na etacie.

- Piżmo załatwiłoby sprawę! - mruknąłem do siebie. A potem wszedłem do twojego gabinetu, usiadłem na skórzanym fotelu i poczułem zapach arbuza. Otaczał mnie ze wszystkich stron.

- Arbuz, w połowie stycznia? - chyba znów powiedziałem to na głos. Ot, starokawalerski nawyk. Często mówiłem wtedy do siebie, a mój głos odbijał się od starych ścian wynajmowanego mieszkania i wracał echem. Nie takim pięknym, jak to kaszubskie echo, nasze wspólne... ale wracał.

- Piżmo? Arbuz? Pan przychodzi w sprawie perfum? - roześmiałaś się zza drzwi.

A więc najpierw poczułem twój zapach, potem usłyszałem twój głos, twój śmiech, twoje kroki... a dopiero na samym końcu zobaczyłem ciebie.

I to była ostatnia chwila mojego spokoju. Gdy tylko weszłaś do gabinetu, natychmiast zrozumiałem, że jesteś kobietą, na którą czekałem przez całe moje życie. Sam nie mogłem uwierzyć w pompatyczność słów, które przychodziły mi do głowy. Ja, pragmatyczny do bólu, nagle zaczynam wierzyć w przeznaczenie? I te zdania - zdania, które układały się w moich myślach na twój widok - brzmiały jak z kiepskiej powieści. Pamiętam je dokładnie, aż do dziś. Myślałem wtedy: „To na ciebie czekałem, płacząc wielkimi łzami po dyskotecce dla szóstych klas, kiedy Gosia odeszła spod szkoły za rękę z Kamilem zamiast ze mną. To na ciebie czekałem tamtego poranka na obozie sportowym, kiedy całowałem się po raz pierwszy z przyszłą dziewczyną, której imienia nie pamiętałem już dwa dni później. I tamtej nocy w namiocie, kiedy kochałem się pierwszy raz z Magdą. I wtedy, gdy Magda powiedziała, że chyba do siebie nie pasujemy. To na ciebie czekałem każdej nocy, gdy zasypiałem i budziłem się. Sam i w ramionach innych kobiet". Zawsze czułem, że na coś czekam. Że zdarzy się coś, co odmieni moje życie. Po czterech latach mieszkania pod jednym dachem - wynajętym, ciasnym, ale wspólnym - Beata spakowała swoje rzeczy, krzycząc, że nie zamierza liczyć swoich zmarszczek i siwych włosów, czekając aż się jej oświadczę. I że nie rozumie, na co czekam. Ja też nie rozumiałem. Ale wiedziałem, że to jeszcze nie ta chwila. Nie ta kobieta. Czekałem przez całe życie. I w chwili, kiedy twoje zielone buciki z kokardkami, pasujące raczej do małej baletniczki niż do prezesa wielkiej firmy, zastukały o dębową podłogę, miałem pewność, że oczekiwanie dobiegło końca. Nadszedł czas spełnienia.

- Co pan powiedział? - wyglądałaś na rozbawioną.

Co ja powiedziałem?!? Miałem nadzieję, że nic, co by dotyczyło „czasu spełnienia". Bo jeśli te słowa padłyby głośno, nie miałbym co marzyć o pracy w twojej firmie. A przecież...

- Bardzo potrzebuję tej pracy - szepnąłem szczerze. To nie było zgodne z planem. Obiecywałem sobie, że

będę kompetentny, pewny siebie, spokojny. Mój szept wcale taki nie był. Powiedziałaś potem, że miałem taki głos, jakbym zaraz miał dostać zawału. Ale ty chyba się tym nie przejęłaś. Dręczyłaś mnie dalej.

- Ale pan wspomniał chyba coś o piźmie? Dobrze słyszałam? Myślałam, że pan handluje perfumami. Co chwilę przychodzą tu jacyś akwizytorzy, uciekają się do najdziwniejszych sposobów...

Dopiero wiele tygodni później dowiedziałem się, że zawsze tak robisz, kiedy się z kimś umawiasz i chcesz wyrobić sobie o nim zdanie jeszcze przed spotkaniem: prosisz recepcjonistkę, żeby wprowadziła gościa do gabinetu, i patrzysz przez szparę w drzwiach, jak się zachowuje. Byli tacy, którzy grzebali ci w papierach na biurku, i tacy, którzy przymierzali się do fotela prezesa... Wchodząc, wiedziałaś już, z kim masz do czynienia. Ja podobno wypadłem całkiem nieźle. Gdyby nie to gadanie do siebie...

- Niczym nie handluję - wpatrywałem się w ciebie, nie mogąc uwierzyć, że istniejesz. Ty, kobieta mojego życia, na którą czekałem przez trzydzieści cztery lata. Byłaś tuż obok, na wyciągnięcie dłoni. Na szczęście nie zgłupiałem na tyle, żeby naprawdę wyciągnąć tę dłoń i spróbować cię dotknąć.

- Wezwałabym wtedy ochronę - mówiłaś później.

Ale nie do końca ci wierzyłem... Wtedy nie wiedziałem, że naprawdę możesz zadzwonić po ochronę czy policję, żeby pozbyć się kogoś, kto cię kocha i kogo ty podobno też kochasz. Że nie zawahasz się przed niczym, jeśli ktoś spróbuje pokrzyżować twoje precyzyjne plany.

- Więc co z tym piżmem? - nie ustępowałaś, chociaż widziałaś, jaki jestem speszony. Bawiło cię moje zakłopotanie.

- Piżmo? A tak, właśnie myślałem, że muszę kupić sobie nowy płyn po goleniu. I że powinien pachnieć piżmem - powiedziałem, właściwie zgodnie z prawdą.

- Oryginalny temat do przemyśleń minutę przed spotkaniem w sprawie pracy - wysunęłaś koniuszek języka przed górne zęby. Teraz wiem, że zawsze tak robisz, kiedy się dobrze bawisz. Wtedy uznałem, że to jakiś sygnał... sygnał, że odgadłaś moje myśli. Że już wiesz, że jesteś kobietą mojego życia i że się na to zgadzasz. Że chcesz nią być. Że też na mnie czekałaś - przy wszystkich mężczyznach, przy których zasypiałaś i przy których się budziłaś.

- Bardzo zależy mi na tej pracy - powiedziałem, jednocześnie usiłując zobaczyć, czy masz na palcu obrączkę.

Natychmiast domyśliłaś się, czego szukam wzrokiem, i oczywiście przez resztę spotkania świetnie się bawiłaś, ukrywając prawą dłoń.

Nie mogłem skupić się na rozmowie.

- Chce pan pracować w naszym dziale marketingu? - powiedziałaś, siadając za biurkiem i zakładając nogę na nogę.

- Bardzo chcę - przytaknąłem gorliwie, choć oczywiście to zdanie w całości powinno brzmieć: „Bardzo chcę się z tobą kochać, jedźmy natychmiast do mnie, do ciebie albo do hotelu. Albo zostaliśmy tutaj, to biurko wygląda na takie, które może wiele wytrzymać”.

- Ale pan nic ma żadnego doświadczenia, prawda? - znów ten koniuszek języka wsuwający się między twoje zęby. Między twoje śnieżnobiałe, duże, kwadratowe zęby!

- Mam wiele doświadczeń, niektóre bardzo... bardzo niestandardowe - nadludzkim wysiłkiem powstrzymałem się od powiedzenia: „Magda lubiła eksperymenty. Chciała nawet robić to w trójkącie z jej przyjaciółką. Na to się nie zgodziłem.

Ale mam za sobą różne doświadczenia. Wibrator, seks analny, kajdanki... Zrobię, co zechcesz, tylko daj mi szansę".

- Mam dać panu szansę? - zapytałaś, a ja po raz kolejny zamarłem, przez długą okropną chwilę myśląc, że jednak powiedziałem głośno wszystko, co przyszło mi do głowy. O smarowaniu pupy Magdy masłem, żeby było jak w *Ostatnim tangu w Paryżu*, i o kajdankach z różowego futerka, w które zresztą oblazła cała tapeta nad łóżkiem jej rodziców.

- Proszę dać mi szansę - jęknąłem. - Mam referencje, jestem na pewno najlepiej wyposażonym z kandydatów... wyposażonym w wiedzę, oczywiście. Mam trzy dyplomy, wszystkie z wyróżnieniem.

Przy tym wyposażeniu nie wytrzymałaś i roześmiałaś się, głośno, perliście, odrzucając włosy do tyłu. Nawet jeśli miałbym jeszcze jakieś wątpliwości, pozbyłbym się ich, widząc, jak burza rudych drobnych spiralek delikatnie unosi się, a potem opada na twoje ramiona. Jak można nie kochać takiej kobiety jak ty?!

- Wie pan, prawie mnie pan przekonał - droczyłaś się ze mną paskudnie. - Uważam, że mógłby pan wnieść wiele dobrego w pracę działu marketingu. Ale jego szef nigdy by mi nie darował, że ze wszystkich doskonałych kandydatów wybrałam kogoś bez doświadczenia. Nawet, jeśli jest to ktoś wyjątkowo dobrze wyposażony... w wiedzę i dyplomy...

Ten koniuszek języka, ta króciutka przerwa między słowem „wyposażony” a „w wiedzę”, to znaczące spojrzenie w dół... Udawałaś, że zaglądasz w dokumenty, ale

wiedziałem, że tak naprawdę taksujesz wzrokiem okolice mojego rozporzeczka i to, co się w nim mieściło. Chciałaś zobaczyć, czy to jest duże. Było. Duże jak diabli. Jak chyba nigdy przedtem. Miałem wrażenie, że zaraz pękną mi spodnie. I miałem nadzieję, że z twojego punktu widzenia można uznać to za takie ułożenie marynarki... zagięła się, pofałdowała... Chciałem dostać tę pracę i wiedziałem, że gigantyczna erekcja na widok pani prezes raczej nie pomoże mi w osiągnięciu celu. Rozsądek mówił, że powinienem jakoś to ukryć i skupić się na rozmowie. Poprawiłem marynarkę, założyłem nogę na nogę, niemal wyjąc z bólu, i wziąłem głęboki oddech.

- Może spotkam się osobiście z szefem działu marketingu? - zaproponowałem, najspokojniej jak umiałem.

- Może uda mi się go przekonać moimi... moimi różnymi przymiotami...

Wiedziałem, że zabrzmiało to dwuznacznie. Pod twoimi dużymi, kwadratowymi górnymi jedynekami znów pojawił się koniuszek języka. Zaczerwieniłaś się. Czyżby 1:0 dla mnie?

- Wolałabym, żeby to mnie zapoznał pan bliżej ze swoimi przymiotami - powiedziałaś głosem niższym i bardziej zmysłowym niż do tej pory.

Później - o wiele, wiele później - zapytałem, co sprawiło, że nagle przestałaś udawać oschłą.

- Nikt nigdy nie podniecił się aż tak na mój widok

- powiedziałaś. - Ty prawie dyszałaś z żądz. Podnieciło mnie twoje podniecenie, rozumiesz?

Chyba rozumiałem. Zresztą, wtedy kiedy o tym rozmawialiśmy, to już nie miało znaczenia. A w tej pierwszej chwili, w twoim gabinecie, nie miałem pojęcia, czy ten zmysłowy głos to kolejny test, element gry, czy może sygnał, że powinienem brać się do dzieła. Nie odważyłem się. Ten jeden procent rozsądku, który jeszcze we mnie tkwił, powiedział, że nie powinienem ryzykować. Bo naprawdę

potrzebuję tej pracy. Bo będę w poważnych tarapatach, jeśli jej nie dostanę.

- Moja asystentka właśnie idzie na urlop macierzyński - powiedziałaś, oblizując powoli dolną wargę.

Odwróciłem wzrok. Bałem się, że jeśli tego nie zrobię, wyjdę z twojego gabinetu z mokrą plamą na spodniach. Jak jakiś szczeniak, oglądający film dla dorosłych przez dziurkę od klucza w pokoju rodziców.

- Mam zostać pani sekretarką? - zapytałem, próbując myśleć o borowaniu lewej dolnej siódemki, które czekało mnie za kilka godzin. Nie wiedziałem jeszcze, że nie dojdę tego dnia do dentysty, że całkowicie o nim zapomnę już za kilka chwil.

-Asystentką - sprostowałaś. - A właściwie asystentem. Na pół roku. Mam nadzieję, że nie ma pan żadnych uprzedzeń? Nie uważa pan, że to stanowisko tylko dla bab albo coś w tym stylu? Wyjątkowo nie lubię szowinistów. Kiedy Barbara wróci, przeniesiemy pana do innego działu. Będzie pan już miał doświadczenie, będzie pan wiedział, jak działa nasza firma. Spotkamy się za pół roku i porozmawiamy o tym, co chciałby pan robić. Zgoda?

- Chyba spotkamy się wcześniej? - odważyłem się zażartować. - Skoro mam być pani sekretarką, to chyba będziemy się widywać codziennie, prawda?

Gdybyś odpowiedziała, że nie, chyba bym się rozplakał jak dzieciak. Nie mogłem już bez ciebie żyć. Potrzebowałem cię jak powietrza. To brzmiało potwornie tandetnie. Pachniało harlequinem. Ale było prawdziwe. Najprawdziwsze. I to mówiłem ja? Filolog, językoznawca? O Boże... Przecież na studiach dostałem nagrodę dziekana za tłumaczenie fragmentu *Boskiej Komedii* Wróżono mi wielką karierę. A teraz co? „Potrzebowałem

cię jak powietrza"? To wszystko, na co było mnie stać? Człowieka, który miał się doktoryzować z Petrarcki?

- Będzie mnie pan widywał tysiące razy każdego dnia - wyprężyłaś się jak kot. - Jeszcze się panu znudzę, gwarantuję to panu.

- Nigdy mi się pani nie znudzi! - prawie krzyknąłem, oburzony tym przypuszczeniem. - Nigdy!

- Nie minie pół roku, a nie będzie pan mógł na mnie patrzeć - znów ten twój niski, zmysłowy głos i powłóczyście spojrzenie spod starannie wytuszowanych rzęs. Wtedy oczywiście nie wiedziałem, że są wytuszowane. Pomyślałem tylko, że masz najdłuższe rzęsy na świecie.

Nie miałem siły się z tobą kłócić. Nie wypadało kłócić się z szefową. Chciałem paść na kolana, obsypać pocałunkami twoje stopy i zapewniać cię całymi godzinami, że marzę tylko o tym, żeby patrzeć na ciebie już zawsze, do końca świata.

Nie zrobiłem tego. Zapamiętałem za to zdanie o patrzeniu do końca świata. Jeszcze bardziej tandetne niż poprzednie. Pomyślałem, że gdyby produkowano dyktafony wszczepiane do mózgu - takie, które zapisywałyby strumień świadomości - to bym sobie jeden kupił. Nagrywałbym na niego wszystkie te swoje tandetne myśli i miałbym gotowego harlequina.

i nareszcie skończyłyby się moje problemy finansowe. Książka rozeszłaby się w gigantycznym nakładzie. Kucharki płakałyby jak bobry, czytając o tym, co czuje zakochany do nieprzytomności facet. Musiałbym tylko wykasować ten fragment o erekcji. W powieściach dla kucharek nie mówi się o seksie wprost. Światło gaśnie zawsze wtedy, kiedy trzeba. Dwie sekundy później niż w telenoweli.

To była ostatnia trzeźwa myśl, jaka przebiegła przez mój biedny, rozpalony do białości mózg.

- Zaprowadzę pana do działu kadr, tam omówi pan szczegóły swojego kontraktu. Mam nadzieję, że nie będzie pan stawiał wygórowanych warunków finansowych? Nie stać mnie na zbyt drogich pracowników niższego szczebla, wciąż odczuwamy skutki recesji.

Przybrałaś oficjalny ton. Z twojego głosu zniknęła gdzieś zmysłowość.

- Dla pani mógłbym pracować za darmo - powiedziałem niezbyt roztropnie. Mój rozsądek najwyraźniej dogorywał na łożu śmierci. Próbowałem podłączyć mu kroplówkę, myślałem o elektrowstrząsach... ale w gruncie rzeczy wiedziałem, że to nic nie da. Jego stan był beznadziejny.

-Trzeba będzie zawiadomić rodzinę o zgonie - mruknąłem.

- Słucham? - wyglądałaś na przestraszoną, potem powiedziałaś mi, że naprawdę się przestraszyłaś. - Ktoś panu umarł?

- Nie, przepraszam, to nic takiego... Głośno myślałem, przepraszam bardzo, naprawdę - zrobiłem się chyba czerwony jak burak.

Musiałaś być przerażona tym, że zaoferowałaś posadę wariatowi! Otrząsnęłaś się jednak bardzo szybko. Jak prawdziwa profesjonalistka. A potem powiedziałaś:

- Po wyjściu z działu kadr proszę wpaść do mnie jeszcze na momencik, przedstawię pana Barbarze, mojej asystentce. Wprowadzi pana w obowiązki. Wie pan, rozwiązanie może nastąpić w każdej chwili, wykorzystajmy to, że jest dziś w firmie. Nie wiadomo, co będzie jutro.

- Oczywiście - pokiwałem głową, a ty otworzyłaś drzwi na korytarz, stając dosłownie dziesięć centymetrów ode mnie. Zakreśliło mi się w głowie.

- Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze razem pracowało - uśmiechnęłaś się.

Cholera, znów ten zapach arbuza! Chciałem iść do łazienki, musiałem tam iść. Natychmiast. Wsadzić głowę pod kran z lodowatą wodą, głęboko pooddychać... Serce waliło mi jak młot, spodnie prawie pękały, wybrzuszone tak, że w żaden sposób nie można było zwalić tego na zagiętą marynarkę, w głowie wirowało coraz szybciej. Musiałem iść do łazienki. Dwie minuty i będzie dobrze. Dwie minuty. I mnóstwo zimnej wody.

- Miło mi było pana poznać - powiedziałaś i podałaś mi rękę. Piękną, ciepłą rękę. Prawą rękę. Rękę ze złotą obrączką na palcu.

Poczułem, że świat wokół mnie kręci się w jakimś zawrotnym tempie. A potem zrobiło się całkiem ciemno.

ROZDZIAŁ 3

Zi-Zu

To była zawsze twoja ulubiona historyjka.

- Żadna z was nie zrobiła nigdy na facecie takiego piorunującego wrażenia, jak ja na Adamie! - śmiałaś się do swoich przyjaciółek na jednym z waszych babskich wieczorów. - Był gotów się czołgać, kiedy tylko mnie zobaczył. A gdy podałam mu rękę, zemdłał. Rozumiecie, zemdłał na progu mojego gabinetu!

Wszystkie słyszały już tę historyjkę milion razy. Ale wciąż śmiały się tak, jakbyś opowiadała ją po raz pierwszy.

A ja... ja nie powinienem słyszeć, co mówisz. Miałem wtedy wyjść z domu, jechać do Warszawy. Obiecałem ci, że zostawię was same na cały weekend. A jednak coś nie pozwoliło mi tego zrobić. Co to było? Przeczucie? A może po prostu ciekawość? Ale niby dlaczego akurat wtedy? Przecież byliśmy razem już od dwóch lat. Mieszkaliśmy razem od prawie półtora roku. Było już tyle babskich wieczorów i całych weekendów, kiedy po prostu wychodziłem z domu i nocowałem u Marcina, żebyście mogły gadać do rana. I nigdy, ani przez sekundę, nie przyszło mi do głowy, żeby was podsłuchiwać. Nie uwierzyłaś w to, oczywiście, ale to naprawdę był pierwszy raz. Pierwszy i ostatni. Poczulem nagle, że muszę zostać. Że muszę usłyszeć, co o mnie powiesz. Że to sprawa

życia i śmierci. Byłem tego absolutnie pewny. I dlatego nie wahalem się, nie myślałem, czy powinienem. Wiedziałem, że po prostu muszę to zrobić.

- Oszukałeś mnie! - płakałaś tamtej nocy. - Zawiodłeś moje zaufanie. Jesteś podły.

Nie ośmieliłem się powiedzieć, że ty też jesteś podła i że mnie zawiodłaś i oszukałaś, chyba znacznie bardziej niż ja ciebie.

- Wszystko popsuleś! - krzyknęłaś i zaczęłaś pakować walizkę. - Gdybyś się tak idiotycznie nie zachował, byłoby nam dobrze, tak dobrze jak do tej pory.

- Przecież tobie nie było dobrze. Powiedziałaś to ośmiu koleżankom, stojąc na stołku z kieliszkiem wina, żeby cię lepiej słyszały - zaprotestowałem. - Już od dawna nie było ci dobrze. Chciałaś odejść.

- Było mi bardzo dobrze, nigdy nie chciałam odejść. To ty wszystko popsuleś, a nie ja, skurwysynu! - wrzasnęłaś i zatrzasnęłaś mi przed nosem drzwi do garderoby.

To były twoje ostatnie słowa. Nie próbowałem już dyskutować ani przeproszać. Nie mówiłem, żebyśmy o wszystkim zapomnieli, nie błagałem, żebyś została. Nie przysięgałem, że nie wspomnę ani słowem o tym, co usłyszałem. Już nigdy. I że się zmienię, jeśli tylko dasz mi szansę. Że zrobię, co zechcesz. Nie całowałem twoich stóp. Robiłem to przez siedem godzin. Próbowałem wszystkiego. Obiecywałem, że sprzedamy mój ukochany kaszubski dom, że zamieszkamy razem w wielkim apartamencie w centrum miasta, tak jak chciałaś. Z tarasem na dachu, ochroną i basenem w piwnicy. Obiecywałem złote góry. Poniżałem się, płakałem, błagałem. Przez siedem długich godzin. A potem, kiedy zatrzasnęłaś drzwi, we mnie też coś się zatrzasnęło. Zrozumiałem, że nie ma już nic, co mógłbym powiedzieć. Że użyłem wszystkich argumentów. Że oddałem ci już wszystko,

co miałem. Całego siebie. Że jestem bankrutem. Tak wyglądała właśnie banalna, tandetna prawda. Byłem bankrutem.

A więc siedziałem na podłodze, pod drzwiami garderoby i nawet nie miałem siły płakać. To był koniec. Wiedziałem, że już tego nie zmienię. To był koniec mojego życia. Trwało dwa lata. Wszystko to, co przedtem, było bezwartościowe. Było czekaniem na ciebie. Letargiem. A teraz zaczynał się kolejny, jeszcze gorszy okres. Żałoba po tobie. Po mnie. Żałoba, która potrwa aż do prawdziwej, fizycznej śmierci za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. Śpiączka. Najbardziej bolesna śpiączka świata.

Chciałem umrzeć. Z twojej ręki. Znów zaleciało tanim romanssem, czułem to nawet w tej koszmarniej chwili. Chciałem, żebyś wbiła mi nóż w serce. Tak jak wbiłaś w duszę. Nie ośmieliłem się jednak poprosić, żebyś to zrobiła. Nie powiedziałem już ani jednego słowa. Ty też nie. Wyszłaś z garderoby z walizką, zniosłaś ją na dół. Wróciłaś, wyszłaś z drugą walizką. A potem z torbą. Torba była pusta. Podeszłaś do regału i schowałaś do niej książki. Wśród nich, pewnie przez nieuwagę, moją encyklopedię owadów. Zauważyłem to, ale nie śmiałem zaprotestować. I nie miałem siły. Zresztą, po co mi ta encyklopedia? Przecież trupy nie interesują się chrząszczami? A ja byłem trupem. NA ZAWSZE.

Nie pamiętam kolejnych dni. Nie wiem, ile ich minęło. Nigdy nie zapytałem o to Jacka i Marcina. Byłem trupem, a trupy nie patrzą na zegarek ani nie korzystają z kalendarza.

Kiedy wyszłaś z domu, ja też wyszedłem, bardzo spokojnie. Szedłem z plecakiem po śladach twojego samochodu. Cztery kilometry, do sklepu. „Nasz osiedlowy sklepik, tylko godzinę marszu od domu”, mówiliśmy

zawsze żartobliwie. Tym razem nie było mi do śmiechu. Do dziś nie wiem, jakim cudem przeszedłem te cztery kilometry, wydobyłem z siebie głos, prosząc o tyle wódki, ile zmieści się do plecaka, i o dziesięć kartonów papierosów. Rzuciłem banknoty na ladę, chyba o wiele za dużo. Pamiętam, że właściciel sklepu, pan Stanisław, najpierw pytał, czy szykuje imprezę, a potem coś do mnie krzyczał, kiedy już wyszedłem. Chyba właśnie o tych banknotach. Nie słuchałem go. Trupy nie potrzebują pieniędzy.

Drogi do domu właściwie nie pamiętam. Natychmiast po wyjściu ze sklepu wyjąłem z plecaka pierwszą butelkę i odkręciłem, nie zwalniając kroku. Miałem tyle rozumu, żeby nie pić zbyt szybko. Nie chciałem zasnąć na poboczu w taki mróz. Chciałem się zapić na śmierć, ale w domu. Przy piecu.

Nie zdążyłem jednak dołożyć drewna do pieca. Nie doszedłem nawet do pokoju. Usiadłem z plecakiem na podłodze, tuż przy drzwiach, w małym pomieszczeniu, które ja nazywałem sienią, ty - wiatrołapem, a twoje przyjaciółki - przedpokojem. Tak myślę, że tam usiadłem po powrocie ze sklepu. Bo tam właśnie siedziałem dwa dni później i trzy dni później... w tych krótkich, nieprzyjemnych chwilach świadomości, zanim udało mi się otworzyć kolejną butelkę i przyłożyć szyjkę do ust. Byłem w sieni, na podłodze. Wciąż w kurtce i długich zimowych butach. Było mi ciepło, tak jak chciałem. Chwilami nawet bardzo ciepło. Do łazienki nie chodziłem, była za daleko. Urządziłem sobie całkiem wygodną ubikację na schodku tuż za drzwiami. Kiedy potem zobaczyłem, jak to wyglądało... O Boże! Nawet kłoszardzi nie robią takich rzeczy. Ja robiłem.

Przez cały ten czas spędzony w sieni byłem na siebie zły, że nie umieram. Chciałem przecież zapić się na

śmierć - widziałem to kiedyś w filmie. Jak zwykle jednak zrobienie naprawdę czegoś, co widziało się w filmie, było o wiele trudniejsze, niż to z tego filmu wynikało. Więc nie umierałem, chociaż bardzo chciałem. Nic nie jadłem, w nadziei, że to przyspieszy moją śmierć. Ale to nie wystarczało. Musiałbym tam siedzieć jeszcze z pięć tygodni... albo z sześć... Nie da się umrzeć z głodu w kilka dni!

W jednym z tych przebłysków świadomości pomyślałem, że powinienem rozbić butelkę i podciąć sobie żyły kawałkiem szkła. Ale to było za trudne. Wymagało za dużego wysiłku i precyzji. Ja umiałem tylko odkręcać butelki i wlewać ich zawartość do ust. Wlewałem dwie, czasami trzy na dobę. Tak przynajmniej wynikało z rachunku, który przeprowadzili Marcin z Jackiem, kiedy mnie tu znaleźli. Policzyli butelki, wyciągnęli ze mnie informację o tym, kiedy odeszłaś, no i mieli jasność: dwie do trzech butelek na dobę. Oprócz tej ostatniej, której nie mogłem otworzyć. W żaden sposób. Nie dała się odkręcić. Może nie miałem zbyt wiele siły, ale inne przecież odkręcałem, a tę wciąż odkładałem na bok. Tyle, że innych było coraz mniej. Wiedziałem, że muszę znaleźć jakiś sposób na oporną butelkę. Waliłem nią w ścianę i w wystający z futryny drzwi gwóźdź. Chciałem zrobić nim dziurę w nakrętce. W końcu nie była to nakrętka ze stali, z której produkuje się czołgi, powinno się udać. Jednak się nie udawało. A ja nie miałem już co pić.

- Chce mi się pić - jęczałem podobno, kiedy mnie znaleźli.

Nic dziwnego. Nie piłem przez te wszystkie dni nic oprócz wódki i odrobiny wody. Były dwie butelki, ja zużyłem może półtorej. Stały w sieni. Dwie butelki mineralnej, mocno gazowanej. Pijesz tylko taką, wariujesz.

jak nie ma jej w domu. Te dwie butelki kupiłaś pewnie tuż przed babskim wieczorem, postawiłaś za wieszakiem i natychmiast o nich zapomniałaś, zajęta robieniem kanapek. Całą resztę przygotowałem ja, jak zwykle. Sałatki. Faszzerowane pieczarki, które miałaś tylko wstawić na moment do piekarnika, gdy będziecie już w komplecie. Koreczki, które uwielbia Iza. Dipy do surowych warzyw (bo Greta, odchudzająca się od kiedy ją znasz, nie jada nic oprócz surowych warzyw - wy jadłyście je dla towarzystwa, żeby nie czuła się osamotniona, ale musiałyście mieć dipy, żeby nie było „tak całkiem dietetycznie”). Jak zwykle przygotowałem ci całe przyjęcie. W kuchni zostały z niego niezwykle apetyczne resztki. To znaczy pewnie były apetyczne, kiedy wróciłem z plecakiem ze sklepu. Kiedy znaleźli mnie Marcin i Jacek, resztki były już śmierdzące i lekko zielone. Lekko, bo w całym domu było przeraźliwie zimno. W piecu oczywiście dawno wygasło. Marcin rozpałił w nim, gdy tylko weszli, i od razu zadzwonił po jakąś Rosjankę czy Ukrainkę, żeby posprzątała ten bałagan. Jacek w tym czasie wylał mi na głowę najpierw to, co było jeszcze w butelce tej twojej mineralnej gazowanej, a potem wiadro lodowatej wody ze studni.

- Nie mogłeś z kranu? - pytałem wściekły, gdy trochę doszedłem do siebie. - Byłaby cieplejsza...

- Chodziło o to, żeby była zimniej sza - roześmiał się Jacek tym swoim leciutko świszczącym śmiechem, jak to on. Pamiętasz jeszcze, jak on się śmieje? Minęło już tyle czasu...

- Zimniejsza mogłaby być, ale nie mrożona - protestowałem, usiłując wstać.

- W kranie jest znacznie bardziej mrożona, uwierz mi - wyjaśnił Marcin. - Rury zamarzły, wczoraj w nocy był rekordowy mróz. Prawie czterdzieści stopni. Pokazywa-

li w telewizji, co się tu u was na Kaszubach dzieje. Musieliśmy przyjechać i sprawdzić, czy nic ci nie jest. Nie odbierałeś komórki...

- Nigdy nie odbieram komórki - wybełkotałem.

- Ale zawsze oddzwoniasz - Jacek miał rację. Wiem, ten mój zwyczaj doprowadzał cię do szału.

Mówiłaś, że nigdy nic nie osiągnę, jeśli nie będę dyspozycyjny. To znaczy, jeśli nie będę odbierał telefonu o każdej porze dnia i nocy. Bo przecież to może być właśnie wiadomość, na którą czekam. Ta, która całkowicie zmieni moje życie.

- Już odebrałem taką wiadomość - odpowiadałem ci zawsze.

- Od Patrycji, twojej recepcjonistki, kiedy zapraszała mnie na spotkanie z prezesem Cudnym. To znaczy, z panią prezes Cudny... Ten telefon zmienił moje życie, nie potrzebuję więcej zmian.

Oprawiłem nawet w ramkę swoją notatkę z tamtego dnia. Wisi nad kuchennym blatem, przy oknie. Kilka słów nabazgranych na pogniecionym kuponie totolotka, z plamą tłuszczu w lewym rogu. Pamiętam jak dziś, że kiedy zadzwonił telefon, stałem nago w kuchni i smażyłem sobie na śniadanie jajecznicę z cebulką, moją ulubioną. Jadłem ją wtedy ostatni raz, ty nie znosisz przecież zapachu cebuli. I nie można jej kroić, kiedy jesteś w domu, bo natychmiast płaczesz, nawet jeśli zamknie się drzwi do kuchni i uszczelni je od dołu ręcznikiem.

- Dzwonię z wydawnictwa Zi-Zu - powiedziała wtedy Patrycja. Oczywiście nie wiedziałem jeszcze, że ma na imię Patrycja. I że zawsze kokietuje interesantów wystającym spod bluzeczki rąbkiem koronkowego, niemal przezroczystego stanika.

- Wydawnictwo Zizou? - zdziwiłem się. - W jakiej sprawie?

- Składał pan swoje dokumenty w agencji pośrednictwa pracy - mówiła recepcjonistka. - Jesteśmy zainteresowani pana kandydaturą. Prezes Cudny chce się spotkać z panem jutro o dwunastej. Czy ta godzina panu odpowiada?

Odpowiadałaby mi każda pora, nawet środek nocy. Zwłaszcza środek nocy, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, że jesteś taką cudną kobietą!

Wydawnictwo Zizou... Nie mogłem znaleźć was w Internecie. Wszystko dlatego, że źle wpisywałem nazwę. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem także o tym.

- Jeśli czegoś nie ma w Internecie, to znaczy, że nie istnieje - powiedział mi Jacek. - To musi być jakaś szemrana firma, ty lepiej uważaj.

Ja jednak nie zamierzałem uważać. Byłem zachwycony. Po pierwsze dlatego, że gotów byłem pracować nawet dla mafii wołomińskiej, byle tylko wreszcie spłacić rosnące z każdą chwilą długi. A po drugie... czy to możliwe, że zaoferowano mi pracę w wydawnictwie, które zajmuje się piłką nożną? Oczyma wyobraźni zobaczyłem piękne albumy z czarno-białymi i sepiowymi zdjęciami z pierwszego mundialu, portrety piłkarzy, wywiad rzekę z sędzią Colliną, pamiętniki Pelego... Gdybym naprawdę dostał taką pracę, Jacek i Marcin chyba umarliby z zazdrości. Całe dni grzebania w materiałach o futbolu, szukanie w Internecie życiorysów najslawniejszych bramkarzy wszechczasów, może nawet służbowe wycieczki na mistrzostwa Europy... Ot, taka delegacja w celu zebrania dokumentacji i nawiązania kontaktów. Obecność obowiązkowa.

- Nie miałam pojęcia, że jest jakiś piłkarz, który nazywa się Zi-Zu - roześmiałaś się, kiedy ci o tym powiedziałem po prawie dziesięciu miesiącach, zupełnie przypadkowo. - Co za pomysł, wydawnictwo futbolowe! Ta nazwa pochodzi od imion moich rodziców. Zuzanna i Zygmunt.

- Powinno więc być Zy-Zu - powiedziałem. I natychmiast zrozumiałem, że to kiepski pomysł. Wyglądałoby to przecież znacznie gorzej. Nawet brzmiałoby gorzej. Jakoś tak... po polsku. A Zi-Zu kojarzyło się troszkę z Azją albo inną egzotyką. Tak, to była świetna nazwa dla wydawnictwa. Intrygująca.

- A skoro facetom kojarzy się z piłkarzem, to nawet lepiej - powiedziałaś, przemyślawszy sprawę. - Skąd on jest? Z Albanii?

- Z Algierii - poprawiłem cię. - A tak naprawdę z Marsylii. Syn biednych emigrantów.

- Nigdy o nim nie słyszałam, ale skoro to syn biednych emigrantów, to na pewno jest to bardzo piękna historia - zachwyciłaś się. - Od pucybuta do milionera... Chyba powinniśmy wydać jego biografię! I to natychmiast, zanim ten cały Zyden, czy jak mu tam, odejdzie w niepamięć. Piłkarze chyba szybko kończą karierę?

Teraz mógłbym ci powiedzieć, że w przypadku Zidane'a koniec kariery nie oznacza wcale odejścia w niepamięć. Nie po tym, co stało się na ostatnim mundialu. No ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. To było przed mundialem i słynnym starciem z Materazzim. Więc nie powiedziałem ani słowa i po prostu poszedłem do domu. A potem przez całą noc wyszukiwałem dla ciebie informacje o tym, jak nazywała się uboga dzielnica Marsylii, gdzie urodził się Zidane (Castellane), kim był jego ojciec (magazynierem), a kim matka (gospodynią domową, wychowującą piątkę dzieci), co oznacza jego imię Zinedine (piękno walki), ile miał lat, kiedy zaczął kopać piłkę (osiem), dlaczego trenował judo (żeby bronić się przed atakującymi go rasistami z lepszych dzielnic), jak

ma na imię jego śliczna żona, była tancerka (Véronique) i z jakiego pochodzi kraju (z Hiszpanii), na cześć jego najmłodszy syn został nazwany Enzo (na cześć urugwajskiego piłkarza z Marsylii Enza Francescoliego)... Do rana wiedziałem o Zizou prawie wszystko. Mógłbym startować w Wielkiej Grze, gdyby było wydanie wyłącznie na temat tego piłkarza.

- Przykładowy mąż i ojciec, nie zwracający uwagi na szalejące fanki - byłaś wniebowzięta. - Musimy kupić prawa do tej historii. Załatw to.

- Prawa do jego życia? - roześmiałem się. - Czy do jakiejś konkretnej biografii? Bo wydano ich pewnie kilkadziesiąt.

- Znajdź najlepszą i kup do niej prawa - zażądałaś. Zrobiłem to. W dwanaście godzin.

I tym sposobem, dzięki mojej ukochanej piłce nożnej i półanalfabecie milionerowi, przestałem być sekretarką. Skończył się najokropniejszy i najpiękniejszy okres mojego życia.

ROZDZIAŁ 4

Nieudacznicy

- Szefowa cię molestuje, ciągnie cię do łóżka. Raz cię nawet związała, sam mówiłeś. Mógłbyś ją podać do sądu! To jest mobbing! W Stanach daliby ci milion albo dwa miliony odszkodowania, pojechalibyśmy za tę kasę we trzech w podróż dookoła świata - śmiał się wiele razy Jacek.

Przyganiał kocioł garnkowi. Wszyscy trzej byliśmy zaprzeczeniem słowa męskość. Nie zrobiliśmy karier, które przepowiadał nasz wychowawca pan Makak, wręczając nam świadectwa maturalne. Nie zbudowaliśmy domów, nie spłodziliśmy synów, nie posadziliśmy drzew. Byliśmy facetami po trzydziestce i - co tu ukrywać - nie dało się nazwać nas inaczej niż życiowi nieudacznicy. No bo co niby osiągnęliśmy?

- Skończyliśmy studia, i to naprawdę dobre studia. - Marcin po kolejnym piwie przeżył dumnie wątlą pierś.

Ze swoich ciał też nie mogliśmy być dumni. Jacek co roku przybierał zimą na wadze co najmniej pięć kilogramów. To znaczy, trzy lata temu przybrał siedem, dwa lata temu - pięć, rok temu - sześć i pół. Danych z tego roku nie mieliśmy. Podziałka na wadze kończyła się na stu dwudziestu kilogramach.

- Idź do zoo, tam mają wagę dla słoni i nosorożców, na pewno ci chętnie udostępnią - ryczeliśmy ze

śmiechu, niezbyt kulturalnie, otwierając kolejną puszkę Lecha.

A Jacek nabzdyczał się, gdy to słyszał, jak indor w gospodarstwie pani Zduchniak. Wtedy oczywiście nie miałem jeszcze pojęcia o istnieniu pani Zduchniak. Ani o istnieniu Chmarek, kaszubskiej wsi na końcu świata, w której miałem już wkrótce znaleźć swój raj i swoje piekło.

- Wolę być gruby, niż wyglądać jak zabiedzona nasza szkapa, tak jak ty - Jacek wbijał palec wskazujący w zapadniętą klatkę piersiową Marcina. - Ja przynajmniej przeżyję bez problemu, jeśli porwą mnie terroryści. Mogą mnie trzymać dwa tygodnie w piwnicy, nie ma sprawy. Będę czerpać z zapasów. A ty nie masz żadnych zapasów, ani grama!

- A po co terrorystom taka góra tłuszczu? - mruknąłem znad kolejnej puszki piwa.

- W piwnicy zwykle jest mnóstwo weków. Upasłbyś się jeszcze bardziej, wyżerając cudze zapasy zamiast własnej tkanki tłuszczowej - odparował Marcin.

Chciałem zapytać jeszcze raz, po co terroryści mieliby więzić akurat Jacka, i to w piwnicy pełnej apetycznych przetworów w słoikach, ale wolałem się nie odzywać. Wiedziałem, że jeśli spróbuję wtrącić się w tę rozmowę, Jacek i Marcin natychmiast przestaną spierać się o tkankę tłuszczową i z radością zaczną kpić z moich włosów. A raczej z ich braku.

- Nie jesteś wcale łysy - pocieszałaś mnie zawsze, kiedy o tym wspominałem. - Masz tylko zakola, charakterystyczne dla osób o wybitnym intelekcie.

Cóż, to były bardzo duże zakola. Z każdym miesiącem coraz większe.

A ja, w miarę jak się powiększały, czułem się coraz bardziej beznadziejnie. Nie dość, że nie miałem pracy...

że nie skończyłem pisać doktoratu, a nawet na serio nie zacząłem tego pisania... że nie miałem żony, dzieci ani nawet własnego mieszkania, choćby najmniejszego... że nie miałem samochodu ani nawet roweru... ani żadnych innych sukcesów, na żadnym polu - no to jeszcze w dodatku zaczynałem wyglądać starzej niż moi rówieśnicy.

- Pewnie przed czterdziestką będę łysy jak kolano - wzdychałem, gdy siedzieliśmy z chłopakami przy piwie.

- Niektórzy mówią, że z przodu łysieje się od myślenia, z tyłu od rozpusty - docinał mi Jacek.

- To w takim razie ty wyłysiejesz całkowicie. Od myślenia o rozpuszcie! - odparowałem mu.

- A ja będę za rok albo dwa siwy jak gołąb - Marcin skubał się długimi, kościstymi palcami po swojej gęstej czuprynie.

Faktycznie, jak się człowiek w nią dobrze wpatrzył, to mógł znaleźć jeden albo dwa białe włosy. Do gołębia jednak wciąż było mu dość daleko.

- To genetyczne - mówiłaś. - I on o tym wie. Jego ojciec jest siwiuteńki. Pamiętasz, jak Marcin pokazywał nam albumy ze zdjęciami z dzieciństwa? Myśleliśmy, że to jego dziadek. Już wtedy miał całkiem białe włosy. I jego wujek, brat ojca...

- Skąd wiesz, jakie włosy miał wujek Marcina trzydzieści cztery czy trzydzieści pięć lat temu? - zdziwiłem się.

- No przecież też był na tych zdjęciach. Jest chrzestnym Marcina, nie pamiętasz?

Nie pamiętałem. Zrobiło mi się głupio. W końcu Marcin to mój najlepszy przyjaciel. Jeden z dwóch najlepszych przyjaciół. Nasz wychowawca zawsze mówił o nas „trzej muszkietierowie”. Byliśmy nierozłączni. Powinniśmy więc chyba wiedzieć o sobie takie rzeczy. To

znaczy ja powinienem wiedzieć takie rzeczy o Marcinie i Jacku. A nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, kim są ich rodzice chrzestni. A ty to wiedziałaś.

- Ale o chrzestnych Jacka nic nie wiesz, prawda?

- zapytałem, żeby jakoś podnieść się na duchu.

- Nic oprócz tego, że jego chrzestna ma na imię Józefina i mieszka w Meksyku. Wyjechała tam, kiedy Jacek miał dwa latka. Nigdy potem się nie widzieli. A jego chrzestny umarł tydzień po chrzcinach. Zawał. To był wujek Michał, ukochany brat jego mamy. Naprawdę tego nie wiedziałaś?

Może i wiedziałem. Kiedyś. Wieki temu. W pierwszej klasie. Przez jakieś pół minuty, zanim wymazałem z pamięci te opowieści. Miałem nadzieję, że Jacek i Marcin też nic nie wiedzą o moich chrzestnych. Nie odważyłem się jednak zapytać żadnego z nich. Było mi dostatecznie głupio, że ty znałaś takie historie, a ja nie.

- Nie martw się, mózg kobiety działa inaczej niż mózg faceta - pocieszałaś mnie, siedząc mi na kolanach i przeczesując różowymi paznokciami moje włosy (te, które ocalały i nie zamieniły się jeszcze w inteligenckie zakola).

Mózg kobiety... Tak, widziałem na twojej półce książkę *Płeć mózgu*. Namawiałaś mnie, żebym ją przeczytał. Podobno wiele by mi wyjaśniła.

Wiele? Być może. Ale na pewno nie to, dlaczego ja byłem sekretarką, Marcin - niańką do dziecka, a Jacek

- ekspedientką.

- On jest sprzedawcą, to świetny zawód - broniłaś go zawsze, kiedy się z niego z Marcinem nabijaliśmy. - To profesja z tradycjami. Subiekt, powiernik klientów... Trochę jak barman. Być sprzedawcą to żaden wstyd!

A więc Jacek był sprzedawcą. Sprzedawcą, nie sprzedawczynią. Przynajmniej dopóki nie przyszła jego szefowa i nie powiedziała:

- Musi pan być delikatny, miękki, subtelny, tak jak kobieta. Sprzedawanie bielizny to kobiece zajęcie. Musi się pan wczuwać w sytuację pań, które mają rozstępy, wydęty brzuch, obwisłe pośladki, piersi, które straciły kształt po wykarmieniu bliźniąt. Musi pan zostać ich przyjaciółką. Wysłuchać i znaleźć na półce rozwiązanie ich problemów. Rozumie pan? Ma się pan zachowywać jak najlepsza koleżanka, a nie jak potencjalny kochanek. Kochankowi żadna kobieta nie opowie o swoich rozstępach. Boże, dlaczego ja tu pana w ogóle zatrudniłam, przecież to nie jest zajęcie dla mężczyzny?!

Wszyscy oczywiście wiedzieliśmy, dlaczego go zatrudniła. Bo tak chciałaś ty. Poprosiłaś ją, żeby dała Jackowi pracę. A ona miała u ciebie dług wdzięczności. Nie pamiętam już, jaki dług. Pamiętam za to, że nie mogła ci odmówić. Gdyby miała warsztat samochodowy, dałaby mu pracę mechanika. Gdyby miała, jak ty wydawnictwo, zatrudniłaby go w dziale technicznym. Ale miała sieć sklepów z bielizną. A więc Jacek został sprzedawczynią. Powiernicą klientek. I był ci naprawdę wdzięczny. W końcu miał przez ten swój doktorat i przez swoją Ewkę jeszcze większe długi niż ja.

- Nie mogłabyś zatrudnić go u siebie, w Zi-Zu? Już lepiej byłoby, żeby był gońcem! Jest gruby, ale wytrzymały. Może zasuwać cały dzień, nadawałby się, naprawdę. Załatw to - poprosiłem kiedyś, wstrząśnięty po odwiedzinach u niego w sklepie. Biegał między tymi półkami z przyklejonym uśmiechem, mrugał rzęsami, kręcił swoim tłustym tyłkiem... Naprawdę bałem się, że ta praca wypaczy mu charakter. Że niedługo na widok kobiety w seksownym gorseciku powie tylko: „Produkt włoski, rozmiar 75C, osiemdziesiąt procent poliestru, wstawka usztywniająca, kolekcja ubiegłoroczna, przeceniona o połowę od dwudziestego marca”. Nie chciałem

doczekać takiej chwili! Musiałem ratować przyjaciela. Musiałem przynajmniej spróbować.

- Nie zatrudniam znajomych - odpowiedziałaś lodowatym tonem. - To wbrew regułom.

- Jesteś prezesem - przypomniałem ci. - To ty ustalasz reguły.

Nie spodobało ci się to, co powiedziałem. Wyszłaś z pokoju i nie odzywałaś się do mnie chyba przez godzinę. A potem powiedziałaś:

-Nigdy więcej nie proś mnie o coś takiego. Od reguł nie ma odstępstw. Nigdy ich nie robię. Ty jesteś jedynym wyjątkiem. I nie pozwól mi nigdy tego żałować.

Obiecałem, że nigdy nie pożałujesz. Że będę wyjątkiem w twoim życiu, a ty w moim, już na wieki. Padłem na kolana i chciałem pocałować cię w stopę. Zawsze lubiłaś, jak pieściłem twoje stopy, ale tym razem odsunęłaś się i znowu wyszłaś z pokoju.

- Nie sprowadzaj wszystkiego do seksu. To takie męskie - powiedziałaś w drzwiach.

Zrozumiałem, że chyba naprawdę powinienem przeczytać tę *Płeć mózgu*. I przeczytałem. A potem *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*. I z siedemnaście innych poradników. Ale w żadnym nie znalazłem wyjaśnienia, dlaczego wstydzisz się tego, że lubisz seks i zawsze po fakcie udajesz, że to ja chciałem się z tobą kochać. Nawet wtedy, kiedy przywiązałaś mnie do rury w firmowej łazience, gdy wszyscy wyszli już z biura, i pieściłaś mnie aż do świtu. A kiedy skończyłaś, powiedziałaś:

- Ależ z ciebie samiec.

Ze mnie? Samiec? Bezbronny, wykończony samiec, przytwierdzony do rury twoimi rajstopami? No cóż' skoro chciałaś tak myśleć... Ale nie wiem, co to miało wspólnego z pracą Jacka.

- Lubię tę pracę - powtarzał mi wiele razy.

A ja mu wierzyłem. I to było chyba najgorsze. Że każdy z nas w gruncie rzeczy lubił swoją pracę. Ja lubiłem być twoją sekretarką, i to może było jeszcze najbardziej zrozumiałe. Bo przecież dzięki temu mogłem być bliżej ciebie. Mojej drugiej połówki. Mojego powietrza. Mojego świata. Nie parzyłem kawy jakiejś pierwszej lepszej pani prezes, ale kobiecie, którą chciałem poślubić i mieć z nią dzieci.

- Nie wspominaj już o tym. Nigdy, rozumiesz? - zażądałaś, kiedy pogładziłem twój brzuch i powiedziałem, że pewnego dnia będzie w nim mieszkać nasz syn lub córka.

Nie rozumiałem... i dlatego wspomniałem jeszcze raz, krótko przed tym babskim wieczorem z faszerowanymi pieczarkami. Wpadłaś wtedy w furję.

- Jeśli jeszcze raz powiesz coś o ślubie i o dzieciach, odejść i więcej mnie nie zobaczysz - krzyczałaś.

Odeszłaś i więcej cię nie zobaczyłem. Chociaż już nie próbowałem prosić cię o rękę. No ale jednak, mimo wszystko, to, że uwielbiałem pracę sekretarki przepięknej pani prezes było niemal zrozumiałe. Ale zachwyty Jacka podającego przez osiem godzin dziennie obciskające figi i staniki push-up jakimś grubym babom? I Marcina, zajmującego się czteroletnim Kubusiem? Czy to było normalne? Czy tak powinni żyć mężczyźni dwudziestego pierwszego wieku? Wykształceni, w miarę inteligentni, w miarę przystojni mężczyźni z dużego europejskiego miasta? Chyba nie. Coś tu wyraźnie nie grało...

- Może to wina pana Makaka? - powiedział kiedyś Jacek.

Makaka? Naszego wychowawcy? Ale niby dlaczego? Przecież to był najlepszy nauczyciel w naszym liceum, mieliśmy dziki fart, że na niego trafiliśmy... Nie

można winić pedagoga z wielkim sercem i jeszcze większym doświadczeniem za to, że jesteśmy życiowymi nieudacznikami.

- Może on, no wiecie, zrobił z nas pedziów? - zastanawiał się dalej Jacek. - Nie prawdziwych pedziów, ale takich facetów bez jaj. Może to jego wina, że nic nam nie wychodzi?

Wyśmialiśmy go, i ja, i Marcin. To, że mieliśmy takie idiotyczne posady było po pierwsze chwilowe, a po drugie... po drugie... to było...

- To jest kompletnie bez znaczenia i o niczym nie świadczy - powiedział Marcin.

- To prawda. Praca jak każda inna, należy się cieszyć, że w ogóle coś mamy - pokiwał głową Jacek, po chwili zastanowienia.

- W tych czasach... - mruknąłem. - Masz rację. Za długo nie mieliśmy pracy, żeby teraz wybrzydzać.

Tak, powinniśmy się cieszyć. To było chwilowe i bez znaczenia. Wiedziałem o tym, kiedy rozmawialiśmy na balkonie w mieszkaniu rodziców Jacka (będącym chwilowo również jego mieszkaniem), i wiedziałem, kiedy siedziałem sam za biurkiem wciśniętym między palmę a drzwi i słuchałem, jak zamawiasz u mnie przez interkom jeszcze jedną kawę. Praca o niczym nie świadczy, a my jeszcze pokażemy światu, na co nas stać. Jasne. Tylko... tylko dlaczego musimy tak długo na to czekać?

- Dlaczego ty, Iza, wszystkie twoje przyjaciółki, już osiągnęłyście sukces, a my trzej jeszcze nie? - zapytałem kiedyś przy śniadaniu, które jedliśmy na naszym drewnianym tarasie, pod który podpływały łabędzie z młodymi. - I tylu moich kumpli też nie? Dlaczego teraz facetom jest jakoś trudniej? Trudniej niż kiedykolwiek? Dlaczego nadeszły takie idiotyczne czasy dla mężczyzn?

- Szukasz usprawiedliwienia - mruknełaś, z grzanką z miodem w ustach. - Przeczytaj *Płeć mózgu*, a wszystko zrozumiesz.

Nie ośmieliłem się powiedzieć, że już przeczytałem. Dwa razy. I dalej nic nie rozumiałem. Bo przecież Jacek zasługiwał na sukces znacznie bardziej niż ta twoja anorektyczka Greta. A jednak ona była radcą prawnym w międzynarodowym koncernie kosmetycznym, a Jacek, który też skończył prawo... Jacek mógł co najwyżej marzyć o tym, żeby kupiła u niego biustonosz. Ale i tak nie miał szans, żeby to marzenie się spełniło. Greta kupowała przecież bieliznę tylko w Paryżu i Mediolanie, gdzie latała co dwa tygodnie. Oczywiście klasą biznes. Oczywiście służbowo.

ROZDZIAŁ 5

Upadek

Nieważne, kim byli moi przyjaciele. Nieudacznikami, facetami bez jaj, za chudymi, za grubymi, zbyt szybko siwiejącymi genetycznie... byli przede wszystkim moimi przyjaciółmi. I uratowali mi życie.

- Nie wiem, co by się stało, gdybyście mnie nie znaleźli w tej sieni - mówiłem.

A oni mówili, oczywiście,- że nic by się nie stało. Skończyłaby mi się wódka i musiałbym wstać, wytrzeźwieć, wyjść z domu. A więc zrobić to samo, co zrobiłem, kiedy oni przyjechali.

Aleja wiedziałem, że wyszedłbym z domu tylko po to, żeby kupić kolejne butelki.

- I tak kupiłeś, kiedy wyjechaliśmy - śmiał się Jacek.

No tak, niby racja... Ale to było trzy dni później. Trzy dni, które spędzili na próbach przywrócenia mnie do życia. Zachowywali się świetnie.

- Zachowywaliście się jak płaczliwe baby - orzekł Jacek. - Dobrze, że nie widziała nas żadna kobieta. Bylibyśmy skończeni.

Jak płaczliwe baby? Na pewno byś się wzruszyła, widząc jak się mną zajmowali. To znaczy: wzruszyłabyś się kiedyś. Kiedy mnie jeszcze kochałaś. O ile kiedykolwiek mnie kochałaś...

Przynieśli ze studni cztery wiadra wody, zagotowali ją na kuchence, a potem...

- Do wanny z nim - zarządził Marcin. Jego głos dobiegał do mnie jak przez mgłę.

Usiłowałem się wyrywać. Do czego to podobne, żeby kumple zdejmowali ze mnie spodnie, a potem majtki?! Nie miałem jednak szans. Ja byłem jeden, ich dwóch. A przede wszystkim: ja byłem pijany jak bela, a oni nie. Musiałem więc poddać się ich rękom, pozwolić się rozebrać i umyć gąbką, miejsce przy miejscu.

- Tyłek ja sam! - jęczałem, kiedy Jacek wdzierał się między moje pośladki. - Ja sam!

Oni jednak nie słuchali. Dopiero potem powiedzieli mi, że było im niedobrze, kiedy zobaczyli moje slipki... i mój tyłek, o który tak walczyłem. W końcu w moim wychodku na schodach, z którego korzystałem przez ponad tydzień, nie było takiego luksusu jak papier toaletowy. A ja, mimo że nic nie jadłem, wciąż jakimś cudem miałem co wydalać.

- Czytałem w książkach o takich facetach jak ty, którzy potrafią upaść w kilka dni na samo dno - powiedział Marcin. - I oglądałem ich w filmach. Ale nie sądziłem, że mój przyjaciel, filolog, jest w stanie dokonać tej sztuki.

Nie wiedział jednak wszystkiego. To nie było samo dno. To nie była nawet połowa drogi na to dno. Mój upadek dopiero się zaczynał. Miał trwać niemal dokładnie pół roku.

- Szkoda, że nie pisałeś pamiętnika przez te pół roku - śmiał się potem Jacek. - To byłby dziennik staczającego się inteligenta, jakiego nie było w literaturze.

- Wszystko już było w literaturze - powiedziałem z przekonaniem.

- A kąpienie żółwia w wódce?

No tak, kąpania żółwia w miednicy z czystą wyborową chyba nie było... Ale ja na pewno nie byłem wtedy w stanie robić notatek.

- Ten żółw miał uratować mi życie, a sam o mały włos umarłby z przepicia - westchnąłem, wspominając jak chciałem z biednego Wacka zrobić sobie kompana do kieliszka. Przysłowiowego kieliszka. Bo przecież przez całe pół roku pijałem wyłącznie z gwinta.

- Żółwie są, jak widać, bardzo odporne - Jacek stuknął lekko w skorupę Wacka. A Wacek oczywiście nieufnie schował łeb i łapki.

- Co to za imię dla żółwia, Wacek? - śmiał się ojciec, kiedy mnie tu odwiedził.

Nie powiedziałem mu, skąd się wzięło. Nie powiedziałem mu, że, stojąc z kieliszkiem wina na taborecie, krzyczałaś, jak w kiepskim amerykańskim filmie, że nigdy cię nie zaspokoilem, że udawałaś wszystkie orgazmy i że mój wacek to raczej wacuś, a nawet wa-cunio... Prawie niewidoczny. Wyrostek jakiś, zgrubienie na skórze, nic więcej. I że kiedyś go zmierzyłaś, jak spałem. Nie wierzyłem, że to zrobiłaś. Przecież bym się obudził! Zawsze się budziłem, nawet jak się przekręcałaś z boku na bok. Jakim cudem miałbym się nie obudzić, kiedy dotykałaś mnie zimnym centymetrem?

- Oczywiście najpierw go trochę popocierałam po tej narośli, żeby się zrobił duży - opowiadałaś im z detalami. - Duży jak na Adama, oczywiście. Nie duży w normalnym tego słowa znaczeniu.

Odpowiedziały ci śmiechy.

- I wiecie, ile on ma centymetrów? Jedenaście! Macie pojęcie? Jedenaście! A norma europejska to trzynaście, czytałam w książce! A więc poniżej średniej. Prawie dwadzieścia procent poniżej.

Cóż, moi koledzy, jeszcze w podstawówce, często się mierzyli. Ja też, raz, chyba w ósmej klasie. Teraz, jak tylko wytrzeźwiałem, zmierzyłem się po raz drugi w życiu. Kłamałaś. On ma trzynaście i pół centymetra. O pół więcej niż średnia europejska. Po co to zrobiłaś? Nie wiem. I już się nie dowiem. Chwilami myślę, że wiedziałaś, że tkwię pod tym oknem. Że wiedziałaś i specjalnie to powiedziałaś, żeby mnie wkurzyć, żeby dać mi pretekst do awantury. Że chciałaś odejść, ale tak, żeby wyglądało na to, że to ja cię sprowokowałem. Wymyśliłaś tę historię na poczekaniu, wymyśliłaś te jedenaście centymetrów... Przecież kiedyś o tym rozmawialiśmy. Powiedziałaś, że nie wielkość się liczy. Że nigdy nie posunęłabyś się do latania za facetem z linijką. I że ja czasami jestem nawet dla ciebie za duży. Że nigdy nie wiedziałaś, żeby facet miał taką erekcję jak ja wtedy, u ciebie w gabinecie, gdy przyjmowałaś mnie do pracy. I że jest ci ze mną fantastycznie. Teraz wiedziałem, że nie było. Że zawsze udawałaś. Zawsze. A może to też wymyśliłaś na poczekaniu, żeby mi dopiec? Jakby coś mogło dopiec mi jeszcze bardziej niż to, co wykrzykiwałaś przedtem... zanim zaczęłaś o wacusiu...

- Ten żółw nazywa się Wacek - oświadczył mi Marcin, kiedy go przywieźli. - Na studiach uczyli mnie, że trzeba się zmierzyć z problemem. I go wyśmiać. A więc zrób to.

A więc robię. Tak jak każe pan psycholog. Chociaż wcale nie wiem, czy to właściwa metoda, przynajmniej w moim przypadku. Nie wiem, czy nie lepiej byłoby po prostu zapomnieć, zamiast grzebać się w tych wspomnieniach i zastanawiać, czy naprawdę jestem tak mały, że zasługuję tylko na kpiny. Zamiast myśleć o tym za każdym razem, kiedy karmię żółwia tymi ohydnyimi, śmierdzącymi rybą suszkami sprowadzanymi do sklepu zoologicznego z Niemiec.

- Wacuś, jedz. Chodź Wacuś, pyszne bubki, jedz! - zachęcam go, a w głowie brzmi mi twój śmiech z tamtego styczniowego dnia. I twoje słowa, że to „tylko wacuś”.

- Martwię się o ciebie - powiedział mi niedawno Marcin. - Martwię się, jak to będzie z następną kobietą. Czy sobie poradzisz.

- Chodzi ci o to, czy... - nie umiem mówić wprost o takich sprawach. Z tobą umiałem, ale z kumplami jakoś nie. Mimo że to najbliżsi kumple i że nie powinienem mieć oporów.

- Chodzi mi o to, czy nie zeżrą cię nerwy, czy nie potraktujesz tego w kategorii egzaminu, sprawdzenia się... bo wtedy łatwo o porażkę - Marcin nie nazywał tego wprost, widać też miał opory. A w końcu jest psychologiem. To znaczy niańką, ale z dyplomem magistra psychologii.

- Rany, chłopaki, mówcie normalnie - zdenerwował się Jacek, jedyny ścisły umysł wśród nas. Prawnik i technolog drewna w jednej osobie. Technolog z napisanym do połowy doktoratem. I najbardziej nieśmiały facet, jakiego znam. Tym razem wcale nie był nieśmiały! - Chodzi o to, czy ci stanie czy nie stanie, tak? No przecież nie jesteśmy Duchem Świętym i nie dowiemy się tego tu i teraz. Chyba że sprowadzimy ze wsi jakąś panienkę? Widziałem na poczcie taką ładniutką blondynkę...

- Ma męża i troje dzieci - mruknąłem. - A nawet jakby nie miała, to i tak mi się nie podoba. A nawet jakby mi się podobała, to i tak bym nie chciał. To dla mnie za wcześnie.

- Pół roku celibatu! I on mówi, że za wcześnie! Ja bym zwariował, jakbym pół roku z nikim nie spał! - załamał ręce Marcin.

A ja nie zwariowałem. Było mi z tym właściwie całkiem nieźle. Odpadał ten cały stres, czy jest ci ze mną dobrze, czy może mógłbym zrobić coś jeszcze, żeby było

lepiej. Stres, czy się sprawdzę. Bo kiedy Marcin mówił o tym egzaminie, uświadomiłem sobie, że tak naprawdę idąc z tobą do łóżka, zawsze czułem się trochę jak na maturze. Uda się czy się nie uda? Zwykle się udawało, przynajmniej miałem takie wrażenie. Teraz już wiem, że mylne. I dlatego tym bardziej nie mam ochoty na kolejne egzaminy. Z kolejną kobietą.

Nie będzie już kolejnej kobiety. To postanowione. Już nikt nigdy nie upokorzy mnie tak, jak ty, kiedy stałaś na tym stołku.

Jacek i Marcin uparli się jednak, że powinienem zacząć się umawiać z inną kobietą, żeby o tobie zapomnieć. Klin klinem, powtarzali w kółko. Raz nawet postanowili urządzać mi przyjęcie niespodziankę. Przywieźli jakieś dziewczyny, koleżanki Marcina z pracy. To znaczy: z piaskownicy.

- Jak się chodzi z dzieckiem na spacer, to zawsze się kogoś pozna na placu zabaw - wyjaśnił mi Marcin.

On, jako jedyny „nianiek” w świecie kobiet, miał oczywiście na tych placach zabaw szalone powodzenie. Leciały na niego samotne matki, dziewczyny dorabiające jako babysitterki w czasie studiów i etatowe nianie, takie jak on. Nawet te w wieku jego mamy.

- I mężatki - opowiadał. - Nie masz nawet pojęcia, ile mężatek marzy o tym, żeby ktoś się nimi zainteresował, żeby z nimi porozmawiał, powiedział komplement. Siedzą na urloпах wychowawczych, cały dzień z dzieckiem, mąż wraca późno z pracy, zmęczony i zdenerwowany, chce tylko zjeść obiad i usiąść z piwką przed telewizorem. Nie ma łatwiejszego łupu niż taka kobieta.

Słyszałem coś od ciebie o takich mężatkach. Całkiem sporo słyszałem, ale nie chciałem tego teraz pamiętać. I na pewno nie chciałem umawiać się z żadną z nich.

- To nieuczciwe - powiedziałem, a Marcin się roześmiał.

- Nieuczciwe? Nie żartuj! To prawie działalność charytatywna. Same pchajami się do łóżka. Nie chcą rozbijać swoich małżeństw, chcą tylko odrobiny zainteresowania. A ja im to daję. Nawet nie wiesz, jakie one potrafią być wdzięczne!

Wdzięczne? Nie odważyłem się zapytać, co ma na myśli. Chyba nie forszę? Albo prezenty? Chociaż, jak tak się zastanowić, to Marcin faktycznie ostatnio nic ode mnie nie pożyczał, a to było do niego bardzo niepodobne. Więc może... Jak to się nazywało? Utrzymanek? Żi-golak? Zrobiło mi się niedobrze.

- Nie przyprowadzę ci tu żadnych mężatek - obiecywał. - Same śliczne, młode babysitterki. Będziesz miał w czym wybierać.

Ale ja nie chciałem wybierać. Nie chciałem i już! Wyrzuciłem ich z domu, razem z tymi babysitterkami. Szkoda tylko, że nie wywaliłem za nimi jeszcze Wacka. Mam z nim tylko same kłopoty, to naj idiotyczniej szy prezent, jaki dostałem w życiu!

- Mogliście mi dać psa albo kota - mówiłem po tygodniu życia z żółwiem. A oni kręcili głowami:

- Kot by ci od razu uciekł, a pies by zdziczał. Nie karmiłbyś go regularnie, nie wychodziłbyś z nim na spacer. Postanowiliśmy zacząć od żółwia. Żółwie to wytrzymałe zwierzęta, najstarsze jakie przetrwały proces ewolucji. Nie dały się zmianom klimatycznym i kwaśnym deszczom, może nie dadzą się i tobie.

- Nie dadzą? - podejrzliwie rozejrzałem się po domu. - Macie ich więcej? Jakaś panienkę do kompletu dla Wacka?

- Musiałaby mieć na imię Cipcica - roześmiał się Jacek, znów mnie zaskakując. Cholerny erotoman ga-

wędziarz! Sam nie miał kobiety od trzech i pół roku, od rozstania z Ewką, a mi dogryzał z powodu marnego pół roku! - Cipcica albo Dziurka. Albo Pipka. Albo jakoś tak.

No tak, imię Wacka zawsze wywoływało takie komentarze. Nawet mój ojciec - facet, który udawał przez całe dwadzieścia pięć lat, które mieszkałem w domu, że dzieci przynosi bocian, a on ma nie penisa lecz siusiaka, służącego tylko i wyłącznie do siusiania, jak sama nazwa wskazuje - nawet on nie umiał powstrzymać uśmiechu, słysząc o imieniu, jakie moi przyjaciele nadali żółwiowi.

Poszedłem do kuchni, zostawiając chłopców przejętych nazywaniem nieistniejącej żółwicy.

I oczywiście natychmiast przypomniałem sobie spragnioną czyjegoś zainteresowania mężatkę. Jolę. Żonę twojego księgowego. Do dziś nie rozumiem, co chciałaś wtedy osiągnąć. Dlaczego tak ci zależało, żebym wylądował z nią w łóżku. Może dlatego, że chciałaś mieć czyste sumienie, lądując w łóżku z księgowym? Ty z nim, a ja z jego żoną... Zostawiłaś nas samych w tym ślicznym, drewnianym domku twoich rodziców, na cały weekend. Mieszkaliśmy tam w czasie remontu twojego mieszkania. Wtedy jakoś ci nie przeszkadzało dojeżdżanie do pracy.

Zabrałaś oba samochody. Strasznie się napracowałaś, żeby zrealizować ten swój plan. Twoje autko w warsztacie, my spędzamy uroczy weekend we trójkę... Miało być we czwórkę, w końcu zaprosiłaś swojego księgowego, żeby z nim popracować nad budżetem na następny rok. No ale on, dziwnym trafem, nie mógł przyjechać. Nie chciał jednak, żeby jedzenie się zmarnowało, więc przysłał Jolę. Ktoś, kto nigdy nie widział Joli, mógłby uwierzyć, że ona jest w stanie zjeść miskę sałatki albo trzy kanapki... albo chociaż dwie. Ja spędziłem z Jolą

cały weekend. I wiem już, że żywi się powietrzem. I płatkami na mleku. Mleko musi być sojowe, płatki też jakieś specjalne. Przywozi je ze sobą. Nie tknęła nic z tego, co przygotowałem, nawet caprese, któremu nikt się jeszcze nie oparł. Ona po prostu nie jadła. A księgowy chyba powinien o tym wiedzieć? Skoro są małżeństwem od czasów studenckich?

- Muszę jechać do firmy - oświadczyłaś, gdy stawiałem obiad na ciężkim, dębowym stole twoich rodziców. - Dzwoniła sprzątaczką, że w moim gabinecie są otwarte okna.

Otwarte okna? W gabinecie? No to, skoro sprzątaczką już tam jest, to chyba mogłaby je zamknąć, zamiast cię wzywać?

Kompletnie tego nie rozumiałem, ale nie chciałem zaczynać dyskusji przy Joli. Pomyślałem, że może wydarzyło się coś, o czym nie chcesz mówić przy żonie księgowego. I że potem mi wszystko wyjaśnisz. Jak Jola pójdzie spać na dole, w sypialni dla gości, a my wtulimy się w siebie w wielkim łóżku twoich rodziców na piętrze.

Nie wtuliliśmy się. Pojechałaś do Warszawy moim samochodem, i nie wróciłaś do końca weekendu. Wysłałaś SMS-a, że skoro już tam jesteś, to „trochę popracujesz”. I przenocujesz u Greta. Dopiero potem dowiedziałem się, że Greta była wtedy w Paryżu. A ty - u księgowego.

- Między nami nic nie było. Po prostu razem pracujemy. Siedzieliśmy do nocy nad dokumentami, a potem oddał mi swoje łóżko. Sam nocował na kanapie w salonie - mówiłaś, jak tysiące ludzi przed tobą i po tobie. A ja, jak tysiące idiotów, natychmiast ci uwierzyłem. Do dziś prawie ci wierzę. Przecież byłaś moim przeznaczeniem, moim promyczkiem słońca, moją wymarzoną kobietą, na którą czekałem całe życie. Jak mogłabyś mnie zdradzić?

- Cholera, nie masz jak wrócić do domu - syknąłem, kiedy okazało się, że mąż Joli nie odbiera telefonu. - Adela wzięła mój samochód, nie odwiozę cię. Tak mi przykro.

-A mi nie... - głos Joli brzmiał zalotnie. - Dawno nie spędziłam takiego miłego weekendu...

Ten weekend dopiero się zaczynał. Nie mogła wiedzieć, czy będzie miły. Ale ja wiedziałem, że nie będzie. Zamykałem się w sypialni twoich rodziców na klucz. Zwyczajnie się jej bałem.

- Jesteś taki... taki męski - mówiła Jola, popijając wino. - Facet, który pracuje jako sekretarka, to coś niezwykłego. Jesteś niezwykły, wiesz?

Miała słabą głowę, po dwóch kieliszkach wypitych niemal na czczo plątał jej się język. I ręce też jej się plątały... zapuszczały się tam, gdzie stanowczo nie powinny. A ja miałem trudne zadanie: opędzać się od niej, ale tak, żeby to nie wyglądało niekulturalnie. W końcu nigdy byś mi nie darowała, gdybym obraził żonę twojego księgowego. Zawsze powtarzałaś, że dobrego księgowego jest trudniej spotkać niż laureata Nagrody Nobla. A ty go spotkałaś i nie zamierzałaś dać mu odejść z twojej firmy. A może nie tylko z firmy...

- To wspaniałe, że jesteś sekretarką Adeli - mówiła Jola, rozglądając się za kolejną butelką wina. - Jesteś wolny od tych głupich męskich przesądów, szanujesz kobiety, które robią karierę, nie uważasz, że bycie sekretarką uwłacza twojej godności.

Właśnie tak uważałem. Że bycie sekretarką uwłacza mojej godności. W ogóle miałem głowę nabitą mnóstwem głupich męskich przesądów. Więc zaprotestowałem: Już nie jestem sekretarką... to znaczy asystentem. Jestem teraz szefem działu zakupu praw. To bardzo odpowiedzialna praca.

- Jasne, że odpowiedzialna. - Jola usiłowała mnie pocałować. - Ciekawe tylko, czy byś ją dostał, gdybyś nie był kochankiem pani prezes? Mój mąż mówi, że poprzedni szef tego działu został wysłany na wcześniejszą emeryturę, żeby zrobić dla ciebie miejsce.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami.

- Poprzedni szef działu wyjechał do córki do Stanów - jęknąłem. - A ja mam wszelkie kwalifikacje potrzebne do tej pracy.

- Kwalifikacje może tak, ale niewiele doświadczenia, to przecież twoja pierwsza prawdziwa praca - żona księgowego była naprawdę nieźle poinformowana. - Wiesz, sekretarki rzadko awansują, prezesi lubią czuć, że nad nimi panują. No ale widocznie jak prezesem jest kobieta, to robi się bardziej demokratycznie. I kochanek szefowej nie musi do końca życia parzyć kawy. Ja to rozumiem, naprawdę, ale chyba nie możesz się dziwić, że ludzie w firmie gadają... no wiesz... że awansujesz co miesiąc, bo robisz Cudnej dobrze. Bardzo dobrze... Wiele dziewczyn w firmie chciałoby się dowiedzieć, jak to robisz. Ona chodzi taka uśmiechnięta, na pewno jesteś mistrzem w doprowadzaniu kobiety do rozkoszy. Może pokażesz mi, co potrafisz?

Wściekły i upokorzony uciekłem do sypialni i zamknąłem się na klucz. I przez moment rozumiałem wszystkie sekretarki świata, podszczypywane przez szefów w pośladki. Czułem się tym, kim naprawdę byłem. Życiowym nieudacznikiem. Kochankiem pani prezes. Facetem, którego jedyny kapitał tkwi w rozporku. Który umie dać jej tylko tyle. Porządne rżnięcie. Wtedy przynajmniej myślałem, że to potrafię. Teraz już wiem, że nie. Że nawet tego ci nie dawałem. A więc dlaczego ze mną byłaś??? Do dziś tego nie rozumiem.

ROZDZIAŁ 6

Lolita

- Z nikim nie było mi tak... aż tak - jęczałaś, kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy. Oczywiście w twoim gabinecie. Oczywiście na twoim biurku.

Czasami miałem wrażenie, że tylko tam umiałaś naprawdę się odprężyć, że tylko tam... Teraz już wiem, że udawałaś. Zawsze. Ale mimo wszystko, tam było ci chyba najlepiej.

- Jasne, że tam było jej najlepiej - potwierdził moją teorię Marcin.

Powiedziałem mu o tym po kilku piwach, w ciągu tych trzech dni, które spędzili w Chmarkach, kiedy znaleźli mnie w sieni po twojej wypowiedzi. Ja piłem piwo, a oni usiłowali namówić mnie, żebym zamienił je na wodę mineralną i jednocześnie rozmrażali rury. Przykładali termofor do ściany. Termofor i mnóstwo worków z ciepłą wodą.

- Lepiej byłoby suszarką do włosów - narzekali. Ale ja oczywiście nie miałem suszarki. Była twoja.

Zabrałaś ją. Wyjątkowo dokładnie się spakowałaś, jak na kobietę wyprowadzającą się nieoczekiwanie i w absolutnym pośpiechu. No ale ty zawsze byłaś precyzyjna i metodyczna.

- Gdybym miał siłę iść po aparat, zrobiłbym wam zdjęcie - mruknąłem na widok tych worków, z których Jacek z Marcinem ustawiali barykadę wzdłuż ściany.

Nie miałem jednak siły. Woląłem dyskutować o tym, co robiłem w twoim gabinecie, na twoim biurku.

- To typowe dla szefów - machnął ręką Marcin. -W psychologii znamy ten mechanizm od dawna. Poczucie władzy i seks wywołują podobny stan euforii. Nic więc

dziwnego, że chcą to połączyć. Wydaje im się, że osiągną spełnienie absolutne, że będą samcami doskonałymi, jeśli zrobią to w miejscu pracy, kojarzącym się z ich władzą, z kimś, nad kim mają władzę, kto musi spełniać ich polecenia.

- Adela chyba nie chciała być samcem doskonałym - prychnąłem.

I natychmiast pomyślałem, że Marcin zaraz zapyta, jaka jest twoja ulubiona pozycja. A ja będę musiał odpowiedzieć, że najeżdźca. I wszystko będzie już jasne. To ty byłaś samcem alfa. A ja sekretarką w seksownej bieliźnie.

- Kiedyś, kiedy jeszcze było między nami dobrze, uwielbiała kupować mi bieliznę - przyznałem. A Jacek, czerwony jak burak, pokiwał głową.

Adela, jak mogłaś??? Jak mogłaś kupować mi czerwone stringi u mojego najlepszego przyjaciela??? I różowe jadalne majtki, sprowadzone na zamówienie???

- Jacek! - ryknąłem, waląc butelką piwa o stół. - Jacek, ty świniou, dlaczego mi nie powiedziałeś???

- A co miałem powiedzieć? - zdziwił się mój przyjaciel. - Miałem zapytać, jak smakowały Adeli majtki o smaku mango, w które cię ostatnio ubrała? I czy koronki przy kremowych stringach nie drapią, bo kilku klientów odstraszyła ostatnio ta możliwość? Wiesz, jak bym się czuł? I jak ty byś się czuł?

- Marcin, ty też wiedziałeś? - spojrzałem uważnie w zapadnięte oczodoły, schowane za okularami mojego drugiego przyjaciela. - Marcin, do kurwy nędzy!

- Jasne, że wiedziałem - Marcin nie dostrzegał problemu. I to ma być psycholog??? - jak mógłbym nie wiedzieć? Przecież jesteśmy kumplami, nie mamy przed sobą tajemnic. To chyba naturalne, że Jacek opowiadał mi o ekscentrycznych zamówieniach Adeli. Na przykład o tym czarnym kompleksiku...

No nie! Adela!!! Jak mogłaś??? Jak mogłaś kupić ten komplet u mojego przyjaciela???!!!

- Wyjdźcie stąd - poprosiłem Jacka i Marcina. - Nie mogę już być waszym kumplem. Skoro wiecie o mnie takie rzeczy...

Ale oni, oczywiście, nie wyszli. Bo są prawdziwymi kumplami. I zostaną nimi, nawet jeśli dowiedzą się o...

- O rajstopach, które mi kupiła, też wiecie? - zapytałem.

No jasne, że wiedzieli. Od dawna. To jednak są najlepsi kumple na świecie.

Samiec alfa... Tak, często zachowujesz się jak taki samiec. Właściwie prawie zawsze. Ale wcale nie wyglądasz jak samiec.

- Ona wygląda jak lolitka - powiedział kiedyś Jacek. - Kompletnie tego nie rozumiem. Z jednej strony buczki z kokardkami i paznokietki pomalowane na różowo, a z drugiej ten władczy ton. Jakby cały czas kotłowały się w niej jakieś sprzeczności.

- To taktyka - Marcin tym razem nie psychologizował i nie zamierzał analizować twoich sprzeczności z punktu widzenia jakiejś nowej brytyjskiej teorii odwołującej się do przeżyć z życia płodowego. - Ona po prostu usypia w ten sposób czujność kontrahentów, zachowuje się jak mała dziewczynka, a potem, kiedy już uwierzą, że nic im nie grozi, wpija się w szyję i przegryza tętnicę. Kiedyś słyszałem, jak jakiś facet mówił, że nie ma pojęcia, jakim cudem podpisał tak niekorzystną dla siebie umowę z tą małą diablicą. To właśnie ta jej lolitkowatość tak działa. Ona dokładnie wie, co robi. Jest groźnym samcem, który czasami dla niepoznaki zaplata sobie warkoczyki.

Kiedyś też tak myślałem. Że to wypracowany, przemyślany styl, przynoszący ci sukcesy w pracy. Ale

potem... potem zmieniłem zdanie. Bo zobaczyłem, że często naprawdę jesteś małą dziewczynką. Wtedy, kiedy nikt na ciebie nie patrzy. Spisz z pluszowym misiem, płaczesz kiedy w telewizji po raz siedemnasty pokazują *Anię z Zielonego Wzgórza*. A przede wszystkim potrzebujesz czułości. Całego morza czułości. Chcesz, żeby cię tulić, głaskać po głowie i mówić, że jesteś wspaniała. Czy tak zachowują się groźne samce?

- Tyle w niej sprzeczności... - kiwał głową Jacek.

A ja oczywiście się z nim zgadzałem. Potrafiłaś godzinami tulić się do mnie, domagać pieśczoć, być miękka jak wosk. A potem nagle, dosłownie w ciągu sekundy, zamieniałaś się w ponurą chmurę gradową. Nie chciałaś słuchać, co mam do powiedzenia, nie obchodziły cię moje argumenty. Ucinałaś dyskusję, wychodziłaś z pokoju. A jeśli nalegałem... upierałem się, żebyśmy porozmawiali... Cóż, wtedy potrafiłaś nawet wezwać policję. Zrobiłaś to dwa razy.

- Raz to od biedy można uznać przypadek, mogła być wyjątkowo zdenerwowana - mówił Marcin. - Ale dwa razy... Nie, to nie przypadek, uwierz mi. Ona po prostu jest chora na władzę. Nie znosi, kiedy jej się coś wymyka spod kontroli. Kiedy coś robisz nie po jej myśli.

Cóż, tkwienie pod twoimi drzwiami było na pewno nie po twojej myśli. Ale nie miałem wyjścia. Bałem się o twoje życie. Pamiętasz tamten wieczór? Na pewno pamiętasz. Wracaliśmy z opery. Przytuleni, roześmiani. Ty w tej swojej pięknej zielonej sukni z dekoltem na plecach, idealnie dopasowanej odcieniem do twoich oczu. Ja w czarnym garniturze. Taki uroczy wieczór. I nagle coś ci się nie spodobało. Nie wiem już, co to było. Jakiś drobiazg, jak zwykle. Moje słowo, może jakiś dowcip na temat przejeżdżającego samochodu albo mijającej nas pary. Twoje zielone kocie oczy zwięzły się w szpar-

ki. Twoje usta, pomalowane starannie szminką w kolorze twoich włosów, zacisnęły się w wąską kreskę. Twoje loczki... Czy to możliwe, że loczki wyprostowały się ze złości?

- Idź do domu - powiedziałaś pod drzwiami swojego mieszkania, chociaż już dawno ustaliliśmy, że tę noc i cały weekend po tej nocy spędzimy razem. - Idź, proszę. A w poniedziałek rano złóż wypowiedzenie. Taka jest moja ostatnia wola, uszanuj ją.

Zatrzasnęłaś drzwi, zanim zdążyłem się odezwać. Potem mi tłumaczyłaś, że chodziło ci o „ostatnią wolę” mojej kobiety, bo już nie zamierzałaś nią być. Ostatnią wolę przed naszym rozstaniem. Ja potraktowałem to zupełnie inaczej. Dosłownie. I oczywiście potwornie się przeraziłem. Waliłem w twoje drzwi, błagałem, żebyś ze mną porozmawiała. Dzwoniłem z komórki na twoją komórkę, potem na numer domowy... Wszystko na nic. Słyszałem na klatce schodowej brzęczący dzwonek, ale nie odbierałaś. Nie słyszałem nawet twoich kroków. Waliłem więc w drzwi coraz mocniej. Gdyby było trzeba, rozwaliłbym je kopniakiem. Nie było wtedy dla mnie rzeczy niemożliwych. Musiałem cię ratować. Tylko o tym myślałem.

Nie zdążyłem jednak wymierzyć drzwicom solidnego kopniaka. Bo nagle pod blok podjechała policja. Na sygnale. Dwóch facetów w mundurach przybiegło pod twoje drzwi i zaciągnęło mnie do radiowozu.

To była chyba najdłuższa noc w moim życiu. Dłuższa nawet od tej pierwszej, którą spędziłem z tobą. Ta z tobą minęła w okamgnieniu. Ta w komisariacie wlokła się niemiłosiernie. I naprawdę strasznie się wtedy bałem. Chociaż zaczęło się jak w komedii.

- Pani Cudny twierdzi, że szedł pan za nią do domu i usiłował zgwałcić na klatce schodowej - oświadczył jeden z policjantów.

- Słucham? - miałem wrażenie, że to jakiś ponury żart.
- Pani Cudny złożyła doniesienie o usiłowaniu popełnienia przestępstwa - policjant najwyraźniej nie żartował.
- Czy przyznaje się pan do tego, że pan za nią szedł?
- Szedłem z nią, nie za nią - nie mogłem uwierzyć w to, co zrobiłaś. - Adela... pani prezes Cudny chyba nie udaje, że się nie znamy?

- Ależ skąd - uśmiechnął się lodowato młody człowiek w stalowym mundurze. - Powiedziała nam, że jest pan jej pracownikiem. I że od pewnego czasu zaczął się pan jej narzucać, robić niewybredne propozycje. Dziś była z przyjaciółmi w operze i pan tam się też pojawił. Czy to prawda?

Z przyjaciółmi? Powiedziałaś, że byłaś tam z przyjaciółmi, a ja was śledziłem? Do dziś nie wiem, jak mogłaś to zrobić.

- Gdyby w porę nie wycofała tych zeznań, narobiłaby ci poważnych kłopotów - Jacek i Marcin też nie mogli uwierzyć, że byłaś do tego zdolna.

„W porę”? No cóż... Jak dla mnie szesnaście długich godzin do chwili, gdy zmieniałaś zeznania, to jednak trochę długo.

- Ciekawe, dlaczego zdecydowała się w końcu powiedzieć prawdę? - zastanawiali się moi przyjaciele.

Obłudnie się zastanawiali. Bo od ciebie, chyba pół roku później, dowiedziałem się, że to oni skłonili cię do tej zmiany. I do kolejnego telefonu na policję. Podobno ci grozili, szantażowali cię... Ciekawe czym? Co oni o tobie takiego wiedzą? Do dziś mi tego nie powiedzieli. Nawet teraz, kiedy nie jesteś już moją... moją narzeczoną.

- Nie mówmy o tym - machają zawsze ręką, kiedy zaczynam ten temat. - Jesteśmy twoimi kumplami, musieliśmy ci pomóc i już.

Jak to dobrze, że w tym komisariacie przypomniałem sobie, że w amerykańskich filmach oskarżony zawsze na prawo do dwóch rozmów telefonicznych! Zapytałem, czy w Polsce jest tak samo. Policjant chyba nie miał pojęcia, jakie są przepisy, więc na wszelki wypadek się zgodził. Na jeden telefon. To mi w zupełności wystarczyło. Bez zastanowienia zadzwoniłem do Jacka. Wiedziałem, że Marcin może nie odebrać. Jeśli zabawia się akurat z jedną ze swoich babysitterek... U Jacka ryzykowałem tylko, że obudzę jego rodziców. No i obudziłem. Ale wtedy było mi naprawdę wszystko jedno.

- Przeprosiła cię chociaż? - pytali mnie obaj, zdumieni, że po tym, co zrobiłaś, w ogóle chcę mieć jeszcze z tobą coś wspólnego.

- Przeprosiła - kiwnąłem głową.

Nie jestem pewny, czy to, co zrobiłaś, można nazwać przeprosinami. Przy przeprosinach powinno przecież paść słowo „przepraszam”. A tutaj nie padło. Ale zrobiłaś coś, co znaczyło więcej niż jakieś słowo. Przyjechałaś po mnie pod komisariat. W króciutkiej białej sukience i tenisówkach, z włosami ściągniętymi w koński ogon. Wyglądałaś jak lolitka, brakowało ci tylko podkolanówek w paski. Nieumalowana, bez biżuterii... i bez majtek... Zobaczyłem to, gdy tylko wsiadłem do samochodu. Usiadłaś tak, że od razu musiałem to zobaczyć. Nigdy przedtem tak się nie zachowywałaś! A teraz... teraz byłaś jednocześnie niewinna i rozpustna. I bardzo, bardzo piękna.

Przejechaliśmy tym samochodem tylko dwie przecznice. A później, dużo później, tego samego dnia, wprowadziłem się do ciebie.

- Może to był jakiś test? - zastanawiał się Marcin. Ale fakt, że jego pracę magisterską uznano za jedną z najbardziej błyskotliwych w dziedzinie psychologii

behawioralnej, na niewiele się tu zdał. Analiza twojego zachowania nic nie dała. Zachowywałaś się irracjonalnie. Odpychałaś mnie, oskarżałaś, a potem przyciągałaś, kusiłaś... i decydowałaś się ze mną zamieszkać. Nagle, z minuty na minutę. To nie trzymało się kupy.

-A jak drugi raz wezwała policję, to miała jakieś powody? - dopytywał się Marcin.

Takie same jak za pierwszym razem. Źle spojrzałem, jakoś krzywo czy w niewłaściwą stronę. Nie tak się roześmiałem. Powiedziałem coś za cicho albo za głośno. Tyle, że tym razem byłem mądrzejszy. W porę zorientowałem się, co się święci, i uciekłem. Po prostu uciekłem, jak przestępca. Na szczęście zakłócanie ciszy nocnej nie jest oskarżeniem, z powodu którego szukano by mnie po całym mieście, angażując w to setki funkcjonariuszy. Po prostu poszedłem spacerkiem do Jacka. I po raz kolejny obudziłem jego rodziców.

- Ta lolitka cię wykończy - westchnął wtedy mój zaspany przyjaciel, parząc mi kawę w środku nocy. - Czy ona w pracy też tak się zachowuje?

Tak? Czyli jak? Nienormalnie? Nie, w pracy jesteś stuprocentową profesjonalistką. Chyba nikt z personelu nie powiedziałby o tobie „niezrównowazona”. A jeśli chodzi o to, jak mnie traktowałaś... Cóż, mógłbym odpowiedzieć „dobrze” i to chyba wyczerpałoby temat. Naprawdę byłaś dobrą szefową. I dobrą narzeczoną. Tak, wiem, nie znosisz tego słowa. Było nawet z tego powodu kilka solidnych awantur.

- To jak mam o tobie mówić? - pytałem często.

- Mów „moja kochanka” - odpowiadałaś bez wahania.

Aleja nie chciałem tak o tobie mówić. Byłaś dla mnie kimś znacznie więcej.

- Partnerka życiowa - zaproponowałem po namyśle. To nie brzmiało najlepiej, ale jednak dużo lepiej niż „kochanka”. Chociaż tobie też się nie podobało.

A więc byłaś dobrą kochanką, partnerką, narzeczoną. Często pocieszałaś mnie, kiedy denerwowałem się tym, że jestem nikim. Nikim w porównaniu z tobą. Że nie mam tylu pieniędzy, nie jestem prezesem ani nawet kierownikiem...

- To jakieś idiotyczne, dziewiętnastowieczne przesady, że facet powinien zarabiać więcej od kobiety - mówiłaś. - Nie potrzebujemy więcej pieniędzy. Cieszę się, że pracujesz w mojej firmie, że mogę cię widzieć przez cały dzień. Pomyśl, jak by to było, gdybyś ty też był prezesem? Ja miałabym ważne spotkanie w środę wieczorem, ty w czwartek. W sobotę ja bym leciała na targi do Frankfurtu, w następnym tygodniu ty do Mediolanu... I co? I w ogóle byśmy się nie widywali. Jaki to miałyby sens?

- Żadnego - musiałem to przyznać.

Ale to nie pomagało. Czułbym się lepiej, mając jakieś porządne stanowisko i zarabiając choćby połowę tego, co ty. A tak naprawdę najlepiej czułbym się, gdybym to ja był prezesem, a ty...

- Jesteś męską szowinistyczną świnią - mówiłaś, odgadując moje myśli. - Marzysz skrycie o tym, żeby mnie zamknąć w domu. Byłoby ci dobrze dopiero, gdybyś to ty siedział w fotelu prezesa, a ja byłabym twoją sekretarką. Przyznaj się, że czasem o tym fantazjujesz?

Fantazjowałem. Chyba ze dwa razy. Znacznie częściej jednak marzyłem o czymś zupełnie innym. O tym, że ja... nie, wcale nie w fotelu prezesa. Wystarczyłby mi zwykły, mały fotelik kierownika działu. A więc ja siedzę wygodnie w tym foteliku i nagle dzwoni telefon. Odbiera moja sekretarka i mówi: „Panie kierowniku”...

To bez sensu, oczywiście, bo u nas w firmie nie mówi się do nikogo „panie kierowniku” ani nawet „panie Adamie” czy „pani Zosiu”. Mówi się na ty, po prostu. Tylko do ciebie mówi się zawsze „pani prezes”. Aleja przecież nie byłbym prezesem. A więc moja fantazja była kompletnie bez sensu. „Panie kierowniku”. Kiedy w końcu awansowałem, nikt się tak do mnie nie zwrócił ani razu. I nie miałem żadnej sekretarki. A jednak zawsze tak to widzę.

- Panie kierowniku, żona dzwoni! Połączyć? Zawsze słyszę właśnie to zdanie. Czasami, kiedy

pada, po prostu siedzę przy biurku, czasami prowadzę zebranie. Zdarza się, że mówię nawet:

- Pani Krysiu, nie teraz, mamy zebranie... Proszę powiedzieć, że oddzwonię.

- Ale to chyba bardzo pilne - pani Krysia robi wielkie oczy, widzę to tak dokładnie. Starsza pani, ze starannie ułożonymi siwymi włosami, przewracająca oczami obwiedzionymi wprawnym ruchem czarnymi kreskami.

Nie wiem dlaczego wyobrażam sobie zawsze, że moja asystentka jest w wieku przedemerytalnym. Pewnie dlatego, że byłabyś zazdrosna o młodą. Wiesz przecież, jak łatwo o namiętny związek między szefem a sekretarką. Między szefową a sekretarzem.

- Sekretarzem! Jeśli już chcesz tak mówić, to mów, że jesteś moim sekretarzem! - powtarzałaś zawsze.

No dobrze, pani Krysia to po prostu sekretarka. Sekretarka, która informuje, że muszę przerwać zebranie i odebrać telefon, bo „chyba pana synek zachorował”.

A ja rzucam wszystko i biegnę do telefonu. Bo ty i dzieci jesteście najważniejsi. Serce wali mi jak młot. Na szczęście to nic poważnego, nasz synek po prostu ma gorączkę i trzeba go odebrać z przedszkola. Jadę tam, oczywiście, od razu. Ty przecież nie możesz wyjść na

taki mróz z naszą córeczką, która ma dopiero trzy tygodnie.

- Nie wspominaj więcej o dzieciach! - wpadałaś w furję, gdy tylko zaczynałem ten temat. - Nie wspominaj o dzieciach ani o małżeństwie. Nie zamierzam za ciebie wyjść, zrozum to wreszcie!

Ale ja nie potrafiłem zrozumieć. I dlatego podjąłem tę desperacką próbę... Gdybyś powiedziała „tak”, byłoby przecież tak pięknie...

ROZDZIAŁ 7

Serenissima

Odkładałem pieniądze na ten wyjazd przez kilka miesięcy. Wszystko dokładnie zaplanowałem. Miało być jak w bajce. Żadnych ustępstw, żadnych półśrodków. To musiała być Wenecja, miasto kochanków Samolot na lotnisko Marco Polo, a z niego taksówka wodna. Motoróweczka, która dowiezie nas na plac Świętego Marka. I malutki hotelik. Pokój na ostatnim piętrze z wielkim łóżkiem z baldachimem, z widokiem z okna na kanał i kopułę katedry. Samo szukanie takiego hotelu i takiego pokoju zajęło mi prawie tydzień. Spędzałem długie godziny przy komputerze, poszukując czegoś idealnego. W końcu znalazłem... Wciąż jednak miałem wątpliwości: na stronie internetowej nie było zdjęć akurat tego pokoju. Właściciel zapewniał mnie, że wszystko będzie tak, jak chcę. Ale ja nie wierzyłem. Na studiach uczyli mnie, żeby nigdy nie wierzyć na słowo Włochowi, który chce coś sprzedać. Ubłagałem go, żeby zrobił zdjęcia i wysłał mi mailem. Zapłaciłem mu potem, już po przyjeździe, dodatkowo pięćdziesiąt euro. Za tę k wotę mój ojciec potrafi przeżyć dwa tygodnie. A ja... Pierwszy raz w życiu nie liczyłem się z pieniędzmi. Byłem gotów wziąć kredyt, sprzedać wszystko, żeby tylko te trzy dni były idealne. I żebyś powiedziała „tak”.

Marzyłem o Wenecji od dzieciństwa. Marzyłem o niej przez całe studia. „Każdy italianista powinien przeżyć świt na Rialto, kiedy handlarze rozkładają swoje stragany z rybami i warzywami”, powtarzał mój ukochany profesor na zajęciach z historii Włoch. A ja jakoś wciąż omijałem Wenecję, o której tak marzyłem. W czasie stypendium w Rzymie po prostu zabrakło mi pieniędzy na pociąg. Dojechałem tylko do Florencji, do Galerii Uffizi. Na stażu wylądowałem w Neapolu, a więc jeszcze dalej na południe. Mój autokar minął Wenecję szerokim łukiem. Ale teraz nareszcie miałem spędzić tam weekend. I rzucić miasto dożów na kolana. Tu miał się spełnić mój sen.

- Co to? - zapytałaś, zarumieniona z emocji, kiedy w urodzinowy poranek znalazłaś na poduszce różową kopertę.

A potem rozszarpałaś ją niecierpliwie. Aż się bałem, że podarłaś ten bilet!

- Wenecja? - Twoje oczy zrobiły się jeszcze większe niż oczy pani Krysi z moich marzeń o zebraniu. - Dlaczego Wenecja?

- Bo... bo to takie romantyczne miasto - uśmiechnąłem się.

I natychmiast zobaczyłem, że to nie była dobra odpowiedź. Kocie oczy zwęziły się w pełne złości szparki, a drobna dłoń z różowymi paznokietkami zacisnęła nerwowo na poduszce.

- Ale po co? I w ogóle, jak mogłeś coś zaplanować za moimi plecami? Skąd wiesz, że będę wtedy miała czas? Może mam inne plany? Przecież wiesz, jaką mam pracę! Może akurat w ten weekend sajakieś targi albo premiera którejś z naszych książek, może mam ważne spotkanie z jakimś agentem albo gdzieś jadę, albo...

- Jestem twoim sekretarkiem... sekretarzem poprawiłem się szybko, żeby nie zezłościć cię jeszcze bardziej. - To ja układam harmonogram twoich spotkań. I od paru tygodni dbałem o to, żebyś miała ten październikowy weekend zupełnie wolny.

- Jak śmiałaś spiskować, knuć bez mojej wiedzy?!

- ależ ty byłaś wściekła. - Jak będę chciała jechać do Wenecji, to sama sobie kupię bilet i polecę. Kiedy zechcę i z kim zechcę. Skąd wiesz, że w ogóle miałabym ochotę jechać tam z tobą? I to akurat w październiku?

To był cios poniżej pasa. Chciałem ci się w tej Wenecji oświadczyć! Wydałem na to majątek! A ty mi mówisz, że może wolałabyś jechać z kimś innym!!!

Pewnie powinienem już wtedy wstać i wyjść. Wysłać pocztą wypowiedzenie i nigdy cię więcej nie widzieć. Ani twojej firmy. A do Wenecji pojechać samemu i strzelić tam sobie w łeb. Gdybym tylko miał z czego...

Jednak tego nie zrobiłem. Spędziłem za to trzy dni na przekonywaniu cię, żebyś zmieniła zdanie.

- To były najgorsze urodziny w moim życiu - łkałaś.

- Jak mogłeś tak mnie zaskoczyć, coś zaplanować beze mnie? Jak mogłeś?!

Wtedy właśnie dowiedziałem się, że nie znosisz być zaskakiwana. Cholera, nie miałem pojęcia, że ktoś może nie chcieć niespodzianki. Takiej niespodzianki.

- Następnym razem zapytaj mnie, co chcę dostać. Zapytaj, rozumiesz?

Nie rozumiałem. Coraz częściej cię nie rozumiałem. Nie rozumiałem, jak można chcieć dostać na Gwiazdkę, na urodziny i na imieniny coś, co się samemu wybrało. A gdzie ten dreszczyk niepewności i oczekiwania przy rozrywaniu opakowania? Według mnie to właśnie jest w prezentach najfajniejsze. Ale widać nie każdy lak myśli. Musiałem się z tym pogodzić. W listopadzie na imieniny dostałaś bluzkę z

katalogu. Zaznaczyłaś mi ją żółtą karteczką, wypisując kolor i rozmiar. Pod choinką czekał na ciebie kaszmirowy szal, który sama wybrałaś, a na kolejne urodziny zażyczyłaś sobie albumu z fotografiami Tybetu. Poszliśmy razem do księgami.

Nie znosiłem takiego wybierania prezentów. Chciałem z tobą porozmawiać, obiecywałem sobie, że to zrobię. Przed kolejnym Bożym Narodzeniem, naszym pierwszym kaszubskim Bożym Narodzeniem, jednak się nie odważyłem. Bałem się, że znów wszystko popsuję, a ty przecież i tak byłaś wtedy nie w humorze. Nie chciałaś spędzać świąt na Kaszubach. Uważałaś, że powinniśmy zostać w Warszawie. Nie chciałem cię drażnić. Kupiłem ci więc słownik polsko-ukraiński, tak jak sobie zażyczyłaś. Czekają cię jakieś bardzo ważne negocjacje z ukraińskim wydawcą, chciałaś wiedzieć,

o czym rozmawiają Ukraińcy w swoim języku, przyciszonymi głosami. Boże, jak można dać ukochanej kobiecie pod choinkę słownik zamiast koronkowej bielizny i naszyjnika z perłami? No ale dzięki temu, że się nie sprzeciwiłem, mieliśmy przynajmniej spokojne święta.

Obiecałem sobie, że przed walentynkami jednak się sprzeciwię. Że nie będzie już więcej słowników. No

i nie było... kiedy nadeszły walentynki, nie było cię już w naszym domu. A razem z tobą zniknęły słowniki, kaszmirowy szal, książka o Tybecie i bluzka z katalogu. Zostały za to zdjęcia z Wenecji.

- Weź sobie ten album, jak chcesz - rzuciłaś nim o podłogę, kiedy się pakowałaś. - Ja chcę zapomnieć o tym idiotycznym wyjeździe.

O idiotycznym wyjeździe? Nie, ja nie chcę o nim zapomnieć. Mimo wszystko. Mimo że wracałem do Polski sam.

- Po co ja się dałam na to namówić? - jęczałaś, kiedy płynęliśmy taksówką wodną przez Canale Grandę do naszego hoteliku.

Słońce akurat zaczynało zachodzić nad placem Świętego Marka. Miałem w oczach łzy wzruszenia. Wenecja. Serenissima. Najjaśniejsza. Tak mówili na nią przez wieki. Taka była. Serenissima. Jak mogłaś nie zachwycać się promieniami słońca prześlizgującymi się po Pałacu Dożów, odbijającym się w kanale? Jak mogłaś być taka nieczuła, siedzieć i czytać książkę, zamiast zachwycać się razem ze mną?

- Zostałam porwana, nie każ mi się cieszyć - odpowiadałaś.

Miałem nadzieję, że to minie, kiedy zobaczysz pokój, który dla nas znalazłem. Najlepszy pokój w całej Wenecji. Z najpiękniejszym widokiem. Z najszerszym łóżkiem. Z wielką wanną, w której zmieścimy się obydwój.

- Tandeta - wydełaś usta, oglądając pokój, z takim trudem wyszukany wśród tysiąca innych. - Chyba na tych studiach karmili was kiepską literaturą, skoro tak wygląda twoim zdaniem romantyzm. Pokój z widokiem, mój Boże! Naprawdę ci się tu podoba?

Podobało mi się. Podobało mi się jak nigdzie przedtem. Mógłbym zamieszkać w tym oknie i do końca życia patrzeć na przesuwane się po kanale barki, motorówki z obłazącą farbą i lśniące czarne gondole, w których na aksamitnych siedzeniach preżyli się dumnie amerykańscy turyści. Osiemdziesiąt euro za pięćdziesiąt minut. W cenę wliczono śpiew gondoliera. Ten śpiew dobiegał od zmierzchu, przez cały wieczór i pół nocy do naszego okna.

- Nie mów mi tylko, że marzysz o tym, żebyśmy popłynęli gondolą-jęknęłaś. - Przecież to tandeta dla turystów.

Tandeta. Od pewnego czasu to było twoje ulubione słowo. W sprawie gondoli nawet się z tobą zgadzałem. A jednak... a

jednak była w tym jakaś magia dawnych wieków. Magia wszystkich kochanków, którzy płynęli pod osłoną nocy do swych ukochanych. Magia uciekającego z więzienia Casanovy. I magia przesądu, w który chciałem uwierzyć.

- Popłynęmy gondolą - poprosiłem cię drugiego dnia. - Wiem, że to tandeta i że nie chcesz. Ale błagam cię, zrób to dla mnie. Błagam. Chyba o nic cię jeszcze nie błagałem, prawda? A teraz błagam. Zgodzisz się?

Zgodziłaś. Ciężko wzdychając i przewracając oczami. Było mi jednak wszystko jedno. Byłem gotowy dowlec cię do tej gondoli siłą, byle tylko znaleźć się w niej tuż przed zachodem słońca. Właśnie dlatego nie mogliśmy nią płynąć pierwszego wieczoru. Musiałem sprawdzić, o której zachodzi słońce. Co do minuty. A potem znaleźć odpowiedniego gondoliera i ustalić z nim szczegóły. Nie chciałem, żebyś słyszała tę rozmowę. Nie znasz włoskiego, ale mimo wszystko... Na pewno przed jakimiś negocjacjami kupiłaś sobie słownik i nauczyłaś się podstawowych słów. Zawsze bardzo poważnie podchodzisz do pracy. Kiedy wydawaliśmy ten album o Zizou, poszłaś nawet ze mną na mecz, żeby zobaczyć /. bliska, „jak ludzie to przeżywają”. I wykorzystałaś pobyt na stażu dla wydawców w Paryżu, żeby pooglądać w sklepach kubeczki z podobiznami Zizou, podkoszulki, a nawet abażury i tapety z jego twarzą. Żeby „zrozumieć to szaleństwo”. Tak, jeśli Zi-Zu wydało choćby jedną włoską książkę, to na pewno znałaś kilka słów w tym języku. Nie mogłem ryzykować, że coś zrozumiesz. Wymknąłem się więc z naszego hoteliku, kiedy brałaś prysznic. Nie zdążyłem wrócić, zanim przeszłaś owinięta ręcznikiem z łazienki do pokoju. Skłamałem

więc, że wyszedłem zrobić zdjęcie jakiejś wyjątkowo dziwnej łodzi. Wiedziałaś już, że te stare weneckie łodzie budzą mój szalony entuzjazm, więc się nie zdziwiłaś. Nie zapytałaś nawet, dlaczego nie zrobiłem zdjęcia z okna, korzystając z dobrodziejstw zoomu. No a przede wszystkim, co za szczęście, nie zauważyłaś, że nie miałem ze sobą aparatu!

Gdyby jakiś mężczyzna chciał cię oszukiwać i zdradzać, nie miałby z tym problemów. W pracy podejrzliwa i nieufna, w życiu codziennym potrafiłaś uwierzyć w największą bzdurę. Ale ja oszukałem cię tylko raz. Właśnie wtedy.

Zle się z tym czułem. Wiedziałem, że będziesz wściekła, kiedy się domyślisz, że wszystko zaplanowałem. Ale to była wyjątkowa sytuacja. Jeden z najstarszych weneckich, przesądów. Trzeba znaleźć się z ukochaną kobietą w gondoli, o zachodzie słońca, pod Mostem Westchnień. W małym, ciasnym, ciemnym kanaliku, pod niepozornym przęsłem, łączącym Pałac Dożów ze starym więzieniem. Jeśli właśnie tam, pod więziennym mostkiem o zachodzie słońca pocałuje się ukochaną będzie się z nią do końca życia. I będzie to bardzo szczęśliwe życie.

Tego właśnie chciałem. Być z tobą na zawsze. Dawać ci szczęście i je dostawać. I jeśli ten mały podstęp mógł mi to zagwarantować, byłem gotów na wszystko. Ja, największy pragmatyk świata! Pocałunek o zachodzie słońca w gondoli! Co za tandeta!!!

Poszedłem krok dalej. W kieszeni miałem małe, aksamitne pudełeczko. Parzyło mnie w udo. Małe pudełeczko, a w nim pierścionek. Malutki, z białego złota, z prawdziwym brylantem. Zasługiwałaś na wszystko, co najlepsze. Na wszystkie brylanty świata.

Wiem, to było ryzykowne. Nie znosiłaś przecież niespodzianek. No ale jak można się oświadczyć bez nie-

spodzianki? Przecież zawsze jest tak, że najpierw nie wiesz, że ktoś ci się chce oświadczyć. A potem, kiedy to robi, to już wiesz. Jak można inaczej? Zapytać rano, czy pozwolisz, że ci się wieczorem oświadczę? No ale przecież wtedy to poranne pytanie, to też będzie niespodzianka! Zresztą, ten jeden jedyny raz chciałem ci się sprzeciwić. Chciałem, żebyś była zaskoczona i szczęśliwa. W najpiękniejszym mieście świata. Mieście Casanovy. Mieście miłości. Serenissima. Znow do głowy przychodziły mi te tandetne, harlequinowate porównania. Że Wenecja to najjaśniejsza gwiazda dla Włochów. A ty to najjaśniejsza gwiazda dla mnie. Gwiazda, która rozświetla moje życie i nadaje mu sens.

- Moja Serenissima - odezwałem się ze zduszonym gardłem, kiedy gondola skręciła z Canale Grande w lewo, w Rio Palazzo. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, słońce miało zajść dosłownie za sekundę. Gondolier wywiązał się ze swojego zadania. Teraz moja kolej.

- Moja Serenissima - powtórzyłem, sięgając do kieszeni. - Kocham cię, chcę być z tobą do końca życia.

Mogłem się pochylić i cię pocałować. To był ten moment. Zachód słońca. Mogłem to zrobić - i być z tobą do końca życia, zgodnie z weneckim wierzeniem. Ale ja chciałem więcej. Chciałem, żebyś powiedziała „tak”. Właśnie wtedy. Chciałem wykorzystać to weneckie wierzenie do końca. Może przedobrzyłem?

- Wyjdź za mnie! - wydusiłem z siebie, wyjmując pierścionek z pudełeczka i próbując włożyć ci go na palec.

Zrobiłaś się purpurowa na twarzy. Cała purpurowa. Przez ułamek sekundy miałem nadzieję, że to z radości. Ale nie. Twoje oczy, wąskie jak szparki i zimne jak lód, nie były radosne. Była w nich tylko złość, a nawet... czy to możliwe? Czy to była nienawiść???

- Co to jest? - syknęłaś wściekłe. - Zwariowałeś? Pierścionek zaręczynowy?

- Chcę być z tobą do końca życia. Kocham cię. Jesteś słońcem i gwiazdą mojego życia. Serenissima.

Pochyliłem się, żeby cię pocałować. Odepchnęłaś mnie. Słońce zaszło za budynki. Wiedziałem, że przegrałem. Że jest za późno.

Gondolier jęknął z zawodem.

- Pierścionek! Jesteś żaloszny! - wyjęłaś mi z dłoni złote kółeczko z brylantem.

I znów ten ułamek sekundy nadziei, że założysz go sobie sama. Że z jakiegoś powodu nie chcesz, żebym ci go wsunął na palec, że chcesz mnie wyręczyć.

Ale to był bardzo mały ułamek sekundy. Okamgnienie. A potem... potem zobaczyłem, co planujesz. Za późno.

Pierścionek wylądował w kanale.

- Stop! Stop! - krzyczałaś.

Kolejna nadzieja. Że w momencie, kiedy to zrobiłaś, zrozumiałaś swój błąd. Że chcesz wysiąść i wyłowić pierścionek z wody.

Niestety, nie. Ty po prostu chciałaś wysiąść. Jak najszybciej. I pobiec, gdziekolwiek, byle dalej ode mnie.

ROZDZIAŁ 8

Petrarka

Gondolier był tak przerażony tym, co się stało, że nie wziął ode mnie pieniędzy. Wiedział, że chcę po prostu jak najszybciej ruszyć za tobą w pogoń. Zatrzymać cię, porozmawiać, przeprosić.

- Jezu, za co ty ją chciałeś przeprosić? - me mógł zrozumieć Jacek, kiedy mu o tym opowiadałem po powrocie. - Za to, że ją kochasz? Za to, że chciałeś się z nią ożenić?

- Ciągle chcę - kiwałem z przekonaniem głową. - Ale nie powinienem tego robić w taki sposób, stawiać jej w takiej sytuacji. To był błąd.

- Jaki błąd? - stuknął się w głowę Marcin. - Kurwa, jaki błąd?!"Kobieta powinna płakać ze szczęścia, że ktoś ją tak kocha i wkłada tyle wysiłku w to, żeby się oświadczyć w taki sposób. Ona jest nienormalna. Nie rozumiem, co cię przy niej trzyma.

- Ona nie zawsze jest taka - powiedziałem cicho.

I to była prawda. Przecież większość chwil, które spędzaliśmy razem, była piękna. Wspominam je całymi dniami. Te długie spacery nad Wisłą. Wychodziliśmy z wydawnictwa i do późnego wieczora przechadzaliśmy się wzdłuż rzeki. Latem, kiedy w kilkudziesięciu ogródkach tłumy piły piwo, a my umykaliśmy spod kół rowerzystów, i zimą, kiedy całymi godzinami nie spotykaliśmy

nikogo. Całowaliśmy się pod mostem, jak jakieś napalone nastolatki. Raz nawet nie udało nam się powstrzymać przed zrobieniem czegoś więcej. W lutym, przy trzaskającym mrozie.

Było z tobą pięknie. Namiętnie. Zabawnie. Tak często przecież śmialiśmy się do łez. Byłaś cudowna. Przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu, który razem spędzaliśmy, byłaś cudowna. Marcin i Jacek mieli spaczony obraz sprawy, bo nie opowiadałem im za wiele o tych wspaniałych chwilach. One były tylko nasze. Opowiadałem za to o tych złych, trudnych... i dlatego mieli cię za potwora. Ale ty nie byłaś potworem. Dawałaś mi szczęście, jak nikt inny.

- Co ty, kurwa, pierdolisz! Ta kobieta cię niszczyła! - denerwował się Marcin. - Ona potrzebuje psychoterapii, na pewno ktoś ją kiedyś strasznie skrzywdził.

Na pewno. Sama mi to kiedyś powiedziałaś. Oczywiście nie wprost. Nie lubiałaś mówić o swojej przeszłości. Ale powiedziałaś, dokładnie pamiętam, tuż przed naszym rozstaniem:

- Gdybyś wiedział, co ja przeżyłam, na wiele spraw patrzyłbyś inaczej.

Nie ośmieliłem się zapytać, co przeżyłaś. Ale wiem, że musiało to być coś strasznego. I że miało coś wspólnego z twoimi rodzicami, o których nie chciałaś mówić. Nigdy nie widziałem nawet ich zdjęcia. I nigdy nie dowiedziałem się, co ci zrobili. Co mogło skrzywdzić cię tak bardzo, że teraz bałaś się miłości? Nie ośmieliłem się o to zapytać.

Nie ośmieliłem się też zapytać o złotą obrączkę. Bardzo długo nie pytałem. Chwilami wydawało mi się nawet, że w ogóle jej nie było. Że mi się coś przywidziało. Miałaś ją przecież na palcu tylko raz, pierwszego dnia. Wtedy, kiedy przyjmowałaś mnie do pracy i kiedy ze-

mdlałem na progu twojego gabinetu. A potem... potem, kiedy się ocknąłem, już nie było jej na twojej dłoni. To było pierwsze, co zauważyłem, otworzywszy oczy.

Przez prawie rok nie zapytałem o tę obrączkę. A potem, kiedy już zamieszkaliśmy razem, zapytałem. I oczywiście wywołałem wybuch wściekłości.

- Ta obrączka to przeszłość! A przeszłość to nie twoja sprawa, nigdy o nią nie pytaj! Nigdy, rozumiesz?

Rozumiałem. Rozumiałem słowo „nigdy” i starałem się je zapamiętać. Żeby już ani razu tak cię nie zdenerwować.

To jednak było niemożliwe. Było tyle rzeczy, o które nie powinienem nigdy pytać, o których nie powinienem w ogóle wspominać. Zbyt wiele, by raz na jakiś czas nie dotknąć w rozmowie którejs z nich. Wśród tych rzeczy na samym szczycie było oczywiście małżeństwo i posiadanie dzieci. Równie wysoko była twoja przeszłość. Twoja, bo moją wałkowaliśmy w nieskończoność. Byłaś zazdrosna nawet o pocałunek na obozie sportowym w pierwszej licealnej! Nie przeszkadzało mi to. Gdyby ci na mnie nie zależało, to byś nie była zazdrosna, prawda? A więc pochlebiali mi twoje zainteresowanie moją przeszłością. I to bardzo. Co jeszcze było na tej liście? Twoi rodzice, których nigdy nie poznałem. Twoja kariera. Miałem się na jej temat nie wypowiadać i już, nawet bardzo pochlebnie. Nie chciałaś mieszać życia zawodowego z prywatnym, co w naszym przypadku było dość trudne.

Zresztą mi też życie zawodowe wymieszało się z prywatnym, całkowicie przypadkiem. Wtedy, w Wenecji. W dniu, który miał być pierwszym dniem po naszych zaręczynach... najpiękniejszym dniem mojego życia. Równo dziewięć miesięcy po naszym pierwszym spotkaniu. Specjalnie wybrałem ten dzień. Dziewięć miesięcy na dojrzewanie miłości, a potem narodziny.

Narodziny nowego etapu naszego wspólnego życia. Pewnie powiedziałaś, że to tandetne, ale mi podobał się ten pomysł.

Wieczorem wróciłem do hotelu, już po ciemku. Nie było cię tam. Twoje rzeczy leżały nieruszone. Siedziałem i czekałem, prawie do rana. Przecież musisz w końcu wrócić? Bałem się wyjść choćby na pięć minut. Zamówiłem przez telefon pizzę z jakiejś kiepskiej, koszmarnej drogiej knajpki dla turystów, której ulotka leżała w szufladzie szafki nocnej. To chyba była najgorsza pizza, jaką jadłem w życiu. Zarezerwowałem na ten wieczór stolik w restauracyjce koło Akademii. Z widokiem na uroczy kanał San Trovaso. Wybierałem ją prawie tak długo jak hotel. Musiała być doskonała. Na nasz doskonały, zaręczynowy wieczór. Niestety, zarezerwowany stolik czekał pusty aż do zamknięcia restauracji. Szampan, którego zamówiłem faksem, spędził noc w lodówce. Kelnerzy pewnie szeptali zaniepokojeni, że dałaś mi kosza. No i mieli rację, oczywiście.

Nie jadłem kolacji w małej restauracyjce z widokiem na kanał. Zjadłem pizzę, najgorszą w moim życiu. I zasnąłem, chyba o czwartej nad ranem, w ubraniu, na naszym łóżku z baldachimem. Łóżku, w którym nie kochaliśmy się ani razu. Pierwszego dnia byłaś zbyt zmęczona podróżą, drugiego zaś... drugiego dnia nie wróciłaś do hotelu.

Obudził mnie twój SMS.

Proszę zabierz mój czarny pulower, resztę rzeczy możesz wyrzucić. Jestem już w Warszawie.

W Warszawie? Bez paszportu??? Bez biletu???

Rzuciłem się do szuflady. Bilet leżał na swoim miejscu, ale paszportu nie było. No jasne, przecież zostawiliśmy paszporty w recepcji, kiedy się meldowaliśmy.

- Signorina Cudny była tu wczoraj wieczorem - powiedział właściciel hoteliku, oczywiście wymawiając twoje nazwisko jako Kudni. - Nie chciała wchodzić do pokoju, potrzebowała tylko paszportu.

No tak. Szkoda, że nie zapytałem o to od razu, wieczorem. Mógłbym cię jeszcze dogonić, może na przystanku taksówek wodnych, może na lotnisku. Dogonić i błagać, żebyś zmieniła zdanie i została. Chociaż tak naprawdę wątpię, czy to by coś dało. Ty nie znosisz zmieniać zdania. Chyba tylko raz udało mi się przekonać cię, żebyś to zrobiła. Dokładnie pamiętam tę sytuację...

- Czy coś się stało? - właściciel hotelu był wyraźnie zaniepokojony.

- Nie - uśmiechnąłem się, najbardziej naturalnie jak umiałem. - Signorina Cudny musiała nagle wyjechać, dlatego potrzebowała paszportu.

- Jakieś kłopoty rodzinne? - nie udało mi się go chyba uspokoić.

- Nie... kłopoty w pracy - kolejny uśmiech.

Tym razem zadziało. Praca nie była dla Włochów tak ważna jak rodzina. Odwrotnie niż dla ciebie.

Nareszcie mogłem sobie pójść, pomstując na twoją złotą kartę kredytową. Zawsze miałaś ją przy sobie. W kieszeni, w malutkim portfeliku. W gondoli też był z tobą. Właściwie mogłabyś włożyć tam i dowód osobisty i jechać na lotnisko bez wchodzenia do hotelu. Przecież możemy już podróżować z dowodem zamiast paszportu. No ale twój dowód jest bardzo zniszczony. I wciąż nie masz czasu go wymienić. Zawsze tak mówiłaś, ale nigdy nie pozwoliłaś mi go wziąć do ręki. Pewnie dlatego, że w środku była odpowiedź na pytanie o złotą obrączkę, które tak mnie nurtowało. Wyszedłem z hotelu wcześniej rano. Kompletnie bez celu. I nagle znowu przypomniałem sobie, co mówił mój

profesor. Że każdy italianista powinien zobaczyć świt na targu na Rialto. Niewiele myśląc, poszedłem więc, w tamtą stronę. Bez mapy, błędząc w gęszej porannej mgle, kierując się tylko żółtymi strzałkami na ścianach budynków. Mostek, jeszcze jeden, wąska uliczka z praniem suszącym się nad moją głową...

Nagle, na kilka sekund, zapomniałem o przepelniającej mnie rozpacz i tęsknocie. I lęku, czy zechcesz ze mnajeszcze kiedykolwiek porozmawiać. Bo na tych kilka chwil wciągnęła mnie atmosfera Wenecji. Wciągnęła po same uszy. A wszystko przez kobietę, która stała w oknie i śpiewała. Nie żadna śpiewaczka, która zarabiała w ten sposób na życie, zbierając drobniaki do futerału po skrzypcach. Nic z tych rzeczy. Ona stała - ledwie w tej mgle widoczna, na drugim piętrze, wysoko nad-ulicą, w koszuli nocnej - i czesała drewnianym grzebieniem swoje długie, czarne włosy. I śpiewała tak, że aż przechodziły mnie dreszcze. Pięknym, głębokim głosem. Jak w operze. Przycupnąłem na moment w bramie, ukryty przed jej wzrokiem, i słuchałem. I czułem... Czy to nie brzmi idiotycznie kilka godzin po odrzuceniu moich oświadczeń? Czułem się szczęśliwy. Do szpiku kości.

Nagle ktoś mnie potrącił. Odruchowo złapałem się za kieszeń. Czyżby złodziej? To miasto pełne turystów, a więc muszą być i złodzieje. Ta mgła na pewno im sprzyja. Ale to nie był złodziej. To był mężczyzna z taczka. W pobrudzonych farbą spodniach, w rozpiętej koszulce, mimo październikowego chłodu poranka. Wiózł jakieś deski i śpiewał. Zupełnie inaczej niż kobieta w oknie. Jakaś zabawna piosenkę, chyba nawet nieco sprośną, o ile dobrze zrozumiałem słowa. Nigdy nie byłem zbyt dobry w dialektach, a to był właśnie czysty, piękny dialekt z Veneto. Wsłuchiwałem się w niego z przyjemnością. Kobieta w oknie zamilkła i leż uważnie słuchała, a potem, przy słowach „Jego

ptaszek w gniazdku się mości, na wesele czas już spraszać gości", wybuchnęła perlistym, zaraźliwym śmiechem i z trzaskiem zamknęła okiennice.

To była Wenecja, o jakiej marzyłem przez te wszystkie lata! Serenissima!

Przeszedłem jeszcze sto, może sto pięćdziesiąt metrów, zostawiając po prawej stronie wielki biały most, jeden z zaledwie trzech przerzuconych nad Canale Grandę, i nagle zobaczyłem targ. Taki jak w mojej wyobraźni. A może jeszcze piękniejszy? Warzywa i owoce mieniły się kolorami. Kawałek dalej świeże ryby, dostarczone właśnie na nabrzeże barkami prosto z porannego połowu, wyslizgiwały się sprzedawcom z rąk, wywołując salwy śmiechu na sąsiednich straganach. A nad wszystkim unosił się zapach kawy.

Poczułem, że jestem głodny. Zimna, twarda pizza, nie wiadomo czemu smakująca octem, nie zaspokoila wczoraj mojego apetytu. Zwłaszcza apetytu na Wenecję, na to, co można zjeść tylko tutaj. W nocy byłem zbyt zdenerwowany, żeby o tym myśleć. Ale teraz...

Wysuplałem z kieszeni drobne i usiadłem na wysokim stołku w kawiarence na rogu. Przy długiej ladzie biegnącej wzdłuż okna z widokiem na stragany. Tak, to było Rialto. Każdy italianista powinien wypić tutaj poranne espresso albo cappuccino i zjeść tramezzini.

Zdecydowałem się na cappuccino z mnóstwem gęstej mlecznej piany. I na tramezzini z tuńczykiem i jajkiem w majonezie. Moje ulubione. Jadałem takie w Rzymie, wieki temu, w czasie pobytu na stypendium.

„Ach, gdybym tak znów mógł zostawić wszystko za sobą i wyjechać na stypendium!", pomyślałem.

Niestety, to już nie te czasy. Nie jestem już studentem, lecz sekretarką. A sekretarkom stypendia nie przysługują.

Zresztą, po powrocie pewnie będę bezrobotny. Jesteś przecież na mnie wściekła i nie będziesz mnie chciała trzymać u siebie w firmie. I nawet trudno ci się dziwić.

Siedziałem i patrzyłem na kolejne stragany rozkładane we mgle na placyku tuż koło barn. Tramezzini, kanapki z delikatnego białego chleba bez skórki, rozpływały się w ustach. Smakowały lepiej, niż wszystkie tramezzini, które zjadłem w Rzymie. A zjadłem ich bardzo dużo... Widać te weneckie były po prostu lepsze. A może ja byłem głodniejszy niż wtedy, na stypendium? I jeszcze ta kawa. Cudowna kawa, pachnąca tak, jak nigdzie przedtem!

Nagle przypomniałem sobie o faksach, które wymieniłem z właścicielem małej restauracyjki koło Akademii, gdzie miałem zjeść z tobą kolację. Był taki miły, ustalił ze mną wszystkie szczegóły, kupił nawet obrus w twoje ulubione niezapominajki. Sądząc z charakteru pisma, to był naprawdę starszy człowiek. Nie słyszał nawet o Internecie i nie miał pojęcia o tym, że w sieci jego knajpkę i jego vitello tonnato poleca ponad sto dwadzieścia osób!

Pomyślałem, że jeśli mu nie wyjaśnię, dlaczego nie przyszliśmy, i nie oddam przynajmniej tych pięciu czy dziesięciu euro za obrus, facet straci wiarę w ludzi. I będę go miał na sumieniu.

- Oszalałeś? - Marcin puknął się energicznie w czoło. - Myślisz, że on nie ma codziennie co najmniej dwóch takich klientów, którzy rezerwują stolik, a potem nie przychodzą?

- Może ma - pokiwałem głową. - Ale nie wszyscy wysyłają do niego jedenaście faksów, żeby ustalić, jaki kolor mają mieć talerze, i proszą o zasłonięcie stolika parawanem, żeby było intymnie, ale jednocześnie chcą, żeby stolik był przy oknie, żeby można było zerkać na kanał.

- No i jeszcze ten obrus - mruknął Jacek. - Faktycznie, facet chyba zapamięta cię na długo. Gdybyś tam nie poszedł, pewnie do końca życia by się zastanawiał, czy to był jakiś głupi dowcip czy może wpadłeś pod samochód w drodze na tę kolację.

- Pod samochód? W Wenecji? - tym razem to ja po-stukałem się w czoło.

Nie wpadłem pod samochód. I nie chciałem, żeby Si-gnor Salvatore Mazzini myślał, że jestem jakimś szczeniakiem robiącym sobie idiotyczne żarty. I dlatego ruszyłem szybkim krokiem w stronę Akademii. Oczywiście zapominając, że na Canale Grandę są tylko trzy mosty i że powinienem przejść przez dwa z nich, żeby nie biec nad San Trovaso okrężną drogą. No ale było już za późno. Most Rialto został za moimi plecami. Musiałem poradzić sobie tak, jak to robią weneccjanie, czyli skorzystać z traghetto. „Najtańszy sposób, żeby przepłynąć się gondolą” - tak piszą o traghetti przewodniki dla turystów. Nie dodają jednak, że jest to sport ekstremalny. Do środka tego gondolowego promu włacza się wszystkich chętnych: kobiety z torbami pełnymi zakupów, studentów malarstwa ze sztalugami... Wszyscy stoją, głowa przy głowie, w wąziutkiej, wywrotnej łódce, a gondolier przeprowia się przez kanał. Nie wiem, ile procent traghetti nie dociera na drugi brzeg. Starłem się o tym nie myśleć, stojąc między piszczącymi radośnie japońskimi turystkami, fotografującymi nawet przelatujące mewy, a weneckim emerytem z rudym kocurem w ramionach i czując, jak gondola przechyla się niebezpiecznie raz w prawo, raz w lewo. Nie miałem jednak wyboru. Do odlotu zostało mi pięć godzin. A musiałem jeszcze się spakować i dotrzeć na lotnisko. Tramwajem wodnym. Skoro nie było już ciebie, nie musiałem rujnować się na taksówki-motorówki. I tak ten wyjazd, do spółki z leżącym

na dnie kanału pierścionkiem, wpędził mnie w nieliczne tarapaty finansowe. Nie było sensu dalej w nie brnąć. Tramwaje wodne, czyli vaporetti, też są całkiem szybkie i wygodne. I lekko licząc, z pięćdziesiąt razy tańsze od taksówek.

- Zamknięte! - jęknąłem pod drzwiami restauracji.

Jak mogłem - ja, italianista, człowiek, który spędził w sumie prawie trzy miesiące w Rzymie i Neapolu - spodziewać się, że jakakolwiek restauracja będzie czynna

o dziesiątej rano? A nawet przed dziesiątą? Przecież to jasne, że otwierają dopiero wieczorem. On mi nawet pisał, że zaprasza po osiemnastej. Ależ ze mnie kretyn! Mogłem sobie jeszcze posiedzieć w tym barze i popatrzeć przez szybę, jak ryby wyślizgują się sprzedawcom z rąk. Ale nie, zachciało mi się uczciwości! I spaceru do knajpy zamkniętej na cztery spusty.

Dopiero po chwili, kiedy minęła mi złość, zobaczyłem, że restauracja, którą - jak napisano na drzwiach - Signor Salvatore prowadzi od czterdziestu czterech lat, jest naprawdę przepięknie położona. Nad niewielkim kanałem, z widokiem na stary kościół i kolorowe domy. I na warsztat, jeden z dwóch czy trzech wciąż czynnych warsztatów szkutniczych, w których robi się gondole. Czytałem ci o nim w przewodniku, jeszcze przed wyjazdem, pamiętasz? Działa nieprzerwanie od siedemnastego wieku!

Gdy wpatrywałem się w polakierowane na czarno łodzie, suszące się na pomoście przed małym, drewnianym budyneczkiem ze stromym dachem, pod wielkimi oknami restauracji przepłynęła płaskodenna barka. Stara, odrapana... i piękna. W środku siedział siwy Włoch

i jego pies. Chyba równie stary, choć nie siwy. Pies z przejęciem wpatrywał się w wodę, a mężczyzna cicho nucił coś pod nosem. Bez słów.

- Co za rozśpiewane miasto, każdy ma tu własną melodię - mruknąłem do siebie.

- Pan z Polski? - zapytał nagle jakiś młody mężczyzna, który pojawił się nie wiadomo skąd, jak duch we mgle poranka.

Spojrzałem na niego zdumiony. Nie wyglądał na turystę, ja chyba też nie. Obydwaj mieliśmy brązowe buty, czyste i nowe... jak prawdziwi Włosi. I tweedowe marynarki. Nie różniliśmy się niczym od spieszących do pracy weneccjan.

- Pan z Polski? - Powtórzył facet.

Pokiwałem głową, niepewny o co mnie poprosi. O zrobienie zdjęcia? O to najczęściej prosili turyści w Rzymie, trafiając na rodaka w okolicy jednego z zabytków. Ale tu nie było chyba żadnego słynnego zabytku. A ten mężczyzna, chłopak właściwie, chyba nie miał ze sobą aparatu, tylko stertę papierów.

- Tak się cieszę! - powiedział, zupełnie jakbyśmy spotkali się nieoczekiwanie na jakimś pustkowiu w Zimbabwie albo Nowej Zelandii. W Wenecji przecież mijają się pełno polskich wycieczek, dlaczego ucieszył się akurat na mój widok???

Szybko jednak okazało się, że wycieczki nie były najlepsze do realizacji jego celu.

- Turyści ciągle się spieszą - wyjaśnił. - Nie mają kwadransa, a ja potrzebuję kwadransa.

Zrozumiałem, że nie jest jednak Polakiem.

- Pięknie pan mówi po polsku - uśmiechnąłem się. Prawie bez akcentu.

Chłopak był Chorwatem, studiującym na Uniwersytecie Weneckim. Przedtem skończył polonistykę w Zagrzebiu i zamierzał specjalizować się z tłumaczeniach z włoskiego na serbsko-chorwacki i polski.

- Przetłumaczyłem na polski Petrarę - powiedział. Skończyłem dwie godziny temu. Muszę dziś oddać

profesorowi. Jak będzie dobrze przetłumaczone, wyślą to na konkurs i może dostanę stypendium na następny rok. Zależy mi. Przeczytałaby pan to tłumaczenie?

Petrarka? Tak, to o nim miałem pisać doktorat. I za tłumaczenie go na polski dostałem jedną z trzech nagród. Ale wolałem nie mówić o tym sympatycznemu Chorwatowi.

- Nie musi się pan znać na tym, na poezji - uspokajał mnie chłopak. - Chodzi tylko o to, żeby nie było błędu.

- Jasne, przeczytam, bardzo chętnie - spojrzałem ukradkiem na zegarek i uznałem, że zdążę to zrobić. Wciąż miałem jeszcze godzinę zapasu. Mogłem ją poświęcić ulubionemu poecie.

- *Sonety do Laury*? - zapytałem. A on uniósł brwi.

- Nie, *Africa*... To trochę mniej znane.

- Mniej znane? - tym razem to moje brwi powędrowały do góry. - Najsłynniejszy renesansowy poemat epicki. Za niego dostał przecież na Kapitolu laur poetycki, przyznawany tylko największym twórcom. W 1341 roku?

- Wydaje mi się, że trochę później, on przecież skończył pisać *Africę* dopiero w 1342, a to... - chłopak przerwał w pół zdania i wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami. - Pan się zna na Petrarce?

- Trochę - machnąłem ręką.

A potem powiedziałem mu prawdę. W końcu i tak już się zdemaskowałem.

Usiedliśmy w malutkim barze na dworze, przy stoliku z widokiem na stary, ceglany mostek. W te okolice nie zapuszczali się turyści. Przechodziło za to sporo kobiet z zakupami. Wszystkie przemykały szybko, w wyraźnym pośpiechu. Musiały przecież zdążyć z obiadem, zanim mąż wpadnie z pracy na sjęstę do domu. Jedzenie musi gotowe być punktualnie o trzynastej. Jedna z kobiet trzymała ostrożnie,

żeby nie pognieść ani jednego listka, spory bukiet bazylii. Jej zapach zakręcił mi w nosie.

- Pewnie mąż dostanie penne di pesto - uśmiechnął się Chorwat. - A może zupę pesto? Smaczna rzecz.

Ja jednak wpatrywałem się już w drobne rybki, wysypujące się na chodnik z torby siwej, kruchej staruszki.

- Signora! - zawołałem, zrywając się od stolika. - Si-gnora, permesso...

Schyliłem się i zacząłem zbierać ryby, skorupiaki, mięczaki... Czego tam nie było!

- Antipasto di mare? - zapytał mój towarzysz.

- Bigoli alia marinara - uśmiechnęła się staruszka, przyjmując z moich rąk ostatnie, dziwne żyjątko. Byłe żyjątko, martwe już dzięki Bogu. - Grazie, signore, grazie. Molto gentile.

- Co to było? - poczułem, że robi mi się niedobrze. - Chyba nie kalmary?

- Granseoli, jugosłowiańskie pająka morskie - wyjaśnił Chorwat, a moje mdłości przybrały na sile. - Nie jadł pan granseoli? To wenecki przysmak. Nie są tani, staruszka miała tylko kilka. To były resztki z targu, widział pan. Po trochu wszystkiego, tanie resztki, ale do bigoli alia marinara jak obszył.

- Jak znalazł - uśmiechnąłem się.

I w porę przypomniałem sobie, że bigoli to ciemne spaghetti, robione z mąki pełnoziarnistej. Wenecki przysmak. Podała go kiedyś, na jakiejś imprezie, dziewczyna z Véneto, którą poznałem na stypendium w Rzymie. Ten jej był chyba z tuńczykiem. Wyglądał okropnie, smakował fantastycznie. Wolałbym jednak nie próbować bigoli z dodatkiem pajaków.

Musiałem jak najszybciej oderwać od nich myśli, żeby nie wymiotować. Byłem chyba jedynym italiانى-stą świata, który nie znosił frutti di mare!

- Te kobiety wracające z targu też śpiewają - mruknąłem do siebie, patrząc na ubraną na czarno Włoszkę, ciągnącą po nierównym bruku wózeczek pełen karczochów i śpiewającą jakąś rzewną pieśń o porzuconej dziewczynie.

- Tu wszyscy śpiewają, też to zauważyłem - uśmiechnął się chłopak.

Uśmiech nie schodził mu zresztą z ust od kiedy zorientował się, że trafił na profesjonalistę. W dodatku profesjonalistę gotowego mu pomóc za darmo.

- Za darmo się nie zgadzam - powiedział. - Pozwoli mi pan przynajmniej zapłacić za kawę.

Pozwoliłem. A potem uściśnąłem mu dłoń.

- To najlepsze tłumaczenie *Afryki*, jakie czytałem - oświadczyłem zgodnie z prawdą. - Poza tymi czterema czy pięcioma drobnymi błędami w odmianie, które poprawiliśmy, jest doskonałe. Ma pan to stypendium w kieszeni, słowo daję.

- A pan? - ciemne oczy Chorwata wpatrywały się we mnie uważnie. - Dlaczego pan nie postara się o stypendium?

- Nie mogę wszystkiego rzucić i wyjechać na rok do Wenecji - powiedziałem, chociaż dokładnie na to miałem teraz ochotę. Rzucić wszystko i wyjechać na rok. Właśnie do Wenecji.

- Nie musi pan rzucić - chłopak zmarszczył czoło. Widać było, że usiłuje sobie coś przypomnieć. - Są stypendia dla tłumaczy. Żeby tłumaczyć w domu na dziwne języki. Zna pan jakieś dziwne języki?

- Znam - roześmiałem się, zaskoczony tym pytaniem. - Nawet kilka, ale mało przydatnych.

- Im dziwniejsze, tym lepsze - chłopak rzucił kilka monet na ladę i zaczął ciągnąć mnie za rękę. - Chodźmy chodźmy do Ca' Foscari.

- Ca' Foscari? - nie wiedziałem, co ma na myśli.

- Chodźmy na uniwersytet. Tam jest tablica, a na tablicy stypendia dla tłumaczy.

No, skoro tak. Ca' Foscari, z tego, co pamiętałem z mapy, nie było daleko. A ja wciąż miałem kwadrans zapasu.

- Jeśli obieca pan, że przyjdzie do tej restauracji i przekaze właścicielowi liścik ode mnie... i pięć euro - uśmiechnąłem się, wydłużając krok.

Na lotnisko dotarłem w ostatniej chwili, objuczony jak osioł. Moja walizka, twoja walizka... W końcu nie mogłem wyrzucić kosmetyczki pełnej drogich specyfików i sukienki, która kosztowała tyle, co moje dwie pensje, tylko dlatego, że się na mnie zezłościłaś. Zresztą walizki nie były najgorsze. Oprócz nich miałem dwie torby pełne papierów, strasznie nieporęczne. A wszystko przez Chorwata i wizytę na uczelni. I spotkanie z Professore Agrugno, wielkim miłośnikiem Petrarcki.

- Poprę pana wniosek stypendialny - obiecał mi po pięciu minutach rozmowy.

Byłem przerażony. Porwałem się na coś niemożliwego. Ale z drugiej strony, czy to wszystko stało się przypadkiem? Mój pobyt w Wenecji właśnie tego dnia? Mój samotny spacer nad kanałem San Trovaso? I to, że mruknąłem coś po polsku, sam do siebie, akurat w tym momencie. I że Chorwat to usłyszał? I że akurat teraz przydzielano to stypendium, kolosalne stypendium dla kogoś, kto zna przynajmniej trzy języki afrykańskie? Ja znałem. Termin składania wniosków mijał za osiemnaście godzin. Czy to wszystko mógł być przypadek?

Nigdy nie wierzyłem w przeznaczenie. Nigdy, do chwili, gdy poczułem zapach arbuza w styczniowy dzień w twoim gabinecie. I gdy usłyszałem kroki twoich

bucików z kokardkami. Wtedy to był pierwszy raz. Teraz, na weneckim lotnisku, spoglądając po raz ostatni na lagunę, po raz drugi przyszło mi do głowy to słowo. Przeznaczenie. Magia. Los.

Aż przeszły mnie dreszcze. Bo poczułem, że nie rządę sam swoim życiem. Że jakaś niewidoczna dłoń podsuwa mi nagle na tacy coś, o czym nic miałem pojęcia, i w ułamku sekundy zmienia całą przyszłość. Niewidoczna dłoń Chorwata wyłaniającego się z gęstej mgły.

ROZDZIAŁ 9

Zazdrość

- Dostałem to stypendium! - wbiegłem do twojego gabinetu bez pukania, pierwszy raz w życiu. Pierwszy i przedostatni.

Oczywiście byłaś wściekła.

- Dostałem to stypendium - powtórzyłem już spokojniej.

- To nie usprawiedliwia tego, że nie zapukałeś. To niedopuszczalne - to, co powiedziałem, nie zrobiło chyba na tobie żadnego wrażenia!

- Delcia, słyszysz mnie? - wiem, że nie lubisz, jak się zdrabnia twoje imię, ale ja czasami po prostu chciałem je zdrobnić. Na przykład w chwilach takiej radości jak wtedy.

- Nie mów do mnie „Delcia” - syknęłaś. - I wyjdź stąd, proszę. Zamknij drzwi, zapukaj i poczekaj na zaproszenie.

Co?!? To brzmiało jak w szkole. W szkole zdarzało mi się słyszeć: „Wyjdź i wejdź jeszcze raz, jak człowiek”. No ale to jednak było kilkanaście lat temu. Prawie dwadzieścia.

Normalnie pewnie bym posłuchał. Nie znosiłem przecież, kiedy się denerwowałaś i byłem gotów zrobić wszystko, żeby nie dawać ci powodów do przymykania oczu w te wąskie szparki. Ale tym razem nie zamierzałem

dać się wyrzucić. To było moje zwycięstwo! W chwili, gdy już prawie o tym zapomniałem, ponad trzy miesiące po złożeniu tych papierów.

- Delcia, Delisia, Delunia! Nie będziesz już musiała być moją szefową! Będę miał własne pieniądze, mnóstwo pieniędzy. I pracę, o jakiej zawsze marzyłem!

- uklęknąłem przy twoim skórzanym fotelu i zacząłem całować twoje dłonie. A potem usiłowałem zdjąć ci buciki z kokardkami i ucałować twoją stopę. Przynajmniej jedną. Wyrwałaś mi się jednak, wstałaś gwałtownie i zasłoniłaś się fotelem.

- Wyjdź! - wrzasnęłaś. - Wyjdź albo będę musiała wezwać ochronę. Cóż, wiedziałem już, że nie rzucasz słów na wiatr. Nie było sensu się upierać.

- Będę u siebie w pokoju, jakbyś chciała pogadać. Złożę dziś wypowiedzenie, muszę się ostro brać do pracy nad tymi tłumaczeniami.

- Przecież masz na nie trzy lata? - uniosłaś brwi.

- Nie musisz rezygnować z etatu.

- Ale chcę - powiedziałem i zamknąłem za sobą drzwi. Naprawdę czułem, że chcę... że muszę zrezygnować.

Nie tylko dlatego, że czekał mnie ogrom pracy nad tłumaczeniem wszystkich najważniejszych dzieł literatury włoskiej na trzy języki Czarnego Łądu: zulu, kosa i suazi, ale przede wszystkim dlatego, że nie powinienem być dłużej twoim podwładnym. Tak czułem.

- Ja cię awansowałam, dwa razy w ciągu kwartału, a ty teraz odchodzisz?! - wpadłaś do mojego pokoju jak burza. Ania i Gosia, które ze mną pracowały, natychmiast wyszły, starannie zamykając za sobą drzwi.

-Adela... Przecież wiedziałaś, że złożyłem te papiery, przecież mi kibicowałaś. A teraz co? Myślałem, że się ucieszysz?

-Ale się nie cieszę - byłaś naprawdę wściekła. - Dajesz mi w ten sposób do zrozumienia, że pracowałeś u mnie tylko dlatego, że nie miałaś nic lepszego. I że jesteś ze mną, bo nie masz nic lepszego. Jak poznasz lepszą kobietę, to sobie pójdziesz, tak? Tak mam to rozumieć?

Zacząłem się śmiać, to było takie absurdalne! Ale ty nie żartowałaś.

- To może lepiej wyprowadź się ode mnie od razu, co? - powiedziałaś, stojąc w drzwiach. - Nie chcę czekać, aż odejdziesz do jakiejś innej, tak jak odchodzisz z mojej firmy z powodu jakiegoś głupiego stypendium rządu włoskiego.

Jakiegoś głupiego stypendium?!? Przecież to jeden z największych grantów na promocję kultury włoskiej w historii! Umowa z rządem RPA i kilku mniejszych krajów, projekt, który ma być rozwijany przez dwadzieścia lat...

- I niby nikt we Włoszech nie zna trzech języków z rodziny bantu? Musieli zatrudnić Polaka? - zapytałaś wieczorem, już trochę spokojniej.

- Myślę, że pomógł mi ten profesor z Wenecji, jego opinia chyba bardzo wiele znaczyła... - uśmiechnąłem się, wspominając kruchego, siwego staruszka ściskającego mi dłoń. - A poza tym jestem nie tylko specjalistą od języków bantu, ale i italianistą. To rzadka kombinacja, nawet we Włoszech.

- Gdyby nie ten twój głupi pomysł z oświadczeniami w gondoli, nie miałbyś pojęcia o tym, że możesz wystąpić o to stypendium i nie byłoby problemu - westchnęłaś.

A ja zrozumiałem, że naprawdę nie zamierzasz się cieszyć moim sukcesem.

- No jasne, że nie zamierza się cieszyć - pokiwał głową Marcin. - Podobało jej się to, że ma nad tobą kontrolę. Może cię awansować albo przenieść na inne stanowisko. Kazać ci zostać po godzinach albo łaskawie pozwolić wyjść wcześniej. Dać podwyżkę albo cofnąć premię. Mogła zrobić wszystko. Mogła cię nawet wyrzucić z pracy, z dnia na dzień. Mieszkasz w jej mieszkaniu, pracujesz w jej firmie, jeździsz jej samochodem. Jest panią twojego losu. A teraz to się zmieni. Niby dlaczego miałaby być zachwycona?

- Bo to dla mnie dobre - odparłem bez zastanowienia. - A jak się kogoś kocha, to chce się dla niego tego, co dobre, prawda?

Jacek i Marcin milczeli, patrząc na mnie z politowaniem. A mi chyba z pół minuty zajęło zrozumienie, co mówi ten ich wzrok i to milczenie. Chociaż to było takie proste: ty mnie nie kochasz. Nigdy nie kochałaś. I dlatego nie chcesz tego, co dla mnie dobre i nie umiesz się tym cieszyć.

A kiedy już zrozumiałem, to i tak nie zamierzałem w to uwierzyć. Przecież sama chciałaś, żebyśmy zamieszkali razem! Czy chciałabyś tego, gdybym był ci obojętny?!

- Nikt nie mówi, że jesteś jej obojętny - tłumaczył mi Marcin spokojnie. - Lubi cię. Potrzebuje cię. Żebyś zrobił zakupy, ugotował jej obiad i obsłużył ją w łóżku.

„Obsłużył”, co za słowo! A jednak, zaskakująco pasowało do tego, co się między nami działo... przynajmniej ostatnio. Na początku wszystko wyglądało inaczej. Na początku byłaś nienasycona i namiętna. Potrafiłaś przywiązać mnie do rury i pieścić godzinami. Ale to było dawno temu. Całe lata świetlne temu. Teraz było całkiem inaczej. Chyba od chwili, gdy razem zamieszkaliśmy.

- Wiecie, że od kiedy razem mieszkamy, to kochamy się rzadziej niż przedtem? - powiedziałem zdumiony.

A Marcin i Jacek pokiwali głowami, że tak, że wiedzą... i że to zupełnie normalne.

Nie wiem, dlaczego normalne. I nic mnie to nie obchodzi. Ja chciałem, żeby było jak dawniej. A nawet lepiej. Dlatego właśnie raz, jeden jedyny raz, kupiłem nawet tabletki. Przez Internet. Ze Stanów. Reklamowali je hasłem „Become Sex-Monster”. Pewnie nie miały żadnej mocy, oprócz mocy zasilania kieszeni ich dystrybutora trzydziestoma dolarami od każdego z takich frajerów jak ja. Kupiłem dwie tabletki. Jedną dla ciebie i jedną dla mnie. Chociaż ja czułem się wciąż nienasyconą bestią i czekałem tylko, aż pozwolisz mi to udowodnić. Chciałem mieć jednak pewność, że tej nocy zdołam spełniać wszystkie twoje zachcianki, do samego rana. I dlatego ta tabletki, nie tylko dla ciebie, ale i dla mnie. Wrzuciłem je do wina... a ty oczywiście tego dnia nie przyjechałaś do domu. Bo musiałaś pracować. Powiedziałaś, że posiedzisz do rana w wydawnictwie. Może byłaś u księgowego? Może u kogoś innego? Nie wiem. To zdarzało się tak często. Wino zmętniało na stole, ja zasnąłem w ubraniu, nie pierwszy już raz. Rano wylałem nasze tabletki za trzydzieści dolarów do sedesu. I wytłumaczyłem sobie, że będzie lepiej, normalniej, namiętniej, kiedy ja też będę miał jakąś prawdziwą, dobrze płatną pracę. I ten moment właśnie się nadarzył. Powinnaś być zadowolona.

- Adelko... - tłumaczyłem ci wieczorem, w czasie kolacji.

Zrobiłem wszystko, żeby to była szczególna kolacja. Tak szczególna jak to, co udało mi się osiągnąć. Kupiłem najlepsze wino. Oczywiście włoskie. Oczywiście chianti. Przejechałem pół miasta, żeby kupić

najlepszą wołowinę. Taką, z której można zrobić carpaccio, twoje ulubione. Na przystawkę. Zamroziłem ją szybko i zaraz rozmroziłem, tak jak nauczyłem się w Rzymie. W czasie, kiedy się mroziła, przygotowałem grzyby na tagliatelle eon funghi porcini. Takie jak lubisz, same kapelusze borowików. Oczywiście o tej porze roku borowiki były tylko mrożone. I tylko w *Mini Europie*. Kupiłem najpiękniejsze. Żeby poprawić ci humor.

- Nie mów, że na deser zrobiłeś tiramisu? - w połowie jedzenia tych tagliatelli uśmiechnęłaś się po raz pierwszy tego dnia.

- Oczywiście, że tiramisu, to w końcu nasz włoski wieczór - odważyłem się wziąć cię za rękę. - Kochanie, uwierz mi, dzięki temu stypendium będzie nam lepiej! Będę całymi dniami siedział przy pracy w domu, będę sprzątał, gotował najlepsze obiady, jakie możesz sobie wyobrazić, spełniał wszystkie twoje zachcianki. A gdybyśmy chcieli mieć dziecko, to się nim zajmę i ty będziesz mogła wrócić do pracy, gdy tylko zechcesz...

- Nie będziemy chcieli mieć dziecka! Nigdy! Zrozum to wreszcie i daj mi święty spokój!

Wybiegłaś z pokoju, a potem z mieszkania, zanim zdążyłem zareagować. Nie mam pojęcia, jakim cudem założyłaś buty i złapałaś kurtkę, dosłownie w okamgnieniu.

Tak, wiem. Niepotrzebnie o tym wspominałem. Zepsułem wszystko, bez sensu. Z takim trudem wprowadziłem cię w dobry nastrój, przestałaś się borykać o to stypendium, zapowiadał się całkiem miły wieczór, może nawet po tym tiramisu skończylibyśmy w łóżku, co zdarzało się coraz rzadziej... i właśnie wtedy, jak krety, wyskoczyłem z tym dzieckiem. Po co mi to było?

- Po prostu chcesz mieć z nią dziecko i nic ma powodu, żebyś się za to winił - powiedział mi Marcin.

Chcę? No jasne, że chcę. Niewielu rzeczy chcę tak bardzo, jak dziecka. Naszego dziecka. Ale przecież nie kosztem naszej miłości. Gdybym tylko zrozumiał, dlaczego muszę wybierać... Dlaczego, jeśli chcę z tobą być, muszę zapomnieć o marzeniu o dziecku.

- To nie jest normalne - kręcił głową Jacek, kiedy o tym słyszał. - Przez całe wieki kobiety usiłowały wrabiać facetów w dziecko. Jak to się ładnie nazywało, uciekały się do podstępów. Zawsze to one chciały mieć męża

i dzieci, a faceci unikali tego jak ognia. A teraz co? Ty ją błagasz, a ona się obraża, wychodzi... Najpierw z hotelu, potem z własnego mieszkania... Szkoda, że ci tego mieszkania nie zostawiła na zawsze, unosząc się honorem.

- Nie potrzebuję jej mieszkania - powiedziałem. - Niedługo będę miał dom. Mały, biały domek, który Adela pokocha tak, jak ja.

Nie wiem, co mnie naszło, żeby powiedzieć coś takiego... Wtedy nie miałem przecież jeszcze pojęcia, że przeznaczenie już szykuje dla mnie kolejną niespodziankę. Dom, o którym marzyłem. Nie był biały... i ty nigdy nie zdołałaś go pokochać. Ale reszta się zgadzała.

- Czy czuje się pan już lepiej? - zapytałaś, kiedy zemdlałem na progu twojego gabinetu. A raczej: kiedy się ocknąłem na progu twojego gabinetu. Z twoim swetrem zwiniętym w kłębek pod moją głową. Wzruszyła mnie ta troska!

- Skąd wiedziałeś, że to mój sweter? - dopytywałaś się potem. - Przecież mógł być kogokolwiek z naszej firmy...

- Pachniał arbuzami - uśmiechnąłem się. - Pachniał tak, jak pachniesz tylko ty.

Ten zapach zakręcił mi wtedy w głowie tak bardzo, że niewiele brakowało, żebym znowu zemdlał. To byłoby

nawet miłe... zasnąć z twarzą wtuloną w twój sweter, w twój zapach. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że i tak tego dnia zasnę w twoich ramionach. No, zasnę to może za duże słowo. Nie byłem w stanie spać. Ty zasnęłaś, pochrapywałaś leciutko, zwinięta w kłębek, odwrócona do mnie pupą. A ja trzymałem dłoń na twoim ramieniu, starając się nie poruszyć, żeby cię nie obudzić. Wsłuchiwałem się w ciemności w twój oddech i miałem w głowie to jedno słowo: przeznaczenie. Wiedziałem, że chcę spędzić z tobą resztę życia.

Tamtego poranka, gdy po raz pierwszy zobaczyłem, jak przeciągasz się zaspana i mrużysz oczy, odsłaniając żaluzje, powiedziałem bez zastanowienia:

- Weźmy ślub, choćby zaraz. Kocham cię. „Kocham” powiedziałem już wcześniej. Na twoim

biurku. Jeszcze zanim cię pocałowałem. Chciałem, żebyś wiedziała, że całuje cię ktoś, dla kogo jesteś najważniejsza na świecie. Wydawało mi się to ważne. Tobie chyba nie... ani razu, przez te dwa lata nie usłyszałem od ciebie „kocham”. Ani razu.

- To była najpiękniejsza noc w moim życiu - powiedziałem ci wtedy, o poranku. - I wiem, że teraz już wszystkie będą takie, do końca mojego życia. Wyjdź za mnie.

Nie powiedziałaś ani słowa. Zmrużyłaś oczy jak kot. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to oznaka wściekłości. Myślałem, że mrużysz je z zadowolenia. Jak kocica nad miską pełną tłustej śmietanki. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że organicznie nie znosisz, jak cię proszę o rękę. I że nie zaliczasz nocy ze mną do najpiękniejszych na świecie. Bo mam „tylko wacusia”. Może powinienem skorzystać z jakiejś innej oferty z Internetu? Codziennie w mojej skrzynce było tyle spamu z Ameryki. „Powerful enlargement”. I „Become the 8 inch man

your woman needs". 8 inch? Cal to chyba jakieś dwa i pół centymetra? Czyli osiem cali to dwadzieścia centymetrów? Tak, tego właśnie potrzebowałaś... Dwudziestu zamiast trzynastu i pół. Ale ja wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Myślałem, że jesteś ze mną naprawdę szczęśliwa. Nie przychodziło mi do głowy, że mam „tylko wacusia”!

ROZDZIAŁ 10

Nick

- *Wacek?* Czy wy oszaleliście? - wpatrywałem się w monitor z niedowierzaniem. - Co to ma być?

- To twój nick - uśmiechnął się Marcin. - Tutaj każdy musi mieć swój nick, rozumiesz?

„Rozumiesz?“, to twoje ulubione słowo. Tak kończyłaś prawie każde zdanie w naszych rozmowach. A ja zawsze przytakiwałem, że rozumiem, tak, oczywiście. Nawet, kiedy nie rozumiałem. Ale teraz nie zamierzałem przytakiwać Marcinowi.

- Jaki nick? Po co mi nick? - zdenerwowałem się. -A jeśli nawet jest mi bardzo potrzebny, to dlaczego ten nick brzmi *Wacek?*

- Trudno o dobry nick - wtrącił się Jacek. - Wszystkie fajne są już pozajmowane. A *Wacek* akurat był wolny, świetnie się składa.

- Ale po co mi ten nick? Powieście mi?

- No... szukamy ci dziewczyny - Marcin uśmiechnął się szeroko. - Rozumiemy, że nie chcesz umawiać się z córką piekarza.

- Z dziewczyną z poczty - poprawiłem go. - Piekarza tu nie mamy.

- Nieważne... Rozumiemy, że chcesz mieć większy wybór niż wśród pańienek z twojej wsi i babysitterek, które może ci przywieźć Marcin - Jacek znów mówił tym swoim uroczym tonem, którym zwraca się do klientek.

- Dlatego pomyśleliśmy, że znajdziemy ci dziewczynę przez Internet. W portalu randkowym. To proste. Wybierasz sobie nick, rejestrujesz się, piszesz o sobie kilka zdań... i już. Czekasz, a pańienki z całej Polski przysyłają ci swoje oferty.

Ty w wolnych chwilach logujesz się do tego portalu, czytasz listy i odpisujesz tym dziewczynom, które ci się spodobają. Czy to nie idealna sytuacja?

- Idealna - warknąłem. Oni chyba naprawdę oczekiwali podziękowań! - Jest tylko jeden szkopał. Ja nie chcę żadnej dziewczyny. Nie odpowiem na żadną cudowną, fantastyczną ofertę. Rozumiecie???

Tym razem to chyba oni nie rozumieli.

-Ale spójrz tylko! Napisaliśmy ci świetny profil.

Profil? Oni mówili jakimś dziwnym językiem. W moim świecie nie było nicków, profili i logowania. I nie było portali randkowych. Byłaś ty. I żałoba po naszym rozstaniu. I nic więcej.

- Od rozstania z Adelą minęło pół roku - mówił Marcin.

- Musisz zacząć żyć normalnie. Musisz się z kimś umówić.

- Przez Internet, tak? - postukałem się w głowę.

- Proszę, przeczytaj, co o tobie napisaliśmy. - Mina Jacka nie zwiastowała nic dobrego. Oni wyraźnie byli z siebie dumni!

- Nick: *Wacek* - przeczytałem. - Wiek: *nieznany*. Jak to nieznany? Nie wiecie, ile mam lat? Hej, chłopaki, przecież chodziliśmy do jednej klasy. Marcin, nie pamiętasz, że między nami jest tylko tydzień różnicy? Przez cztery lata zawsze urządzaliśmy razem urodziny, jak mogłeś zapomnieć?

- Czytaj dalej - poganiał mnie Jacek. Więc czytałem.

- Kilka zdań o mnie. To taka rubryka, tak? W tym profilu użytkownika. Co??? *Jestem żółwiem wodnym. Lubię*

wygrzewać się na kamieniu w słoneczne dni. Mieszkam z moim panem, który jest od pewnego czasu bardzo smutny. Odeszła od niego kobieta, którą kochał. Mówi, że już nigdy nie pokocha żadnej innej, ale ja mu nie wierzę. Co to ma być, do cholery? Dla mnie szukacie tej dziewczyny, czy dla Wacka?

- Ty przecież nie chcesz dziewczyny... Więc niech chociaż żółw skorzysta z dobrodziejstw Internetu - śmiał się Marcin, wciąż niepewny, czy zaraz nie wykasuję tego całego „profilu”.

- To taki żart - Marcin wyjaśnił mi to, co już właściwie sam odgadłem. - Że niby żółw szuka narzeczonej swojemu panu. Panienki na pewno na to polecą.

- Na pewno - mruknąłem. - Same szurnięte panienki.

- Bardzo interesująco cię przedstawiliśmy - Jacek był zachwycony ich wspólnym dziełem. - Zobacz, jakie masz pasje.

- Ja czy żółw? - byłem nastawiony bardzo sceptycznie do tego pomysłu.

- To wszystko jedno, one przecież nie są tępe, do-myślą się, o co chodzi. A te, które się nie domyślą, będziesz mógł od razu wyeliminować.

No tak, to był jakiś pomysł. Zakładając oczywiście, że chciałbym kogoś eliminować, a kogoś brać pod uwagę w dalszych planach. A ja nie chciałem.

- Nie zamierzam szukać dziewczyny przez Internet. Kiedy to wreszcie zrozumiecie?

- Nie musisz nikogo szukać, one znajdą ciebie, będą się pchały drzwiami i oknami, zobaczysz!

- Niby co jest we mnie takiego atrakcyjnego? Chyba tylko ten dom? Rudera, nadludzkiem wysiłkiem przywrócona do życia. Napisaliście, że jestem właścicielem majątku ziemskiego?

- Ani mru-mru na ten temat. - Marcin położył palec na ustach - nie chcemy materialistek, tylko kobiet, które potrafią szczerze kochać. Ty też lepiej w pierwszych listach nie przyznawaj się, że masz dom z własnym pomostem. Najpierw upewnij się, że chodzi im o ciebie, nie o forszę.

- Forsy to ja nie mam - pokiwałem głową. - Przez ten dom i przez rozstanie z Adelą jestem bankrutem. No, prawie bankrutem.

- I o tym też lepiej nie wspominać. Mógłbyś je spłoszyć. I lepiej nie mów, czym się zajmujesz. Jak powiesz o tym stypendium rządowym, to szybko cię zidentyfikują. A w sieci zdarzają się różni ludzie. Nie ujawniaj pochopnie nazwiska. Najpierw wybierz kilka dziewczyn, sprawdź je, wypytaj o ich życie i dopiero potem się przedstaw.

No tak. Miałem nie mówić o tym, gdzie mieszkam, co robię, jak się nazywam... To o czym miałem mówić???

- Na pewno będzie mnóstwo tematów. - Jacek nie widział problemu. - Zobacz, jakie pasje ci wpisaliśmy. Dziewczyny będą chciały gadać tylko o tym przez miesiąc albo i dwa.

Pasje, o których można gadać przez dwa miesiące? To brzmiało intrygująco. Czym niby się zajmowałem? Hodowlą pereł? Albo krokodyli? A może startowałem w wyścigach Formuły 1? To była pasja, o której można rozmawiać tygodniami. Ale ja na pewno nie miałem takiej pasji.

- Gotowanie! - Marcin wyglądał, jakby wynalazł dynamit. - Ty wiesz, jak kobiety szaleją za facetami, którzy umieją gotować? Kilka razy coś wspomniałem tym babysitterkom, że gotuję. Opędzić się od nich nie mogłem.

- Ty przecież nie gotujesz? - zdziwiłem się.

- Jasne, że nie... ale to taka przynęta. Czasy się zmieniły, według kobiet nie ma teraz nic równie męskiego jak gotowanie. To twój potężny atut, wykorzystaj go.

No tak... w tym punkcie mojego „profilu” nawet nie nakłámali. Oczywiście pod warunkiem, że dotyczyło to mnie, a nie Wacka. Bo Wacek, z tego, co wiedziałem, nie spędzał zbyt wiele czasu przy garach. I chyba nie zamierzał tego zmienić. Wystarczały mu w zupełności śmierdzące rybą bobki.

- Wyjdę raczej na kure domową, a nie na fajnego faceta, którego warto poznać - roześmiałem się. - Ale to nawet lepiej... bo mnie nie warto poznać. I tak nikomu nie odpiszę.

- Spokojnie, to nie jedyna pasja, jaką masz. - Jacek przytrzymał mnie siłą przy komputerze. - Zobacz, co ci jeszcze wpisaliśmy.

No i zobaczyłem. Literatura współczesna. Współczesna? Niby Petrarca i Dante byli współcześni? A ostatnio interesowałem się głównie nimi...

- Może zostawmy tylko „literatura”, bez precyzowania, czy współczesna czy nie? - podsunąłem. A Jacek i Marcin podali sobie ręce, radośni jak dzieci.

- Chwyciło!

- Nie jest mu wszystko jedno. Zauważył!

A więc to był test. Test, czy jest mi wszystko jedno, czy nie. Niestety, nie zdałem.

Okazało się, że moi przyjaciele mieli rację. Kobiety pisały do mnie jak szalone. I wszystkie wypytywały o gotowanie. Co lubię gotować i czy chciałbym zrobić im kolację. Literatura, kino, opera, piłka nożna i podróże, które Jacek i Marcin wpisali jako moje kolejne pasje, nie budziły już takiego zainteresowania. Ale to gotowanie...

Można wiedzieć, co dziś poleca szef kuchni! - tak brzmiał pierwszy list, który dostałem. Ani słowa więcej. Nawet

podpisu. Skąd miałem wiedzieć, kim jest ta dziewczyna? I czy to w ogóle dziewczyna czy facet?

- Oj, jaki ty jesteś niekumaty - zdenerwował się Jacek. - Musisz kliknąć w nick nadawcy i wtedy zobaczysz jego profil. To przecież oczywiste.

Jasne, zupełnie oczywiste... tylko nie w świecie Dantego, w którym przebywałem, tłumacząc *Czyściec* jednocześnie na trzy języki bantu. Tam naprawdę nie było profili, nicków i klikania.

Zajrzałem jednak, tak jak powiedział mój przyjaciel, do profilu nadawcy, kryjącego się pod nickiem *RHU*.

~ *Rillil* Jakiś głupi ten nick chyba? - nie byłem zachwycony. - Chociaż, z drugiej strony, i tak lepszy niż *Wacek*...

Z profilu jednak nie dowiedziałem się właściwie niczego oprócz tego, że *Rilli* jest wysoka, szczupła, błę-kitnooka i szuka kogoś, kto śpiewałby jej kołysanki i ogrzewał stopy. Brzmiało nieźle... ale nie zdecydowałem się odpisać. W końcu nie umiem śpiewać kołysanek. A stopy chcę ogrzewać tylko tobie. No i nie jestem żadnym szefem kuchni!!! Uwielbiałem dla ciebie gotować, ale ciebie już nie ma. A ja od pół roku nie zrobiłem nic do jedzenia oprócz kanapek i jajecznicy.

- Przynajmniej możesz znowu jeść jajecznicę z cebulą - uśmiechnął się kiedyś Jacek. - Pewnie ci jej przy Adeli brakowało.

Brakowało. I ciągle brakuje. Ale jej nie jem. Bo przecież możesz tu nagle przyjechać, choćby po ten szary sweter, który zostawiłaś przez nieuwagę. Nie chciałbym, żebyś wtedy, wchodząc do domu, poczuła zniechęcony aromat cebuli. Chciałbym za to, żeby pachniało tu fajką. Twoim ulubionym tytoniem. Kiedyś, kiedy jeszcze tu

mieszkałaś, paliłem fajkę tylko czasami... raz na tydzień, raz na dwa... Bardzo to lubiłaś. Siadałaś naprzeciwko i powoli wciągałaś powietrze nosem, uśmiechając się leciutko. Nie znosisz papierosów, ale uwielbiasz zapach fajki. Więc teraz palę ją codziennie.

- Żyjesz tu jak w skansenie - denerwował się Jacek. - Jak ludzie, którym ktoś nagle umarł. Nie przekładasz niczego, czego używała, czcisz jej sweter, trzymasz na wierzchu jej kubek, nie dokończyłeś tubki pasty do zębów, której razem używaliście, zanim się wyprowadziła. To nie jest zdrowe! Musisz się uwolnić. Zrozumieć, że ona nie wróci.

Rozumiem... jasne, że rozumiem. A jednak palę codziennie fajkę. Żeby dom pachniał domem, kiedy znów tu wejdiesz. Bo przecież kiedyś tak właśnie powiedziałaś.

-Ależ tu ślicznie pachnie domem!

- Domem? Chyba tytoniem? - roześmiałem się.

- Zapach tytoniu kojarzy mi się od pewnego czasu z domem... tym domem, kaszubskim - dodałaś.

Nigdy nie mówiłaś o nim „dom”, czy „nasz dom”. Tylko „dom na Kaszubach”. Wtedy, jeden jedyny raz, powiedziałaś po prostu „dom”. A przecież nie lubiłaś go, nie chciałaś tu mieszkać. I nigdy tak naprawdę nie zamieszkałaś. Mówiłaś, że to za daleko od wydawnictwa. A kilka dni wcześniej, zanim kupiłem ten dom, słyszałem jak śmiałyście się z Gretą, że mogłybyście pracować wyłącznie na odległość, załatwiać wszystko mailem, faksem, przez telefon.

- Mogłabym wpadać do firmy raz na dwa tygodnie, żeby podpisać papiery - powiedziałaś wtedy. - Albo wcale nie wpadać, przysyłałoby mi dokumenty pocztą czy kurierem i już. Zamieszkałabym w jakiejś małej wsi w górach albo nad jeziorem, z dala od cywilizacji. Byłabym nareszcie całkowicie szczęśliwa.

Bardzo chciałem, żebyś była szczęśliwa. I dlatego kupiłem ten dom.

- Myślałeś, że mówiłam poważnie? - kiedy to usłyszałaś, roześmiałaś się tak, jak śmiejesz się tylko wtedy, kiedy jesteś bardzo wściekła. - Myślałeś, że naprawdę chciałabym zamieszkać na wsi? Chyba oszalałeś!

Tak, oszalałem... Gdybyś powiedziała, że szczęście zapewni ci mieszkanie na szczycie Statui Wolności, w jej zniczu albo koronie, też bym to załatwił, nie mając grosza przy duszy. Bo cię kocham, i już.

ROZDZIAŁ 11

Dom

Sam nie wiem, jak to się stało, że kupiłem ten dom. To...

- To niemożliwe - zawołał mój ojciec, kiedy do niego zadzwoniłem. - Jakim cudem kupiłeś dom, skoro pożyczasz ode mnie ostatnio pięćdziesiąt złotych na jedzenie?

- Długa historia - mruknąłem.

•Nie chciało mi się tego wyjaśniać. Nie jemu. Nigdy nie potrafiłem z nim rozmawiać, tak swobodnie, od serca. A o domu musiałbym mówić od serca. Nie umiem inaczej. Bo ten dom, od pierwszego wejrzenia, zabrał mi kawałeczek serca. Ten ostatni, jedyny kawałeczek, którego nie zabrałaś ty.

Nie umiem wyjaśnić, jak się tam znalazłem. Przecież jechałem do Gdańska. Miałem się tam spotkać z Włochem z fundacji, która współfinansowała projekt przybliżania kultur włoskiej Afrykańczykom. Z Warszawy do Gdańska nie jedzie się przez Chmarki. Wcale nie są po drodze. Trzeba zboczyć z trasy sześćdziesiąt, może nawet siedemdziesiąt kilometrów, już prawie na przedmieściach Gdańska. I ja właśnie to zrobiłem. Bez żadnego racjonalnego powodu.

- Nie mów, że tak po prostu poczułeś nieodpartą chęć zrobienia dwóch obrotów kierownicą w lewo - Marcin patrzył na mnie tak, jakby chciał zaraz zadzwonić do jednego ze swoich kumpli, specjalistów od psychologii kli-

nicznej, pracujących na oddziałach psychiatrycznych. Sam zresztą miałem wrażenie, że powinienem tam trafić.

- No... niby skręciłem zjeść rybę - przyznałem. - Wydawało mi się, że tam był napis: *Smażalnia - 2 km*. I strzałka. Dwa kilometry to w końcu nie tak dużo.

- Ale siedemdziesiąt to już sporo - Marcin najwyraźniej szukał już w głowie namiarów na tych kumpli.

- No tak, ale wiesz, wydawało mi się, że ta smażalnia zaraz się pojawi... a jak nie ta, to następna... Wciąż miałem jeszcze sporo czasu do spotkania, skręciłem w lewo właściwie przed samym Gdańskiem, więc wiedziałem, jaki mam zapas... Jechałem przed siebie, po prostu. Aż w końcu, jak już przejechałem ze czterdzieści kilometrów, pomyślałem, że może przy okazji, skoro już tu jestem, znajdę jakiś mały pensjonacik nad jeziorem, gdzie mógłbym przyjechać z Adelą na weekend. Zbliżała się właśnie pierwsza rocznica naszego pierwszego spotkania.

- I tego, jak przeleciałeś ją po raz pierwszy na biurku - uzupełnił Jacek.

Boże, dlaczego ja się z nimi jeszcze przyjaźnię?! To potwory, a nie kumple!

- Nie znalazłeś jednak żadnego pensjonaciku, prawda? — w głosie Marcina dawała się wyczuć sztuczna słodycz... i zupełnie nie sztuczna troska o stan mojego umysłu.

- Nie znalazłem - pokiwałem głową. - Bo asfalt nagle się skończył, zrobiło się piaszczyście. Piaszczyście i wertepiasto. No i w końcu...

- W końcu zakopałeś się w tym piachu aż po drzwi - Jacek wiedział to już z naszej króciutkiej rozmowy telefonicznej.

Zadzwoiłem do niego od razu z Gdańska, od notariusza. Musiałem się tym z kimś podzielić. Najchętniej z tobą, oczywiście... ale tobie chciałem jednak powiedzieć

o tym jakoś inaczej. Piękniej. Albo... albo nic nie powiedzieć, tylko cię tam zabrać. Chociaż tak nie lubisz niespodzianek.

- Zakopałem się koszmarnie - przyznałem. - Nie sądziłem, że w ogóle można się tak zakopać. Nie mogłem otworzyć drzwi, nie mogłem wysiąść. Chciało mi się płakać. Miałem na sobie mój najlepszy garnitur.

- Twój jedyny garnitur - uściślił Jacek. - Ten, w którym chodzisz do opery, na śluby i na bardzo ważne spotkania, tak? Czy może się myłę i dorobiłeś się nowego ubranka?

Potwory, a nie kumple, mówiłem od razu.

- Jako sekretarka powinieneś chyba mieć garnitur na każdy dzień tygodnia? - zdziwił się Marcin. I sam sobie odpowiedział: - No tak, to wydawnictwo, a nie bank. U was obowiązuje luz kontrolowany. Nawet bardzo sportowa marynarka uchodzi za szczyt elegancji.

- Nie rozmawiamy o garniturze, tylko o moim domu!

- zdenerwowałem się. - To było przeznaczenie, rozumiecie? On tam stał... stał i czekał. Akurat tam, gdzie się zakopałem.

- Przy najgorszej drodze w Polsce - westchnął Jacek.

- Nad najpiękniejszym jeziorem w Polsce - westchnąłem ja, ale zupełnie inaczej, radośnie. - Nie macie pojęcia, jak tam jest pięknie. Nie ma żadnych ośrodków czasowych, nie ma nawet sklepu ani poczty. Trzeba do nich iść cztery kilometry! Jest tylko małe jeziorko, zapomniane przez cały świat, krzywe sosny i kilka starych domków.

- Jak stary jest ten twój domek? - w głosie Marcina tym razem była już nie troska, lecz galopujący niepokój.

- Bardzo stary, jak mniemam?

- Dobrze mniemasz - musiałem być uczciwy. - Bardzo, bardzo stary. Właściwie... właściwie to on miał być do rozbiórki. Ale takiego cuda nie wolno rozbierać! Trzeba go ratować! To zabytek! To dom z duszą! To...

- Podejrzewam lekki zespół hipomaniakalny - powiedział powoli Marcin. - To gadanie o przeznaczeniu, wydawanie pieniędzy na jakąś ruinę, która się rozpadnie, gdy tylko uderzysz mocniej pięścią w ścianę. Euforia. Nawet mówisz szybciej niż zwykle.

- Bo jestem szczęśliwy! - tak, to była euforia. Chciałem skakać ze szczęścia. - Znalazłem kobietę swojego życia. I dom swojego życia. To moje miejsce na ziemi, nie mam wątpliwości. I dostałem stypendium rządu włoskiego. Moje życie nareszcie ułożyło się w cudowną, kompletną całość. Nie, nie ma czegoś takiego jak „kompletna całość”. A więc w całość. Wszystko ma sens, wszystkie kostki tej układanki idealnie do siebie pasują. Jestem bardzo szczęśliwy.

- Potrzebujesz mniej snu niż zwykle? - Marcin najwyraźniej już postawił diagnozę.

Musiałem go jednak rozczarować.

- Wprost przeciwnie. Od kiedy dostałem to stypendium, śpię jak dziecko, nawet po dziesięć godzin.

- Dziwne, dziwne... - mój przyjaciel marszczył czoło i spoglądał znad okularów zupełnie jak lekarz. Po raz pierwszy to zauważyłem. - No i chyba nie nawiązujesz też żadnych przypadkowych związków erotycznych z kobietami? Hm, to też nietypowe. W stanie hipomaniakalnym powinieneś być rozwiązły.

- Jestem rozwiązły - roześmiałem się. - Ostatnio Adela łaskawie pozwoliła mi się dotknąć dwa tygodnie temu. Przyznasz, że jestem rozwiązły wręcz patologicznie!

Marcin wyglądał na zawiedzionego, że nie da się mnie zamknąć w szpitalu albo przynajmniej skierować na dodatkowe badania.

- To może powiesz nam nareszcie, skąd miałeś pieniądze? - zapytał Jacek. - Bo nie wierzę, że Adela wyłożyła forszę na jakąś rudere.

- Adela jeszcze o niczym nie wie - uśmiechnąłem się triumfująco. - A ja... po pierwsze poprosiłem Włochów, żeby mi zwiększyli zaliczkę akonto tego stypendium. Dość znacznie zwiększyli... A oni bez szemrania się zgodzili. Po drugie wciąż jeszcze pracuję na etacie. To znaczy, dziś złożyłem wypowiedzenie, ale wczoraj pracowałem. I od kilku tygodni, od czasu awansu, miałem całkiem niezłą pensję. Bank przyznał mi debet w wysokości trzech pensji. Dwa miesiące temu mi odmówili. Pamiętacie, pożyczalem od was forszę na jedzenie. I od ojca... A wczoraj mi przyznali. Trzy pensje!

- I to wystarczyło? - Marcin i Jacek patrzyli na mnie znowu jak na wariata.

- Wystarczyło - pokiwałem głową. - To naprawdę bardzo stary i bardzo zniszczony dom. Do rozbiórki. A ziemia tam kosztuje grosze. Byłaby droższa, gdyby nie brak drogi dojazdowej. I sieci wodociągowej. I gazu.

- A prąd tam jest? - tym razem Jacek wyglądał jakby miał zaraz zemdleć.

- Jest. A woda to nie problem, wykopię studnię w ogrodzie. I założę hydrofor. A ogrzewać cały dom będę piecem. Nie macie pojęcia, jaki w tym domu jest piękny stary piec. Oczywiście trzeba go trochę ponaprawiać. Zresztą wszystko trzeba wyremontować. Ale złożyłem wniosek o kredyt na remont domu i już mi go przyznali. Godzinę temu! Nie taki, jak chciałem, ale jakoś będzie musiał wystarczyć. Dużo rzeczy zrobię sam, w końcu mam wiertarkę i młotek. Zobaczycie, że wprowadzimy się tam jeszcze przez Wielkanocą.

- Młotek i wiertarkę? - westchnął Jacek. A Marcin zapytał poważnie:

- Wprowadzicie się? Jesteś pewny, że Adela będzie chciała tam mieszkać?

- Jasne, że będzie chciała - nie widziałem żadnych przeszkód i nic mnie nie przerażało. - Mówiła do Grety, że tylko na wsi byłaby szczęśliwa. Sam słyszałem.

Nie ośmieliłem się zrobić ci niespodzianki. Nie po tym koszmarze, który przeżyłem w Wenecji.

- Chciałem ci coś powiedzieć - zacząłem przy kolacji.

Tym razem nie była to wystawna kolacja z przystawkami i deserem, ale zwykłe risotto milanese. Twoje ulubione, najprostsze risotto świata. Żółte jak kurczaczek, jak zawsze mówiłaś. Uwielbiasz przecież kolor żółty. I smak ryżu, który powoli dusi się w białym winie.

- Nikt nie robi risotta tak, jak ty - powiedziałaś kiedyś. A ja zamknąłem to zdanie na zawsze w pamięci,

w specjalnej szufladce z etykietką „Komplementy i dobre słowa”. Z szufladki niestety nic się nie wysypywało. Nie była przepełniona. Ale też nie całkiem pusta. Były tam uśmiechy na temat mojego risotta i tiramisu i to jedno zdanie, z pierwszego dnia... z pierwszego razu na twoim biurku, kiedy powiedziałaś, że nigdy nie było ci „aż tak”. Oczywiście nigdy nie przypuszczałem, że to mogło być kłamstwo. Do dziś nie do końca w to wierzę. Czy mogłabyś wtedy udawać? Ten przyspieszony oddech, ten nagle wygięty w łuk, niemal koci grzbiet, te paznokcie wbite gwałtownie w moje plecy, te mięśnie obejmujące mnie, wyciskające do ostatniej kropli. Jeśli to nie było prawdziwe, to co było? W co miałem wierzyć, jeśli nie w tamtą chwilę?

- Co chciałaś mi powiedzieć? - zapytałaś, patrząc na mnie uważnie nad stołem. - To ma coś wspólnego z twoją wizytą w Gdańsku, tak? I z tym, że musiałaś nieczekiwanie zostać tam na noc?

Z trudem wróciłem z dalekiej wycieczki w przeszłość, do twojego gabinetu. Nie chciałem z niej wracać.

- Dlaczego już się nie kochamy tak, jak kiedyś? Dlaczego nie ma już w tym wszystkim takiej namiętności, takiego chcenia? - prawie krzyknąłem.

- Uważasz, że to dobry temat do kolacji? - oczy zwięzły ci się we wściekłe szparki. Miałam wrażenie, że chciałeś porozmawiać o czymś przyjemnym, a nie oskarżać mnie o to, że haruję jak wół, żeby nas utrzymać, żeby ta firma prosperowała jak najlepiej, żeby kiedyś przenieść się z tej dwupokojowej klitki do prawdziwego, pięknego apartamentu z tarasem na dachu. A na razie przynajmniej ją wyremontować. Myślisz, że przy tych stresach, pracy, remoncie i ciągłym napięciu mogę jeszcze mieć ochotę na seks?

Chciałem cię uspokoić, powiedzieć, że o nic cię nie oskarżam. Ale nagle... czy to ten dom dodał mi odwagi? Ta świadomość, że mam dom, własny dom, nic to, że bez wody, z jedną żarówką i pokrytymi grzybem ścianami. To był mój dom. Miałem coś własnego. I czułem się tak dobrze, jak nigdy przedtem.

- Rok temu też miałaś firmę... i stresy - odważyłem się szepnąć znad kieliszka trebbiano. - A jednak umiałaś kochać się ze mną całą noc. Albo cały dzień. Albo... albo chociaż kwadrans. A teraz nigdy nie zajmuje nam to więcej niż dziesięć minut.

- Nie będę tego dłużej słuchać! Wynoś się, i to już! - Zerwałaś się od stołu i w furii zrzuciłaś kieliszek na świeżo wycyklinowaną podłogę. Swój ulubiony kieliszek, jeden z tych, które przywiozłaś ze służbowego wyjazdu do Czech, z rżniętego kryształu. - Nie będziesz mi ubliżała w moim własnym domu. Zamieszkać sobie u jednego z tych twoich koleżków, którzy potrafią tylko chodzić na mecze, pić piwo i

podrywać panienki. Świetnie do siebie pasujecie. Wszyscy trzej bez porządnej pracy, wszyscy trzej bez stałej kobiety...

- Wydawało mi się, że mam porządną pracę i stałą kobietę - roześmiałem się. - Co prawda i jedno, i drugie dzięki tobie, ale jednak to mam.

Ten dom naprawdę dał mi niewiarygodnie dużo siły, o którą nigdy bym się nie podejrzewał.

Zaczerwieniłaś się. Wiedziałaś, że przegrałaś tę potyczkę, a ty nie znosisz przegrywać. Jesteś przecież samcem alfa.

- Teraz już nie masz pracy, właśnie złożyłeś wypowiedzenie, nie pamiętasz? - powiedziałaś. - Tłumaczenie książek w domu na jakieś języki plemienne to jednak nie to samo, co normalna, porządna praca na etacie, z ubezpieczeniem i w ogóle. No i nie masz już stałej kobiety. Z nami koniec. Nie będę słuchać takich rzeczy. Pakuj się, a ja dzwonię do Jacka albo do Marcina, że u nich będziesz mieszkał. Którego wolisz? A może wprowadzisz się do swojego tatusia? W jego ciemnej, śmierdzącej norze będzie ci się na pewno świetnie pracowało nad *Boską Komedią* w suahili.

- Nie tłumaczę na suahili, a mieszkanie mojego ojca jest małe, ale zadbane - nie dawałem ci się wytrącić z równowagi... co oczywiście kompletnie wytrącało cię z równowagi. - A poza tym nie muszę do nikogo się wprowadzać, mam już własny dom. Wczoraj go kupiłem. Ostatnią noc spędziłem w tym domu, a nie w hotelu w Gdańsku.

Trzęsienie ziemi i lądowanie ufo nie wywołałyby takiej reakcji jak to, co powiedziałem. Byłaś na to kompletnie nieprzygotowana. Oczywiście. Bo ja też byłem kompletnie nieprzygotowany na ten zakup. Po prostu tak się złożyło. Przeznaczenie - bez względu na to, co mówił Marcin o stanach euforycznych czy, jak on to nazywał,

maniakalnych. To było przeznaczenie. I przeznaczenie chciało, żebym zamieszkał tam z tobą.

Najpierw, chyba przez minutę, wpatrywałaś się we mnie szeroko otwartymi, zielonymi oczami. A potem zaczęłaś się śmiać.

- Kupiłeś dom? Niby za co? Za to twoje stypendium? Przecież te pieniądze nie wystarczyłyby nawet na najmniejszy dom, może mógłbyś za nie kupić jakąś miniaturową działkę, a i to nie na pewno. A przecież będziesz dostawał stypendium w transzach, co miesiąc czy dwa, w miarę postępu prac. Czy mi się wydaje?

-Nie wydaje ci się, ale dostanę zaliczkę. Większą niż planowana. Ma przyjść na konto do końca tygodnia. A ja mam tydzień na zapłacenie za ten dom. Tak jest zapisane w akcie notarialnym.

- Akt notarialny? Podpisałeś akt notarialny? I niby zaliczka wystarczy ci na dom? Co ty usiłujesz mi wmówić? I po co? To jakaś gra?

- Nic ci nie wmawiam i w nic nie gram. To stary dom, wymaga remontu. No i nie jest w Warszawie. Jest, prawdę mówiąc, prawie trzysta kilometrów od Warszawy. I jest absolutnie piękny. Pokochasz go, zobaczysz. Pokochasz go tak, jak ja. To raj na ziemi, nie miałem pojęcia, że są jeszcze takie miejsca. Z dala od cywilizacji, nawet poczta tam nie dochodzi, skrzynka jest przy asfalcie, dwa kilometry od domu. Trzeba tam chodzić przez las i wyjmować listy. I jeszcze tam, przy asfalcie, jest stojak na bańki z mlekiem, jeśli chcielibyśmy je oddawać do mleczarni. Bo większość ludzi we wsi oddaje. Ale my chyba nie będziemy mieli krów, jak myślisz? No, może jedną? Fajne by było takie świeże, pachnące mleko. Ale to tylko na własne potrzeby, nie dla mleczarni.

Miałem dość rozumu, żeby tym razem nie wspomnieć o dziecku, które mogłoby pić to mleko. Gdybym powiedział o

nim choć słowo, chyba zrzuciłabyś mnie ze schodów. Zresztą dla dzieci, zdaje się, lepsze jest mleko kozie. Mniej uczula.

- A może zamiast krowy kupimy kozę? - uśmiechnąłem się.

- Przecież uwielbiasz kozi ser. Robiłbym go domowym sposobem... na pewno jest jakiś domowy sposób. I miałybyś zawsze pyszny serek, taki jak lubisz.

- Ty oszalałeś? - Twoje oczy i usta były szeroko otwarte. - Ty oszalałeś, prawda? Gdzie to jest?

- Nad jeziorem, na Kaszubach. Jest taka wioska, Chmarki. Bardzo mała wioska, nie ma jej na większości map. Dom stoi nad samym jeziorem, zrobimy sobie własny pomost, taki drewniany, taras właściwie, to będzie tylko kilka kroków z domu, naprawdę. Będziemy tam jedli śniadania. Latem ty będziesz szła popływać, a ja będę ci robił śniadanie. I jak wyjdiesz z wody, taka mokra, to podam ci ręcznik i od razu usiądziesz i zabierzesz się do jedzenia, z widokiem na wschodzące słońce i na łabędzie. Podobno latem jest tam mnóstwo łabędzi. Ja wiem, że one mogą szczypać w nogi, ale przecież tylko jak są głodne. A nasze nigdy nie będą głodne, będziemy je karmili wieczorami, o zachodzie słońca. Bo wiesz, ten dom jest na takim jakby cypelku, wcięty w jezioro, i z jednej strony można oglądać wschód słońca, a z drugiej zachód. Pamiętasz, Mały Książę mieszkał na takiej maleńkiej planecie, że wystarczyło przesunąć krzeselko, żeby cały czas oglądać zachód słońca. My będziemy mieli za kuchennym oknem zachód, a za sypialnianym wschód. Pomyśl, jakie to będzie piękne, budzić się i widzieć czerwone słońce wstające pomiędzy trzciniami! Adelka, będziemy tacy szczęśliwi, zobaczysz!

- Zamknij się - warknęłaś. - Przestań nareszcie gadać. Przestań opowiadać mi z najdrobniejszymi szczegółami o tych swoich marzeniach. Nie zostawiłeś dla mnie

kawałka miejsca. Nawet sypialnię już zagospodarowałeś i zdecydowałeś, co będę jadła na śniadanie. Zresztą to bez znaczenia. Nigdzie się nie wyprowadzę, możesz to sobie wybić z głowy. Z nami koniec, już ci mówiłam. A nawet, gdyby to nie był koniec, to i tak bym nie zamieszkała na jakimś zadupiu. Siedź sobie tam sam jak palec. Pewnie to ci się wydaje romantyczne, co? Smagany wiatrem dom na pustkowiu, a w środku pisarz zmagający się z niemocą twórczą. Cóż za piękny obrazek. Tylko ty nie jesteś pisarzem, lecz tłumaczem. I musisz tłumaczyć co najmniej siedem stron dziennie, w dni powszednie i weekendy. Taki masz harmonogram. Tu nie ma miejsca na romantyzm i natchnienie. Więc lepiej wycofaj się z tej umowy póki możesz.

- Nie mogę - powiedziałem, zgodnie z prawdą. Musiałbym przecież zapłacić połowę wartości domu

w przypadku odstąpienia od umowy po jej podpisaniu. Sam zaproponowałem taki zapis, pewny, że nie będę chciał się wycofać, nigdy.

Ajednak teraz chciałem. Przez krótką chwilę naprawdę chciałem to zrobić. Bo czułem, że ten dom stanie się trumną. Ze naprawdę zostanę w nim sam jak palec. Że za całe towarzystwo służyć mi będą Dante, Petrarca, Boccaccio, Foscolo, Calvino, Eco i kilkudziesięciu innych Włochów. Tych największych. Ale ja chciałem spędzać weekendy, noce i poranki z tobą, nie z nimi. Oni mieli być tylko dodatkiem. Środkiem do celu.

- Mam zdjęcie tego domu, zrobiłem aparatem w komórce - przypomniałem sobie. - Zawsze narzekałaś, że nie wykorzystuję możliwości telefonu, który sprawiła mi firma, no to dziś je wykorzystałem. Pierwszy i ostatni raz, pewnie jutro będę musiał oddać telefon w kadrach. Ale dziś miałem go ze sobą i zrobiłem zdjęcie. Zobacz. Proszę, zobacz.

Nacisnąłem dwa klawisze i... i już wiedziałem, że nigdy nie wycofam się z tej umowy. Przepełniało mnie szczęście, takie jak wtedy, gdy usłyszałem po raz pierwszy twoje kroki i poczułem zapach arbuza.

Spojrzałem na komórkę i ujrzałem drewniany dom nad skutym lodem jezioro. Ośnieżony dach, zasypane śniegiem drzwi i parapety. Ani śladu ludzkiej stopy. To miał być tylko obrazek uchwycony w podróży do Gdańska. Tylko ciekawostka. Przecież już miałem ruszać do Trójmiasta na spotkanie, wykopany z piachu przez pomoc drogową. Samochód stał już na prostej, za tymi wertepami, pomoc drogową odjechała... A ja nagle cofnąłem się, żeby sfotografować ten dom, zasypany śniegiem, i pokazać ci, jak pięknie jest na Kaszubach. Robiąc zdjęcie, nie wiedziałem jeszcze, że to mój dom. A jednak musiałem podejść do furtki i nacisnąć klamkę. Po prostu musiałem.

ROZDZIAŁ 12

Żonkile

Furtka, ku mojemu zdumieniu, nie była zamknięta na klucz. Otworzyłem ją i stałem przez chwilę, niepewny, czy mam prawo naruszyć tę biel, gładką i lśniącą w porannym słońcu. Na śniegu nie było ani jednej zmarszczki. Nawet ptaki nie chodziły po nim tego poranka. Był idealnie równy.

- Coś tu nie gra - powiedział Jacek zdumiony, wpatrując się w zdjęcie w mojej komórce. - Powiedziałeś, że zakopałeś się w piachu aż po drzwi. A przecież na tym zdjęciu jest pełno śniegu. I wciąż mówisz o tym śniegu, grubej warstwie śniegu, leżącej między furtką a domem. I że nie było na nim ani śladu ludzkiej stopy. Ani ptasiej łapy. Jak to możliwe, że wszędzie był śnieg, a na drodze tylko piach? Przecież od tygodnia jest mróz, chyba w całej Polsce? I co, koło domu też był, a na drodze nie? Przyznaj się, wymyśliłeś tę historię z piaszczystą drogą!

- Nie wymyśliłem - zacząłem się śmiać, czując jednocześnie na plecach dziwny dreszcz. - Możesz mi wierzyć albo nie. Wciąż mam w samochodzie pełno piachu.

-Na pewno jest jakieś racjonalne wyjaśnienie - ścisły umysł Jacka zaczął go nerwowo szukać.

Ale to ja pierwszy wpadłem na rozwiązanie, całkiem prawdopodobne, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Przypomniałem sobie chodnik pod twoim blokiem. Przez całą zimę w połowie drogi od klatki schodowej do śmietnika jest sucha plama, długości może trzech metrów. Wszędzie lód, śnieg, a tam sucho. Bo pod spodem bieżą rury z ciepłą wodą.

- Pod tą drogą na pewno bieżą rury - powiedziałem ucieszony.

I w tym samym momencie dotarł do mnie absurd tego, co mówię. Jakie rury? W środku lasu, tam gdzie nie ma kanalizacji, gazu, linii telefonicznej... Co miałyby niby biec pod tą piaszczystą drogą wśród wielkich, wykręconych wiatrem sosen?

Musiało być więc inne wyjaśnienie. I oczywiście przyszło mi ono do głowy. Nie powiedziałem jednak głośno tego, co pomyślałem. Nie chciałem, żeby Marcin dał mi skierowanie do jednego ze swoich kumpli. Ale tak naprawdę... Tak, to było chyba jedyne rozsądne wyjaśnienie: ten dom mnie wybrał. Zatrzymał mnie dziesięć metrów od swojej bramy. Chciał, żebym go kupił.

Po plecach przebiegł mi kolejny dreszcz. Nie strachu, lecz podniecenia. To było ekscytujące wiedzieć, że dom jest mi życzliwy. I że ma duszę. Przecież zawsze chciałem mieć dom z duszą. Chociaż nie przypuszczałem, że będzie w stanie tak bezpośrednio wpływać na moje decyzje, zmuszać mnie do nich - i udawać, że nie miał z tym nic wspólnego.

- Ten dom ma taki charakter jak Adela - uśmiechnąłem się do Jacka i Marcina. A oni oczywiście przerazili się, że oszalałem. Nie pierwszy już raz.

Ale przecież to prawda. Ty często zachowujesz się tak, jak ten dom. Przekonujesz ludzi, żeby zrobili to, czego chcesz... i udajesz, że w ogóle nie maczałaś w tym palców. Manipulujesz dystrybutorami książek, agentami, drukarzami. No i mną.

- Wszyscy chodzą, jak ona chce, a ona patrzy niewinnie wielkimi oczami i mówi, trzepocząc rzesami: „Co za miła niespodzianka! Pańska decyzja jest mi bardzo na rękę”. Cholerna lolitka - powiedziała kiedyś Patrycja z recepcji do Uli, szefowej magazynu. A potem, na mój widok, zakryła usta ręką. Była przekonana, że straci pracę. Bo przecież wszyscy w firmie wiedzieli, że jestem twoim facetem. A skoro tak, to na pewno o wszystkim ci opowiadam.

Nie opowiadałem, nigdy. Słyszałem różne rzeczy, ale nigdy nie mówiłem ci o nich wprost. Czasami zdarzało mi się powiedzieć, że chyba warto byłoby zatrudnić dodatkową osobę w księgowości (bo słyszałem, że się nie wyrabiają) albo żebyś nie zwalniała jeszcze Lidki z działu praw (bo wiedziałem, że Iwonka, która siedzi z nią biurko w biurko, zamierza za tydzień złożyć wypowiedzenie). Ale nigdy nie mówiłem wprost o tym, co słyszałem. A więc, jak się tak, dobrze zastanowić, ja też zachowywałem się czasami tak jak mój dom. Wpływałem na twoje decyzje, udając, że tego nie robię. A skoro tak, no to wszyscy troje mieliśmy podobne charakterki i bardzo do siebie pasowaliśmy. Dom wiedział, co robi, wybierając właśnie nas.

Przekonanie cię, żebyś tam ze mną pojechała, zajęło mi trzy miesiące. Oczywiście spędziłem je bardzo pracowicie. Oszczedłem z wydawnictwa i całe dnie spędzałem na Kaszubach, walcząc z grzybem, starą instalacją, ciekącym dachem, zbutwiałą podłogą. Nocowałem tam coraz częściej, żeby nie tracić czasu i pieniędzy na dojazdy. Było to ryzykowne - w taki mróz, bez bieżącej wody, bez ogrzewania. Ale skoro udało się pierwszej nocy po podpisaniu aktu notarialnego, to dlaczego miałoby się nie udać teraz? Zbierałem w lesie gałęzie i paliłem nimi w piecu. Nie dawał wiele ciepła, gałązki były cienkie, mokre, ledwie się tliły. Spałem więc przytulony do pieca, tak jak tej pierwszej nocy. Wtedy miałem tylko garnitur i leciutką kurtkę, teraz byłem

przynajmniej opatulony w ciepły sweter i kraciasty koc, zabrany od ojca.

- Jesteś pewny, że to dobry zakup? - zapytał ojciec, kiedy opowiedziałem mu o domu.

A ja odparłem, że niczego w życiu nie byłem aż tak pewny. Niczego oprócz naszej miłości. To znaczy: mojej miłości. Bo ty nigdy nie powiedziałaś, że to miłość.

- Jak mogłeś kupić dom za moimi plecami? - płakałaś, kiedy już przekonałem cię, żebyś mnie nie wyrzucała ze swojego świeżo wyremontowanego mieszkania, i posprzątałem z podłogi rozbity kieliszek. - Jak mogłeś myśleć, że go pokocham, skoro wybrałaś go za nas dwoje, nie pytając mnie o zdanie?

Co mogłem na to odpowiedzieć? Było mi potwornie głupio. To był impuls. Chciałem sprawić ci radość. Chciałem, żebyś była szczęśliwa. Powiedziałaś przecież Grecie, że byłabyś, właśnie mieszkając na wsi.

- Myślałem, że się ucieszysz - usiłowałem cię objąć, ale wyszło mi to jakoś tak nieporadnie. - Bałem się, że jeśli stamtąd odjadę, ktoś inny kupi ten dom. Bałem się, że on zniknie. A jest... jest idealny. Sama zobaczysz.

- Jest twój, nie nasz - powiedziałaś, ocierając łzy i pociągając nosem jak mała dziewczynka. - To mieszkanie jest moje, a tamten dom twój. Nie mamy nic wspólnego. Będę u ciebie tylko gościem, rozumiesz?

- Nie rozumiem - zdenerwowałem się. - Kupiłem ten dom bez ciebie. To był potworny błąd. Ale urządzimy go razem. Wyremontujemy go razem. Wybierzesz kolor kafelków do łazienki, meble, kwiatki do ogrodu... wszystko. Moje marzenia zamienimy na nasze

wspólne. O wszystkim zdecydujemy we dwoje. Wybacz mi. I spróbuj się cieszyć razem ze mną, błagam.

- Nie zamierzam się cieszyć - oświadczyłaś i wyszłaś z pokoju.

- Ona nie może znieść tego, że nagle stałeś się niezależny - pokiwał głową Marcin. - Miała nad tobą pełną kontrolę, pracowałeś u niej, mieszkales u niej. A teraz wszystko masz własne. Ona tak naprawdę panicznie się boi, że nie będzie już mogła tobą rządzić.

Ależ będziesz mną rządzić! Zawsze i bez względu na wszystko. Jakkolwiek tandetnie by to nie brzmiało, kocham cię i oddałem już dawno swoje życie w twoje ręce. I tak mi przykro, że nie chcesz z tego skorzystać.

Przypomniała mi się taka piosenka Brela, chyba w tłumaczeniu Młynarskiego. Nie pamiętam dokładnie... „Tylko mały kąt, taki kąt mi daj, gdzie twój słycać śmiech, widać twoją twarz”. A potem jeszcze jest coś o tym, że facet marzy, by „być cieniem twoich rąk, cieniem twego psa”. Pięknie powiedziane. Też bym chciał być „cieniem twego psa”. Gdybyś go miała.

- Nie znoszę zwierząt i dzieci - powtarzałaś często. - Chociaż dzieci bardziej. Bo dzieci i dziurki w uszach to dwie rzeczy, które zostają na zawsze i dlatego nigdy bym ich sobie nie zrobiła.

Nie podobało mi się to porównanie... i sformułowanie „sobie nie zrobiła”. Nie mogłabyś sobie zrobić sama dziecka. Na szczęście, mimo postępu medycyny, jeszcze nie. Nie podobało mi się to, ale nie protestowałem. Nie potrzebowaliśmy awantur. I tak od chwili, gdy dostałem stypendium, było nam coraz ciężej. I coraz mniej czasu spędzaliśmy ze sobą. Ja już właściwie nie mieszkalem u ciebie, tylko na Kaszubach. Ale było warto. Dom, po trzech

miesiącach ciężkiej pracy, wyglądał pięknie. Przerobiłem skazaną na zagładę rudę w istne чудо.

- Dokonałeś niemożliwego - klepali mnie po ramieniu Jacek z Marcinem, gdy jechaliśmy razem na mecz Polonii. Tej wiosny tak rzadko chodziłem na mecze. Właściwie zamieszkałem w Chmarkach jeszcze zanim udało się rozprościć po domu prąd i wywiercić studnię tuż przy ścianie sypialni. Kochałem ten dom. I miałem nadzieję, że zatekniesz za mną, jeśli będę tam spędzał całe tygodnie. Że zechcesz do mnie przyjeżdżać, przynajmniej na weekendy. To było ważniejsze niż wszystkie mecze świata, nawet te rozgrywane przez ukochaną drużynę i wygrywane przez nią 3:0.

- Ty w ogóle nie patrzysz na boisko! - denerwował się Marcin, unosząc w górę czarno-czerwono-biały klubowy szalik. - Strzelamy gola, a ty siedzisz kompletnie nieobecny! Co z ciebie za kibic? Po co tu w ogóle przyjechałeś?

- Dla was - powiedziałem zgodnie z prawdą.

A Marcin i Jacek westchnęli ciężko jak na komendę. A potem poderwali się jak na komendę z krzesełek, bo Polonia miała właśnie kolejną stuprocentową sytuację. Którą oczywiście znowu przegapiłem.

Kiedy wracałem do domu po meczu, w ciemnościach, moim rozpadającym się maluchem, miałem ochotę się rozpłakać. Powstrzymywał mnie tylko fakt, że kiepsko prowadzi się samochód z oczami pełnymi łez. A tego malucha i tak prowadziło się bardzo ciężko, nawet bez łez. To był gruchot. No ale przecież czymś musiałem jeździć. Samochód służbowy oddałem, odchodząc z wydawnictwa, a autobusem ani pociągiem do Chmarek bym nie dojechał. Najbliższy przystanek PKS-u jest jednaście kilometrów od mojego domu. Trochę daleko.

Nie przerażała mnie jednak jazda rozpadającą się kupą złomu, przytulanie się w nocy do pieca, żeby choć trochę się ogrzać, ani ciekący dach. Nie przerażało mnie nic... Nic oprócz tego, że moje sukcesy mogą zabić nasz związek. O ile sukcesami można nazwać wypaczone okna, ogród, który trzeba będzie chyba przeorać i wykarczować zaraz po Wielkanocy, i zapach preparatów grzybobójczych unoszący się we wszystkich pomieszczeniach. Oraz przetłumaczenie dwóch sonetów do Laury przez cztery miesiące.

- Odbiorą ci to stypendium, jak zobaczą, że nic nie robisz - krakał Marcin. - Musisz się zmobilizować.

On oczywiście zna znakomite sposoby na mobilizację do pracy. Ma ze czterdzieści książek na ten temat. Do jednej z nich sam napisał rozdział, jeszcze na studiach. Tylko co z tego? Ja chciałem wyremontować dom i urządzić go tak, żeby było ci tam wygodnie. A dopiero potem zabrać się do pracy nad tłumaczeniami.

Gdybym tylko wiedział, czy kiedykolwiek tam przyjedziesz...

Właśnie nad tym zastanawiałem się w drodze z meczu. Miałem wrażenie, że znam odpowiedź. I właśnie z tego powodu do oczu cisnęły mi się łzy.

I nagle... Tak, nie wydawało mi się. To była prawda! Pod domem stał twój samochód, a ty siedziałaś w środku i czytałaś coś przy wąłym świetelku sufitowej lampki.

- Adela, kochanie moje! - Rzuciłem się do drzwi twojej toyoty, zacząłem całować cię po twarzy, po rękach, po włosach. - Adela, przyjechałaś! Nareszcie!

Byłaś zmarznięta. Nie wiem, ile czasu siedziałaś w tym samochodzie pod bramą w zimny, kwietniowy wieczór. Nie wiem też, dlaczego wybrałaś środę. Przecież wiesz, że wtedy często są mecze. Przecież wysłałem ci rano SMS-a, że umówiłem się z chłopakami. Pytałem,

czy mogę potem do ciebie przyjechać, zostać na noc... Nie zgodziłaś się, odpisałaś, że jesteś zajęta. Wyobrażałem sobie, że zajmuje cię nowy kierownik działu praw. Ania z dystrybucji dzwoniła ostatnio i mówiła, że niezły z niego przystojniaczek. Myślałem, że to z nim spędzisz wieczór. To także dlatego nie umiałem skupić się w czasie meczu. A ty... Czy to możliwe?

- Chciałaś mi zrobić niespodziankę? - zapytałem, otwierając skrzypiącą furtkę i tuląc cię do siebie. - Ty, która tak nie znosisz niespodzianek?

- Ale ty je lubisz, prawda? - uśmiechnęłaś się radośnie. - Przekonałeś mnie, że czasami warto je robić.

Byłaś dobra, czuła, troskliwa. Taka, o jakiej marzyłem przez całe życie. Nie zawsze taka byłaś, ale w ten środowy, wiosenny wieczór tak. Nie zapomnę go już nigdy. Ukochana drużyna przesunęła się w tabeli o dwa miejsca, ukochana kobieta przyjechała spędzić ze mną noc, a w ogrodzie, całkiem nieoczekiwanie, zakwitły trzy żonkile. Chciało mi się płakać ze szczęścia.

ROZDZIAŁ 13

Pismo

Szcześliwszy byłem chyba tylko na początku pracy w wydawnictwie. Na samym początku naszej znajomości. Przez pierwszy tydzień, może dwa. Nikt wtedy jeszcze nie widział, że jesteśmy razem. Ty nie nazywałaś tego byciem razem. Chwilami miałem wrażenie, że chodzi ci tylko o seks. Byłaś nienasycona. Zamykałaś się ze mną w swoim gabinecie w środku dnia albo w drodze ze spotkania Izby Książki zjeżdżałaś nagle na jakiś parking i podciągałaś wąską spódnicę.

- We wszystkich książkach piszą, że kobiety potrzebują długiej gry wstępnej, że trzeba je rozbudzać godzinami - mówiłem do Jacka i Marcina, niemal zasypiając nad szklanką piwa. Gdybyś nie wyjechała na te dwa dni do Poznania, chyba bym wylądował w szpitalu z wyczerpania. Prawie nie spałem, jadłem kanapki z firmowego bufetu, korespondencja na moim biurku leżała nieotwarta od poniedziałku, a ja... ja siedziałem pod twoim biurkiem, i masowałem ci stopy. A potem nie tylko stopy.

- Żeby kobieta osiągnęła orgazm, jej łechtaczka musi być pobudzana przez dwadzieścia dwie minuty. Tak mówią statystyki, uczyłem się tego na zajęciach z seksuologii - oświadczył Marcin.

- Widać łechtaczka Adeli nie zna statystyk - mruknąłem. - Jej wystarcza pół minuty. No, czasami minuta.

Za to dwadzieścia razy dziennie.

- To metafora, tak? - Jacek spojrzał na mnie podejrzliwie. - Żaden facet nie da rady dwadzieścia razy dziennie. W naszym wieku żaden facet nie da rady nawet trzy razy dziennie!

Ale to nie była metafora.

- Już nie mogę - jęczałem czasami, gdy o czwartej rano twoja dłoń budziła mnie, sunąc w dół po moim brzuchu... albo w górę po moim udzie. Byłem obolały, poobcierany. Bolały mnie usta, język, dłonie. Chciałem spać. Ale ty nie.

- A szefowej przecież się nie odmawia - śmiali się moi przyjaciele.

- Liczysz na to, że przywiążesz mnie do siebie tym niesamowitym seksem, tak? I że będę wciąż dawać ci podwyżki, żeby zatrzymać cię w firmie? - zapytałaś kiedyś, niby żartem, ujeżdżając mnie miarowo.

Miałem ochotę dać ci wtedy w twarz. To był jeden z dwóch razy, kiedy chciałem to zrobić. Drugi raz był wtedy, kiedy stałaś na tym taborecie z kieliszkiem w dłoni i wykrzykiwałaś coś o jedenastu centymetrach. Ale, tak naprawdę, nawet wtedy nie rozwścieczyłaś mnie tak bardzo, jak tym zdaniem o podwyżkach. Wtedy, na taborecie, bardzo mnie zraniłaś. Ale wściekły, bardzo wściekły byłem, kiedy wspomniałaś o podwyżce w zamian za seks. Chciałem dać ci w twarz, naprawdę.

Ale jak można wymierzyć policzek kobiecie, która właśnie na tobie siedzi? I ma cię w sobie tak głęboko, jak to tylko możliwe?

- Kocham cię - jęknąłem, usiłując wysunąć się spod twych bioder. Nie udało mi się. Docisnęłaś mnie do prześcieradła i zwiększyłaś tempo. Wściekłość mieszała się z rozkoszą.

- Kocham cię! - krzyknąłem.

Rozkosz zwyciężyła.

Sprawa tego, że jesteś moją szefową, a ja twoją sekretarką („Asystentem! Mów asystentem, a nie sekretarką, do cholery!” - upierałaś się) powracała jednak co jakiś czas.

- To nie stanowi dla mnie problemu - mówiłaś. I zwykle wierzyłem, że tak jest.

Ale czasami... czasami miałem wrażenie, że się wstydzisz tego, że jestem nikiem. Facetem z jednym garniturem, mieszkającym u ciebie kątem. Sekretarką. Nieudacznikiem z rozgrzebanym doktoratem i długami.

- Przynajmniej długi spłaciłeś dzięki tej pracy - pocieszał mnie Marcin potem, kiedy było już po wszystkim. Kiedy już cię nie było.

Spłaciłem, owszem. Nie mogłem się z nich wygrzebać od pięciu lat. Beata oczywiście umywała ręce. Uważała, że zostawienie mnie po uszy w kłopotach finansowych to i tak mała kara za to, że się z nią nie ożeniłem.

- Wpędziłeś dziewczynę w lata i zostawiłeś - płakała jej matka.

Nie zostawiłem jej. Po prostu nie poprosiłem o rękę, a ona odeszła sama, uznając, że ją upokorzyłem. Bo ona bardzo chciała mieć męża i dzieci. A teraz... teraz ja bardzo chciałem mieć żonę i dzieci. Tyle tylko, że tą żoną mogła być jedna kobieta na świecie. I w żadnym wypadku nie chodziło o Beatę.

Niestety, kobieta, o którą chodziło, czasami ukrywała przed całym światem fakt, że ze mną mieszka.

- Wściekasz się, bo nie chcę się z tobą obściskować na wernisażu? - śmiałaś się. - Nie jesteśmy nastolatkami, nie zamierzam całować się z tobą po kątach.

Kiedyś zamierzałaś. Pod mostem, nad Wisłą. Ale nie chodziło mi wcale o całowanie się po kątach ani ostentacyjne obściskiwanie na otwarciu wystawy obrazów jednego ze współpracujących z Zi-Zu grafików. Chodziło o to, że...

- Robiłaś dziś wszystko, żeby ludzie nie pomyśleli, że jesteśmy razem - tłumaczyłem. - Jakbyś się bała, że komuś może przyjść do głowy, że jestem twoim facetem. Uciekałaś na drugi koniec sali, ignorowałaś mnie, patrzyłaś ponad moją głowę. Czy to dlatego, że jestem sekretarką, a nie wiceprezesem?

- Chcesz, żebym cię awansowała na wiceprezesa? O to ci chodzi? Po to się ze mną związałaś? Miło z twojej strony, że nareszcie odkryłaś karty!

Nie, ta rozmowa nie miała sensu. Przynajmniej tego dnia.

Niestety, dobry dzień na doprowadzenie jej do końca nigdy nam się nie trafił. A może to ja nie umiałem go zauważyć? Nigdy nie zdołałem porozmawiać z tobą, poważnie i spokojnie, o tej przepaści między nami. Bo przecież to była przepaść, nawet wtedy, kiedy mnie awansowałaś - najpierw na specjalistę, a potem na szefa działu. Wciąż byłem członkiem innej kasty. I czasami czułem się z tym mało komfortowo. Wiem, że ty też. Dobrze byłoby porozmawiać... ale nie chciałaś. Woliałaś strącać przy ludziach moją dłoń z ramienia i udawać, że jestem - jak to nazwałaś na jednym ze spotkań na targach książki - „oddanym asystentem”.

- Chyba byłbyś zadowolony dopiero, gdybym wytatuowała sobie na czole napis: *Jestem kobietą Adama* - mówiłaś, kiedy tylko poruszałem ten temat.

Nie chodziło mi o tatuaż. Chodziło o to okropne poczucie, że wstydzisz się naszego związku. Że chcesz go ukryć przed całym światem.

- A twoi rodzice? - zapytałem po prawie dwóch lalach, pewnego wieczoru na Kaszubach. - Nie sądzisz,

że warto byłoby ich zaprosić na Gwiazdkę? To byłaby świetna okazja, żebym ich w końcu poznał.

Udawałem, że to tylko przeoczenie. Że wcale nie robisz tego specjalnie, że po prostu tak jakoś wychodzi, że do tej pory się nie spotkaliśmy. Myślałem, że też będziesz chciała udawać, że tak jest... ale nie chciałaś.

- Nie zamierzam cię przedstawiać rodzicom - powiedziałaś wtedy, wstając z fotela przy piecu. - I jeśli chcesz w ogóle spędzić te święta ze mną, już więcej o nich nie pytaj. Rozumiesz?

Zrozumiałem. Zrozumiałem wtedy, że twoi rodzice są na liście zakazanych tematów równie wysoko jak małżeństwo, dzieci i w ogóle jakakolwiek przyszłość.

- Nie mówmy o przyszłości - poprosiłaś mnie kiedyś. - Ani o przeszłości. Po prostu żyjmy chwilą.

Jasne... Gdybym tylko potrafił.

- Potrzebujesz pomocy. Nie potrafisz już pracować. Za chwilę stracisz to stypendium, sam mówiłeś, że Włosi już się niepokoją - Marcin potrząsnął mną z całej siły. - Nie możesz dłużej udawać, że wszystko jest dobrze.

- Wszystko jest dobrze - beknąłem, podnosząc głowę.

Widziałem kiedyś taki film o pisarzu, który żył jak w chlewie i nie był w stanie napisać ani jednego zdania po odejściu żony. Pisarza grał Johnny Depp, bożyszcze nastolatek. Nie jestem niestety tak przystojny, jak Depp. Mam krzywe nogi, wystający brzuch i potworne zakola. Chociaż on też już ma zakola, widziałem ostatnio w gazecie. No, ale tak na oko z pięć lat młodsze od moich. A jest starszy, stuknęła mu już chyba czterdziestka.

- Ja pewnie w ogóle nie dociągnę do czterdziestki! - ryknąłem, aż zatrzęsły się ściany.

Jacek z Marcinem spojrzeli na siebie niespokojnie.

- Adaś, musisz wziąć się w garść - powiedział Jacek.

- Adaś, musisz zacząć terapię - powiedział Marcin.
- Mój kumpel pracuje w Gdańsku, to nie tak daleko stąd. Mógłbyś do niego jeździć raz w tygodniu, ma prywatny gabinet...
- Nie potrzebuję żadnej cholernej terapii. Potrzebuję spokoju-jęknąłem. - Głowami pęka, jedźcie już. Spóźnicie się na mecz.
- Nie idziemy na żaden mecz, jeśli ty nie idziesz.
- Jacek usiadł w fotelu.
- Nie siadaj! - wrzasnąłem. - To fotel Adeli! Nikt nie ma prawa na nim siadać!
- Jeśli to fotel Adeli, to go jej odeślij - powiedział spokojnie Marcin. - Jeśli to twój fotel, to zacznij go używać.
- To fotel Adeli - powtórzyłem. - I dom Adeli. Nie zamierzam nic jej odsyłać. Tu jest jej miejsce. W książce, którą mi pożyczyłeś, napisali, że to ważne, żeby osoba, która się waha, czy do nas wrócić czy nie, wiedziała, że może to zrobić. Żeby nie wynosić jej rzeczy na strych, nie pakować. Żeby czuła, że to wciąż jej dom.
- Napisali coś takiego? - Marcin zakrył twarz dłońmi. -A wydawało mi się, że nie ma tam nic niebezpiecznego. Że to książka o dźwiganiu się, o zaczynaniu nowego życia po rozstaniu.
- Jest kilka stron o powrotach - uśmiechnąłem się.
- Jedyne interesujące strony w tej książce. Napisali, że, jeśli ktoś się waha...
- Kurwa, zrozum wreszcie, że Adela wcale się nie waha! - zdenerwował się Marcin. - Ona odeszła. Na zawsze. Na dobre. Nie widziałeś jej od pół roku. Może już ma męża? Może jest w ciąży? Nie możesz w nieskończoność czekać, pijąc i paląc. Ten dom śmierdzi, ty śmierdzisz... Jakim cudem nie udusiłeś się jeszcze w tym smrodzie?!

-Adela lubi zapach fajki - czułem, że łyzy wypełniają mi oczy. - Chcę, żeby tu pachniało fajką, kiedy wróci.

- Nie wróci - jęknął Jacek.

- Tu nie pachnie, tylko śmierdzi jak w jakiejś norze, gdzie mieszkają kloszardzi. - Marcin postanowił być twardy. Widać było, że miał na studiach praktyki u Kotańskiego. Ten nauczył go nie cackać się z pacjentami. Tyle, że tam to byli narkomani, a ja jednak, mimo wszystko, narkomanem nie byłem. Jak już, to alkoholikiem. Nie miałem pojęcia, czego uczyli Marcina na temat alkoholików.

- Wyjdź na dwór, pooddychaj chwilę świeżym powietrzem, a potem wróć do domu. Zobaczysz, że śmierdzi - powiedział Jacek.

Oczywiście nie zamierzałem stosować się do jego rady.

- Nawet gdyby Adela zmieniła zdanie i chciała wrócić, cofnie się od progu, czując ten smród i potykając się o puste butelki. Tu jest gorzej niż w niejednej melinie, a ty wyglądasz jak degenerat. Adela uciekłaby na twój widok - dokończył.

A ja natychmiast otrzeźwiałem.

Tak więc to Jacek, technolog drewna i prawnik kręcący tyłkiem między regałami z bielizną, a nie psycholog Marcin, osiągnął niemożliwe: sprawił, że wstałem z kanapy i postanowiłem coś ze sobą zrobić. Chciałem pić. Chciałem zapić się na śmierć. Nie chciałem wstawać z łóżka. Ale jednocześnie nie mogłem pozwolić, żebyś odeszła właśnie wtedy, kiedy zrozumiesz, że odejście było błędem. Chciałem, żeby na twój powrót dom czekał piękny, czysty, pachnący. Chciałem, żeby wszędzie paliły się świece. Chciałem czekać w progu w białej koszuli i pachnieć wodą kolońską, oczywiście z mocną nutą piżma. Bo piżmo działa na kobiety.

- Zwariowałaś z tym piżmem? - śmiałaś się zawsze, kiedy o tym słyszałaś. - Na mnie działa mydło pachnące ziołami.

Ja jednak wiedziałem swoje. Kiedy kupiłem sobie tę wodę... pierwszą markową wodę w moim życiu... po prostu oszalałaś. Rzuciłaś się na mnie. To właśnie tego dnia przywiązałaś mnie do rury w łazience swoimi rajstopami. Chciałem, żeby to się powtórzyło. A skoro tak, to musiałem być przygotowany. W każdej chwili.

ROZDZIAŁ 14

Cellulit

Czym pachnie twoja kuchnia! - brzmiał następny mail. W pierwszej chwili myślałem, że to znowu od *Rilli*. Ale nie. *Rilli* już się nie odezwała. I nic dziwnego... w końcu jej nie odpisałem. Żadnej z nich nie odpisałem. Ale wciąż przychodziły nowe listy. I prawie, wszystkie dotyczyły gotowania. Czy naprawdę byłem w tym portalu randkowym jedynym facetem, który umie gotować? I co było w tym takiego strasznie pociągającego?

- Mówiłem ci, one wszystkie na to lecą - śmiał się Marcin, widząc moją przepelnioną skrzynkę z wiadomościami. - W zeszłym tygodniu poderwałem dwie niunie, studentki babysitterujące w weekendy, tylko dlatego, że obiecałem im jajecznicę z pomidorami na śniadanie.

- Z pomidorami? W czerwcu? Szklarniowe to zabójstwo dla jajecznicy! Poczekaj na gruntowe, a jajecznicę następnej panience zrób z pieczarkami. A w sierpniu koniecznie z kurkami, będzie zachwycona. Nie ma nic lepszego niż jajecznica z kurkami - poradziłem przyjacielowi.

A on zaczął śmiać się jeszcze głośniej.

- No co ty, zwariowałaś? Nikomu nie robię jajecznicy. To tylko taki bajer. Obietnica bez pokrycia. Żeby je do siebie zwabić.

Zwabić? Nie jestem pewien, co na ten temat mówi psychologia. Marcin na pewno to wiedział. Ale chyba nie zamierzał się ze mną i Jackiem tą wiedzą dzielić.

- A co robisz, jak któraś z nich nie chce rano wyjść z twojego mieszkania? - zainteresowałem się nagle. - No wiesz, upiera się, żebyś usmażył tę jajecznicę i w ogóle zaczyna się zachowywać jak twoja dziewczyna? Przecież wieczorem nie mówisz im, że chodzi ci tylko o seks bez zobowiązań, prawda?

- No jasne, że nie. Żadna by do mnie nie przyszła, gdybym tak mówił. Kobiety trzeba zapewniać, że są jedyne, niezwykle i że odmieniły nasze życie.

- Ale rano? - Jacek wpatrywał się w niego szeroko otwartymi, błękitnymi oczami. - Co robisz rano?

- Znikam po angielsku. Bez pożegnania.

Nie bardzo sobie wyobrażałem, jak można zniknąć po angielsku z własnego mieszkania. Chwilowo jednak nie mogłem się skupić na tym problemie, bo w głowie wciąż brzmiało mi to, co powiedział Marcin. Że żadna kobieta nie chce seksu bez zobowiązań. Że trzeba je okłamywać.

- Ach, gdyby tak ludzie, zamiast kłamać, mówili sobie tak po prostu, że zależy im tylko na dobrym seksie, że chcą kogoś na jedną noc... Albo na sto nocy, ale nie dając tej drugiej osobie żadnego prawa do swoich dni... Że chodzi im o seks, nie o związek, rozumiesz? Byłoby pięknie, co?

Pamiętam, jak to mówiłaś. Pamiętam, jak uśmiechałaś się do tej wizji, leciutko wysuwając koniuszek języka przed górne zęby. I pamiętam, jak bardzo chciałem umrzeć, kiedy to słyszałem. Bo wiedziałem, że mówisz o nas. O mnie. Byłoby pięknie, gdybym nie chciał mieć prawa do twoich dni.

Cześć Tygrysie! Może zjemy razem truskawki w szampanie, co? A przedtem ostrygi? Ostrygi to podobno najlepszy afrodyzjak... Ty, jako miłośnik gotowania, musisz coś o tym wiedzieć! A więc spotkajmy się na ucztę dla wszystkich zmysłów. Nie miałam mężczyzny od tygodnia, płonę z pożądania. A mężczyźni, którzy są smakoszami, to podobno najlepsi kochankowie. Rozpal mnie Tygrysie! Pokaż, co potrafisz!

- Wypisuję się z tego portalu - jęknąłem, zatrzaszkując notebooka. - Chyba można się jakoś wypisać?

- Można - uśmiechnął się Jacek. - Ale ty tego nie zrobisz. Spotkaj się z którąś z tych kobiet, które do ciebie piszą. Na pewno dostałeś jakiś fajny, normalny list.

Fajny list? Zastanówmy się... Może jedna z desperatek, które szukają ojca dla swoich przyszłych dzieci? O, na przykład ta: *Zegar biologiczny tyka, trzydzieste urodziny przepłakałam od rana do wieczora... Chcę być matką jak moje koleżanki, jak moja siostra i kuzynki. Chcę czuć się normalną, pełnowartościową kobietą. Jeśli mi to zapewnisz, będę cię kochać do końca życia.* Tak, bycie dawcą spermy to coś dla mnie. Na pewno bym się świetnie nadawał, mogłabyś wystawić mi list polecający, prawda? Zapewniłbym tej *Dziuni_31* (co za nick???) dwójkę tłustych bobasów i miałbym do końca życia darmową gosposię, która sprzątałaby i gotowała z wielkiej wdzięczności. I nawet kochałaby mnie z wdzięczności. Ale ja tego nie chciałem. Wolałbym zapłacić za sprzątanie i gotowanie tej Rosjance, która posprzątała mi dom po libacji w sieni. Spisała się całkiem nieźle. Bezszelestnie, szybko, profesjonalnie... Tak, zdecydowanie wolę ją niż *Dziunię_31*.

- Na pewno są tam jakieś inne, którym nie zależy tylko na dzieciach - Marcin włączył komputer. - No sprawdź, masz

trzydzieści nieprzeczytanych wiadomości! Któraś na pewno jest od kobiety twojego życia.

- Wątpię - próbowałem uśmiechnąć się beztrąsko, ale średnio mi to wychodziło. - Zobacz, żadna z tych informacji nie jest od Adeli. Patrz, jest *LucyD*, *Maria Wietrzna*, *Ivettka-Kokietka*, *Diana 74*... Ale nie ma Adeli! A to jedyna kobieta mojego życia. I nie zamierzam czytać żadnych innych wiadomości. Od nikogo innego.

- To my poczytamy. - Marcina najwyraźniej nie uczyli na studiach o czymś takim, jak tajemnica korespondencji. - *Ivettka-Kokietka* pewnie nie przypadnie ci do gustu, nick nie pozostawia złudzeń co do tego, jaki to rodzaj kobiety. Ale za to ja byłbym nią zainteresowany. I tamtą *Kleo* od „cześć Tygrysie” też. Wyglądają na takie, którym nie musiałbym nawet obiecywać jajecznicy. Zajrzyjmy, przekonajmy się, o czym marzy *Ivettka*...

- Chwileczkę, szukamy kobiety dla Adama, nie dla ciebie - przypomniał mu Jacek. - Ma być normalna. Wierna. Miła i dobra. Żadna kokietka nie wchodzi w grę!

- *Maria Wietrzna*? - Marcin z żalem porzucił swoje piękne plany szybkiego podrywu w sieci. - Pewnie jakaś zwariowana romantyczka. Chcesz taką?

Nie odpowiedziałem. Naprawdę powiedziałem już wszystko. Chciałem ciebie. Tylko ciebie. Nie interesowała mnie żadna *Maria*.

Ty wciąż kochasz tamtą kobietę - pisała Maria. - Myślisz o niej każdego dnia i śnisz każdej nocy. To widać od razu po twoim profilu, mimo że starasz się to ukryć z całych sił pod pozorem żartu.

- Jak to „widać od razu”? - zdenerwował się Jacek. Widać od razu to, czy kobieta ma cellulit, a nie czy ktoś ma złamane serce!

- Cellulit? Przez spódnicę albo przez spodnie? - zainteresowałem się przelotnie, chociaż wcale nie byłem pewny, co to takiego ten cellulit.

- Przez jakie spodnie? - Jacek popukał się w głowę.

- Nie zauważyłeś, że kobiety w sklepie z bielizną rozbierają się do naga?

- Do naga? - cóż, to była dla mnie jednak pewna niespodzianka. Po prostu nigdy o tym nie myślałem. - No, ale chyba jednak nie przy tobie? Tam przecież jest przy-mierzalnia?

- Jest - Jacek zaczerwienił się po uszy, żałując chyba, że w ogóle zaczął ten temat. - Ale często potrzebny jest mniejszy rozmiar... albo większy. Zwykle większy. Bo kobiety mają skłonność do łudzenia się, że są szczuplejsze niż w rzeczywistości. No, z wyjątkiem nastolatek. One łudzą się, że piersi urosły im przez noc o pięć centymetrów i biorą do przymierzalni staniki z miseczką C, chociaż widać od razu, że są płaskie jak deska i nawet A powinny wypchać chusteczkami higienicznymi, żeby wypełnić wolne przestrzenie.

- I co, jak już się zorientują, że jest potrzebny inny rozmiar? - wciąż nie rozumiałem, o co chodzi z tym cellulitem. - Wyłażą z przymierzalni i paradują nago po sklepie, a potem przechylają się seksownie przez ladę i pokazują palcem jakieś opakowanie na półce?

- Fantasta! - roześmiał się Jacek. - Tak dobrze to nie ma. Stoję pod przymierzalnią i czekam. Kiedy słyszę, że klientka już zapięła stanik...

- Jak to: słyszysz? - puknął się w czoło Marcin.

- Przecież to nie jest wystrzał z armaty?

- Haftki są najczęściej metalowe i wydają taki dźwięk, bardzo subtelny... jak przelatujący komar... albo nie, bardziej jak osa, to jednak trochę inna częstotliwość... Kilka dni począłbyś się pod przymierzalnią i też byś to słyszał, całkiem wyraźnie. A

poza tym te, które wezmą za mały stanik, prężą się, wciągają brzuch, nawet jęczą i stękają... od razu to słyhać. Jak nie wierzycie, to możecie kiedyś przyjść i posłuchać ze mną.

Marcinowi oczywiście zabłyśły oczy. Jacek zaś jęknął, bo dopiero w tym momencie dotarło do niego, co może oznaczać ta propozycja.

- Straciłbyś pracę, gdybyśmy to zrobili - postanowiłem stanąć po jego stronie i obronić go przed Marcinem. To był chyba jedyny sposób, żeby dowiedzieć się nareszcie, o co chodzi z tym cellulitem.

- Podglądasz je? - Marcin też chyba nie rozumiał tej historii.
- Lustro weneckie? Czy zwyczajna, staromodna dziurka w ścianie przymierzalni?

- Oszaleliście? - parsknął Jacek, wciąż czerwony jak burak, trochę z nerwów i zawstydzienia, a trochę ze śmiechu. - Nikogo nie podglądam, jesteśmy eleganckim sklepem, dbamy o nasze dobre imię. Po prostu tam stoję i kiedy przyjdzie odpowiedni moment, pytam słodkim głosem: „Może podać pani coś jeszcze? Inny fason, inny rozmiar, inny kolor?”. A kiedy ona mówi, że poprosi ciut większy, biegnę do półki i go podaję. Czasami zresztą nie czekam nawet, aż to powie... Po prostu stoję pod przymierzalnią z dwoma stanikami, jednym większym a drugim mniejszym o rozmiar od tego, który klientka wzięła do kabiny, i w pewnej chwili proponuję, żeby przymierzyła inne rozmiary. To świetnie działa na te, które wstydzą się swoich gabarytów. Wiecie, jak podają mi po wyjściu z przymierzalni trzy staniki i wskazują na jeden, mówiąc: „Wezmę ten”, to łudzą się, że ja nie wiem, że to największy rozmiar. Rozumiecie? Szefowa sama wymyśliła taki sposób i on naprawdę jest niezawodny.

- Nic sama nie wymyśliła - zachnął się Marcin. - To stara socjotechnika. Tak postępują bardzo często klienci

chcący ukryć kupowany rozmiar przed sprzedawcą albo innymi klientami. Sam namawiałem na szkoleniu dla handlowców, chyba osiem lat temu, ludzi pracujących z otyłymi klientami, żeby dawali im do przymierzalni jak najwięcej ubrań różnych rozmiarów. Wtedy szansa na to, że coś kupią, zwiększa się nawet trzykrotnie. Twoja szefowa na pewno nie wpadła na to sama.

Cóż, może faktycznie było to mało odkrywczе. Najważniejsze jednak, że działało. Boże, jak ja to sobie natychmiast precyzyjnie, plastycznie wyobraziłem. Te błękitne oczka Jacka, te jego pulchne rączki podające koronkową bieliznę jakiejś babeczce, wstydzającej się tego, że od ślubu utyla o cztery rozmiary... Tylko co to ma wspólnego z cellulitem? I co to właściwie tak dokładnie jest, ten cały cellulit?

- Jak im podaję te staniki, te majtki spłaszczające brzuch i podnoszące pośladki albo gorsety wyszczuplające, to muszę odchylić ciut kotarę. A wtedy... wtedy widzę niestety ich pośladki i uda. Mówię wam, dziewięćdziesiąt procent Polek ma potworny cellulit.

- Moje babysitterki nie mają - uśmiechnął się triumfująco Marcin. - Są młode, szczupłe i jędrne. Trzeba wiedzieć, z kim się zadawać.

- Mają, gwarantuję ci, że mają - roześmiał się Jacek. - Trzeba wiedzieć, jak patrzeć, czego szukać. Ja już niestety wiem. Nauczyłem się. Skóra o fakturze skórki pomarańczowej. Z takimi marszczeniami, dziureczkami... mają to już osiemnastolatki. Są szczupłe, ale nie jędrne. Nie ćwiczą. Jak na nie patrzę, to odechciewa mi się kobiet. W dodatku w babskich pismach pisze się głupoty, że mężczyźni nie zwracają na cellulit uwagi. Co za bzdura! Nigdy nie związałem się z kobietą, która ma cellulit. A prawie wszystkie mają, naprawdę.

- Adela... - zacząłem, a moi przyjaciele jęknęli jak na komendę.

- Jasne, wiemy, Adela była idealna i nie miała ani jednej komórki tłuszczowej za dużo - pokręcił głową Jacek.

- Zamknij się do cholery i chociaż przez pół godziny nie mów nic o Adeli - zażądał Marcin.

Skoro tak chcieli... nie powiedziałem im więc, że ty też masz na pupie coś takiego, jakbyś siedziała przez dwie godziny na krześle z materiałowym obiciem. Taki delikatny wzorek jak pajęcza sieć... I że jest to jedna z najbardziej mnie rozczulających rzeczy na twym ciele. Taka właśnie niedoskonałość. Muszę się do czegoś przyznać. Wściekła byś się, gdybyś o tym wiedziała. Nie znosisz przecież tej siateczki... a ja tak jąkocham... tak bardzo, że kiedy usłyszałem, że kupiłaś, za jakieś potworne pieniądze, żel głęboko wygładzający i napinający, który miał „załatwić to paskudztwo”, chciało mi się płakać. Dla mnie to nie było żadne paskudztwo, tylko część ciebie. Bardzo piękna część. Może przez to właśnie, że była niedoskonała, że dzięki niej byłaś bardziej ludzka... A przecież i tak nikt oprócz mnie nie oglądał twojej pupy... miałem nadzieję, że nikt... a więc mogłabyś zapytać mnie o zdanie w sprawie siateczki. Ale nie zapytałaś. I świetnie wiedziałem, że rozmowa nic tu nie zmieni, najwyżej wściekniesz się, że wtrącam się w nie swoje sprawy. Chociaż twoja pupa to naprawdę była moja sprawa. No ale ty tak nie myślałaś. A więc uciekłem się do podstępu. W obronie siateczki. Nie miałem wtedy pojęcia, że ta siateczka to właśnie skórka pomarańczowa, czyli cellulit, o którym tyle pisze się w prasie kobiecej. Co druga okładka w kiosku krzyczy do mnie: „Nareszcie skuteczny sposób walki z cellulitem” albo „Powiedz cellulitowi NIE, podpowiemy ci, jak to zrobić”.
Może

gdybym wiedział, że ta siateczka to wróg wszystkich kobiet świata, zareagowałbym inaczej? Nie wiedziałem jednak. I dlatego spuściłem z wodą ten balsam, który przywiozła ci jakaś stewardesa, zaopatrująca Gretę w nowości kosmetyczne chyba prosto z Nowego Jorku. A do butelki wlałem zwykły, najtańszy balsam nawilżający czy może odżywczy... taki do wcierania w ciało po kąpieli. Miałem nadzieję, że nie zrobi za wiele złego twojej ślicznej pajęczynce.

Nie dowiedziałem się jednak, czy przypadkiem jej nie wygładził i czy nie wykryłaś jakimś cudem podstępu. Oba balsamy były białe, ale ten drogi, od stewardesy, był jednak trochę gęstszy od tego z kiosku Ruchu. I trochę inaczej pachniał. Mogłaś się domyślić. Bałem się tego. Ale tydzień po tej zamianie, po tym, jak wylałem twój skarb do ubikacji, odeszłaś. I cała sprawa nagle przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Bo co obchodził mnie jakiś balsam, skoro straciłem ciebie? Nie myślałem o tym aż do teraz, aż do tej rozmowy... idiotycznej rozmowy o przebieralniach, bieliźnie i cellulicie.

- Idźcie już - poprosiłem chłopaków. - Idźcie, chcę zostać sam.

Ale oni nie poszli. Bo zauważyli, że dzieje się ze mną coś bardzo złego. Zauważyli, choć nie powiedziałem ani słowa.

Nie miałem pojęcia, że taki drobiazg aż tak wyprowadzi mnie z równowagi. Wspomnienie twojej pajęczynki. Ciepła twoich pośladków pod moją dłońią.

Boże, Adela... nie wiedziałem, że można tak tęsknić!!!

ROZDZIAŁ 15

Maria

Zdradziłem cię. Czułem się z tym okropnie. Wiedziałem, że nie można tego nazwać inaczej niż zdradą, a jednak to zrobiłem. Nie umiem tego wytłumaczyć. Po prostu czułem, że umrę, jeśli nie porozmawiam z kimś, kto mnie rozumie. A miałem dziwne, absurdalne, niemożliwe do wyjaśnienia wrażenie, że *Maria* wie, co przeżywam. Jakimś cudem odczytała to z tych bzdur, które Jacek i Marcin napisali na mój temat w Internecie. Przecież to pisali oni, nie ja! Jak więc *Maria* mogła domyślić się, wyczytać spomiędzy linijek pisanych w imieniu żółwia, że wciąż aż tak bardzo kocham i cierpię, że nie mogę spać, a nawet, że piję?

Skoro to odgadłaś, jakimś cudem, to na pewno przeżywasz to samo, co ja - pisałem drżącą ręką. - A ja muszę porozmawiać z kimś, kto mnie zrozumie. Z kimś, kto wie, co to znaczy kochać tak, że aż czuje się ból, czysto fizyczny ból w środku brzucha. Chciałbym umrzeć i już tego nie czuć, ale jestem zbyt dużym tchórzem, żeby się zabić. Nie wiem, po co w ogóle zawracam Ci głowę. Nie szukam kobiety, chcę, żeby to było dla Ciebie jasne. Nie szukam niczego, tylko ukojenia.

Wiedziałem, że wszystkie *Dziunie_31*, *Kleo* i *Ivettki-Kokiettki* natychmiast zaproponowałyby mi bardzo konkretny i niezawodny (ich zdaniem) sposób na

ukojenie. Ale byłem dziwnie pewny, że *Maria* tego nie zrobi.

I nie pomyliłem się.

Maria odpisała po kwadransie. Zupełnie, jakby cały czas siedziała przy komputerze i czekała na mój list. A przecież napisała do mnie trzy dni temu. Nie sprawdzałem poczty regularnie. W dodatku była druga w nocy. Jaka kobieta siedzi przy komputerze o drugiej w nocy?!

Wiedziałam, że napiszesz. Wiedziałam, że będzie to dziś. Nie miałam wątpliwości - napisała.

Nie wyjaśniła mi, jakim sposobem odgadła, że cierpię. Napisała tylko, że żółw świadczy o dużej desperacji. Moim zdaniem żółw może świadczyć o setce innych rzeczy. Na przykład o tym, że ktoś lubił Tuptusia z bajki, którą oglądałem w dzieciństwie. Nie pamiętam, jaka to była bajka, ale pamiętam radosnego żółwia i okrzyk: „Tuptusiu w drogę!”. Może jestem fanem Tuptusia? Albo biologiem badającym obyczaje płazów i gadów? Albo po prostu dostałem żółwia w prezencie? Przecież tak właśnie było, dostałem Wacka w prezencie. I wcale nie musiało to świadczyć o dużej desperacji. Ani nawet o małej desperacji. Żółw jak żółw, niby dlaczego miałby być gorszy od psa, kota, kanarka albo świnki morskiej?!

Musisz uwierzyć, że cierpienie jest drogą do oczyszczenia i do wolności - pisała Maria.

A niby dlaczego muszę? - pytała przekornie moja dusza. A jak nie uwierzę w to, co się stanie? Będzie gorzej? Przecież już nie może być gorzej!

Ta *Maria Wietrzna* mówiła dziwnym językiem, mówiła dziwne rzeczy, z którymi się nie zgadzałem... ale przynajmniej rozmawiała ze mną o tym, że jest mi źle i nie kazała brać się w garść. Przeciwnie, pisała: *Placz, krzycz, rozpaczaj. Musisz zejść na dno, żeby się od niego odbić.*

Nie wiedziała, że ja już byłem na dnie... głębokim dnie. Nie trzeźwiałem całymi tygodniami. Zarzygałem cenne woluminy z biblioteki rzymskiego Uniwersytetu La Sapienza. Omal nie zabiłem żółwia, kąpiąc go w miednicy z wódką. Nie chciałem spadać niżej. Chciałem się odbić, naprawdę. Ale dno (znowu tandetna metafora! Dante byłby zażenowany moim poziomem!) było mułiste, bagienne. Kiedy podskakiwałem, żeby się od niego odbić, zapadałem się w tę glinę po kolana. I miałem wrażenie, że tak będzie już zawsze. Dobrze, że przynajmniej *Maria* mnie choć trochę rozumiała.

Spotkajmy się - napisała. - Spotkajmy się i porozmawiajmy. Nawet nie wiesz, jak bliskie są mi Twoje problemy i jak chętnie o nich pomówię.

Spotkać się?!? Nie byłem pewny, co powinienem na to odpowiedzieć. Przecież już ten list... sam fakt, że odpisałem komuś z portalu randkowego... już samo to było zdradą. A spotkanie... nie, spotkanie to byłoby za wiele. Zwłaszcza, że musiałbym jechać do Warszawy. Nie miałem na to siły. Może gdyby był mecz, to jakoś przy okazji... Ale nie było meczu. Były wakacje. Na mecze trzeba było czekać do września. Nic oprócz meczu nie wydawało mi się dostatecznie istotne, bym miał przejechać całą tę drogę, prawie trzysta kilometrów. *Maria* nie była na tyle istotna.

Może w takim razie ja przyjadę! - zaproponowała.

Czyżby następna desperatka szukająca męża??? Nie, nie chciałem, żeby przyjeżdżała! W żadnym wypadku! Jeszcze się jej nie pozbędę, jak Marcin tej swojej babysit-terki, która miała zostać na jedną noc, a teraz nie chce zabrać z jego półeczki w łazience swojej szczoteczki do zębów i pyta, kiedy pozna jego rodzinę. Nie, nie ma mowy.

Nie czuję się na silach - napisałem jej zgodnie z prawdą.

A ona wtedy poprosiła o adres, żeby mogła wysłać mi coś, co podniesie mnie na duchu.

- Nie podawaj adresu - przypomniał mi żelazną zasadę Marcin, który przyjechał na cały weekend, mając nadzieję, że w przypadku baby-sitterki Sylwii zadziała inna stara zasada: co z oczu, to i z serca. Nie zadziałała. Sylwia czekała w poniedziałek pod jego drzwiami. A jednak byłem jej wdzięczny. I to jak! Przecież dzięki temu, że Marcin musiał uciekać z własnego domu, udało mi się uniknąć wielkich kłopotów. Nie podałem *Marii* adresu.

Jeśli chcesz mi coś przekazać, mój kumpel chętnie to od ciebie odbierze - napisałem, chociaż było mi głupio tak ostentacyjnie dawać jej do zrozumienia, że jej nie ufam.

Rozumiem, że mi nie ufasz - odpisała *Maria*. - *W końcu, jak w tej reklamie ze starym dziadem pedofilem w podartej koszulce: „nigdy nie wiesz, kto jest po drugiej stronie”. Na pewno ta ostrożność uchroni Cię, drogi Adamie, przed wieloma kłopotami. A ja nie mam nic do ukrycia i chętnie spotkam się z Twoim przyjacielem.*

- Jak ty ją poznasz? - zastanawiałem się, żegnając Marcina na mojej piaszczystej drodze, na której o dziwo nikt oprócz mnie nigdy się nie zakopał. Ja zresztą też nie, tylko ten jeden jedyny raz, wtedy, gdy dom chciał, żebym go znalazł. Zrobił, co mógł, wygrał nawet z mrozem...

- Będzie pan tu mieszkał z żoną, tak? Dla żony pan dom szykuje? - pytała mnie śpiewnie ta Rosjanka z włosami upiętymi w wielki kok, sprzątając po remoncie.

- Dla żony - przytakiwałem. - Mam nadzieję, że ta pani będzie kiedyś moją żoną.

Teraz już wiedziałem, że nie będzie. Ciekawe, czy dom też o tym wiedział? Czy wiedział już wtedy, kiedy postanowił, że będzie mój? A raczej, że ja będę jego? Bo przecież to on mnie wybrał, a nie odwrotnie...

- Nie wiesz, jak wygląda ta twoja *Maria!* - Marcin postukał się w głowę. - Nie wiesz? Nie przysłała ci zdjęcia? Jak możesz zadawać się z kobietą bez twarzy?

- Mogę - mruknąłem, próbując ukryć zniecierpliwienie. - Właściwie to nawet podniecające.

Uśmiechnął się. Tę odpowiedź chciał usłyszeć. A ja mu ją dałem. Powinno mi się wręczyć dyplom psychologa honoris causa. Bez zdawania tych wszystkich skomplikowanych egzaminów umiem przechytrzyć dyplomowanego psychologa! To chyba niezłe osiągnięcie? Bo tak naprawdę miałem ochotę powiedzieć coś zupełnie innego. Tak, oczywiście: chciałem powiedzieć, że to, jak wygląda *Maria Wietrzna*, jest kompletnie bez znaczenia. Bo i tak nigdy nie zobaczę w niej kobiety. Bo ty jesteś moją kobietą. Wiedziałem jednak, że to wyznanie nie przypadłoby do gustu Marcinowi.

Marcin wrócił po dwóch dniach. A ja przez ten czas nie zaglądałem do skrzynki mailowej. Bawiłem się za to w zgadywanie, co takiego przekazała dla mnie *Maria...* i co powie mi o niej mój przyjaciel, prawdziwy koneser kobiecej urody. Koneser, któremu właśnie babysitterka Sylwia groziła sądem. Podobno obiecał jej małżeństwo i ona ma na to świadków. Nie jestem pewny, czy sądy zajmują się takimi sprawami. Jestem za to pewny, że te dwa dni, kiedy bawiłem się w wyobrażanie sobie twarzy i ciała *Marii* i „drobnego upominku”, który mi dała, były nawet miłe. Chyba najmiłsze od stycznia, od naszego rozstania. Marcin obiecał, że zrobi jej z ukrycia zdjęcie. Wyobrażałem sobie, jak będzie to robił, starając się, żeby *Maria* nic nie zauważyła (jak można nie zauważyć światła lampy błyskowej?!)... Wyobrażałem

sobie, jak w końcu tu przyjedzie i poda mi to zdjęcie... i ten dreszczyk niepewności, kiedy wezmę je do ręki i spojrzę Marii w oczy... Zastanawiałem się nawet, co się stanie, jeśli okaże się, że jest piękna... prawie tak piękna jak ty? Jeśli Marcin będzie nią zachwycony? Mamy podobny gust, sama wiesz. On długo nie mógł się pogodzić z tym, że nie jesteś już do wzięcia, że jesteś moją dziewczyną. Może teraz sam zdecyduje się poderwać *Marię*, może się w niej zakocha, a ona w nim? Przecież on wcale nie jest urodzonym babiarzem bigamista, też ma za sobą koszmar, wielki miłosny zawód... Gdyby *Maria* go uratowała, byłbym naprawdę szczęśliwy.

-Nie poderwę *Marii*, nawet jeśli będzie Miss Świata - poklepał mnie po ramieniu, odjeżdżając. - Napisała do ciebie i ty masz do niej pierwszeństwo.

Miałem pierwszeństwo... to było miłe. Piłem piwo, paliłem fajkę i bawiłem się myślą o tym, że *Maria* okaże się pięknym, dobrym, mądrym i skromnym Kopciuszkiem. Którego ja, oczywiście, odrzucę, bo kocham tylko ciebie.

- Gdybyś podał im adres, chyba musiałbyś się stąd natychmiast wyprowadzić - Marcin wyglądał naprawdę kiepsko, kiedy już zjawił się z powrotem. - Cholera, jak dobrze, że cię przed tym uchroniłem. Że tu byłem, kiedy do niej pisałeś.

- Stara, brzydka i szuka męża? - roześmiałem się z ulgą. - Wprowadziłaby się tu z całą rodzinką?

Tak, to było pocieszające. Nie chciałem, żeby *Maria* była piękna i mądra. Nie chciałem, żeby była kobietą, w której mógłbym się zakochać. Albo przynajmniej kobietą, która mogłaby mnie zainteresować. Chciałem cierpieć, chociaż to tak strasznie bolało. Bezsensownie, absurdalnie - chciałem rozpamiętywać naszą miłość i taplać się w tym bólu po same uszy. Do końca świata.

Taki miałem pomysł na życie. Inne kobiety - atrakcyjne, miłe, inteligentne i zainteresowane moją osobą-mogłyby mi tylko przeszkodzić w realizacji tego planu. Dobrze, że *Maria* taka nie była.

- To świadkowie Jehowy - wyjaśnił w końcu Marcin, zapadając się w kanapę z butelką zmrożonego piwa. - Ta cała *Maria* ma męża i dwoje dzieci. Pisali do ciebie razem, do wszystkich tak piszą. Ona, jej mąż, sąsiedzi... To cały dom Jehowych. Taki mały zbór. Wymieniają się przy komputerze i piszą na zmianę do wszystkich facetów z tego portalu randkowego i do wszystkich kobiet, które wyglądają na dostatecznie zdesperowane. A potem spotykają się osobiście i oferują ukojenie. Wręczają książki, zapraszają na spotkanie... Nie jestem pewny, czy to do końca zgodne z ich religią, takie oszustwo. Może trzeba byłoby ich gdzieś zadenuncjować? Do jakiegoś biskupa? Chyba Jehowi też mają jakąś hierarchię, co? I nie mogą w imię wiary okłamywać ludzi?

No tak. Jedyna sensowna kobieta w tym całym portalu tak naprawdę chciała mnie nawrócić, a nie pokochać. To był jej plan życiowy, aja go trochę pokrzyżowałem.

- Ja mam już swoją religię - powiedziałem. Marcin pokiwał głową.

- Wiem, kurwa, wiem. Wierzysz w Adele. A to gorsze niż faszyzm.

ROZDZIAŁ 16

Drabinka

Marcin miał rację. Ta moja religia była gorsza niż faszyzm. I niż islamski fundamentalizm. Gorsza - bo wymagała od swego wyznawcy większych poświęceń. I większej desperacji. Pełnego oddania temu, w co się wierzy.

—Nie zamierzasz już pracować? - zapytał ojciec, odwiedzając mnie wtedy, w czerwcu, widząc, że papiery, które powinienem tłumaczyć, są przykryte grubą warstwą gazet. - Zrezygnowałeś?

- Nie zrezygnowałem - zdenerwowałem się natychmiast. -Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć! Mam trzy lata na tę pracę.

- Niedługo minie chyba półtora roku? - to była jedna z najbardziej osobistych rozmów, jakie przeprowadziłem z ojcem przez całe moje życie. Na pewno dużo go kosztowała.

- Półtora roku to dopiero połowa czasu - byłem wściekły. Wiedziałem bowiem, jakie pytanie zaraz padnie.

- Zrobiłeś już połowę pracy?

Nie zrobiłem. Zrobiłem może dziesięć procent, może piętnaście. Wtedy, kiedy jeszcze byłaś. Kiedy siedząc przy komputerze, czułem w całym domu zapach twoich arbuzowych perfum i pokrzywowego szamponu. Ach,

jak cudownie się wtedy pracowało! Mogłem siedzieć przy komputerze po szesnaście godzin na dobę, jeśli tylko tu byłaś. A potem wślizgiwać się do łóżka i przytulać do ciebie, pochrapującej cichutko. To było życie, jakie zawsze chciałem prowadzić.

Jasne, marzyłem o tym, żebyś była tu częściej. Nie chciałem żegnać cię przed świtem, zamykając bramę za twoją toyotą i machając ci, kiedy znikaaś między wysokimi sosnami. Nie chciałem czekać, czasami trzy dni, czasami tydzień, aż wrócisz z Warszawy. Nie chciałem w kółko robić kolacji, które potem zjadałem sam albo wyrzucałem do kosza, bo w ostatniej chwili informowałaś mnie, że „nastąpiła nagła zmiana organizacji ruchu”. Czyli, że jednak nie wrócisz dziś wieczorem, tak jak planowałaś. Chciałem, żebyś zrobiła tak, jak mówiłaś do Greta - zamieszkała tutaj ze mną i porozumiewała się z wydawnictwem mailem, faksem, przez telefon. Przecież wiedziałem, że to możliwe. Ale wiedziałem też, jak zareagujesz na kolejną próbę rozmowy na ten temat. Nie chciałem ryzykować. Wolałem zrobić kolejne lasagne, a potem spuścić je z wodą. Bo cieszył mnie sam fakt szykowania dla ciebie jedzenia i ta nadzieja, że jednak tym razem będzie inaczej, że usłyszę w ciemności twój samochód hamujący pod bramą.

Tak, wtedy naprawdę ciężko pracowałem. Miałem straszne opóźnienie, przez ten remont domu. Ponad trzy miesiące opóźnienia. Ale je nadrobiłem. Wszystko szło zgodnie z planem. Czterdzieści sonetów Petrarcki przetłumaczonych na wszystkie trzy języki. Całe *Piekło* i pół *Czyśćca* w dwóch językach. Sto siedemdziesiąt osiem wierszy różnych poetów. Taka mała antologia, we wszystkich trzech językach. I, dla odprężenia, cały Italo Calvino. A potem *Imię Róży* przełożone na zulu. To jednak, mimo że powieść rozgrywa się w średniowieczu, naprawdę

bardzo współczesna proza, pisana pięknym językiem. Cudownie się nad nią pracowało po lingwistycznych męczarniach wędrówek z Wergiliuszem w kolejnych kręgach piekielnych. Tak, praca szła świetnie. Włosi byli ze mnie zadowoleni. Przysyłali kolejne raty stypendium i obiecywali, że umowa zostanie rozszerzona, że będę z nimi pracował przez kolejne lata, a nawet dekady. Że nie muszę martwić się o pieniądze do końca życia.

Nie było cię w domu... zwykle cię nie było. Ale wiedziałem, że wcześniej czy później wrócisz. Że może nie zdążysz na pierwsze lasagne, może nawet nie na drugie - ale to trzecie zjemy razem. I to mi wystarczało. Dom pachniał arbusami, a ja pracowałem jak szalony. Dla nas. Dla ciebie. Żebyś była ze mnie dumna. Nie mogłem być bogatszy niż ty, nie miałem szansy na to, żeby założyć jakąkolwiek firmę, a już na pewno ta firma nie zostałaby nigdy większą i lepszą firmą niż twoje wydawnictwo. Ale mogłem być najlepszym i najbardziej poważanym tłumaczem na świecie. Albo przynajmniej w Europie. I właśnie to zamierzałem osiągnąć. Może, jeśli będę człowiekiem sukcesu, będziesz chciała się mną chwalić swoim przyjaciołom, swoim rodzicom, zabierać ze sobą na spotkania? Może nareszcie uznasz, że jestem ciebie wart?

- Byłam szczęśliwsza, kiedy byłeś moim asystentem, to był najfajniejszy czas - mówiłaś wiele razy.

I chyba miałaś nadzieję, że postanowię wrócić do tamtej pracy. Wróciłbym... teraz bym wrócił, gdybyś tylko dała mi szansę. Zostałbym nawet sprzątaczką, gdybyśmy dzięki temu mogli być znowu razem. Bo bez ciebie tłumaczenie wielkich dzieł na moje ukochane języki afrykańskie nie ma żadnego sensu. I dlatego tego nie robię. Po prostu. Od dnia, kiedy się wyprowadziłaś, nie dotknąłem pracy.

- Włosi jeszcze się nie zorientowali? - dziwił się Jacek.

Jasne, że się zorientowali. Jak mogliby się nie zorientować? Ale wmówiłem im, że mam problemy z komputerem. .. że tłumaczę ręcznie, a potem wszystko wpisze w komputer moja asystentka. I że wyślę im od razu większą partię materiałów.

- Jaka asystentka? - popukał się w głowę Jacek. Nie wiedziałem, jaka. Ważne, że Włosi to łyknęli.

I dali mi spokój na parę tygodni.

- To nie będzie trwało wiecznie, w końcu upomną się o swoje - czy Marcin naprawdę myślał, że ja o tym nie wiem? - I nie przyślą ci kolejnych pieniędzy. A wtedy...

Nie musiał kończyć tego zdania. Pytanie o to, z czego będę żyć, zadawałem sobie sam, i to już od dłuższego czasu. Jeśli nie będę w stanie tłumaczyć... Co można robić w małej wsi, z dala od cywilizacji, żeby zarobić na życie? Doić krowy? Nie potrafię! To może pracować w sklepie? Nie wiem, czy pan Stanisław, właściciel jedyne go sklepiku w okolicy, „naszego osiedlowego sklepu”, jak zawsze o nim mówiłaś, byłby zachwycony. Przecież to właśnie u niego kupowałem przez ostatnie miesiące te hektolitry wódki i piwa, po które spacerowałem z plecakiem cztery kilometry wśród piachu i sosen. Chyba nie dałby pracy pijakowi. Chociaż, z drugiej strony, podobno ma kłopoty z personelem. Młody chłopak, który obsługiwał mnie kilka razy tuż po twoim odejściu, jest w wojsku. A śliczna dziewczyna, która w tej chwili podaje klientom wódkę, chleb i włoszczyznę, wychodzi w sierpniu za mąż. A jej narzeczony „nie życzy sobie”, żeby pracowała. A więc pan Stanisław potrzebuje nowego sprzedawcy. Mógłbym się zgłosić. Podawanie chleba wymaga mniej

myślenia niż tłumaczenie Dantego. Może mógłbym skupić się na tyle, żeby to zrobić? Gdybym pił tylko wieczorami...

- Może powinieneś sprzedać ten dom? - podsunął mi Jacek któregoś wieczoru, kiedy piliśmy piwo, mocząc nogi w jeziorze. - Jest pięknie wyremontowany, może trafiliby się jacyś amatorzy... jacyś niemieccy turyści... Kupiłbyś sobie za te pieniądze kawalerkę, a za resztę mógłbyś żyć całkiem wygodnie w centrum Warszawy pewnie jeszcze przez rok albo dwa. Skoro Adela odeszła, to chyba nie ma sensu, żebyś tu siedział sam jak palec, za jedyne go towarzysza mając Wacka. W mieście byłoby ci lepiej. Wszędzie miałbyś blisko, mógłbyś też sprzedać samochód. To gruchot, ale dostałbyś za niego parę groszy. Zastanów się, czy nie warto się stąd wyprowadzić.

- Nie mam najmniejszego zamiaru! - poderwałem się z pomostu, chciałem złapać go za koszulkę, może nawet uderzyć. Chciałem, żeby wiedział, że nigdy nie sprzedam tego domu, choćbym miał umrzeć z głodu albo zatrudnić się w fabryce. Nigdy! Bo to twój dom! Chciałem, żeby zrozumiał to raz na zawsze.

Niestety, to nie było moje pierwsze piwo tego dnia. W dodatku deski były wilgotne, śliskie... Przejechałem na bosych stopach chyba ze dwa metry, potem upadłem, jechałem dalej, na tyłku... aż do wody.

Gdy wynurzyłem się, mokry i wściekły, Jacek na pomoście zwijał się ze śmiechu.

- Twoje zdrowie! - uniósł w górę zieloną butelkę Grolscha z porcelanowym kapslem.

Złapałem się deski z samego brzegu i usiłowałem podciągnąć się na rękach. Nie mogłem ryzykować użycia drabinki. W grudniu gruba kra trochę ją uszkodziła. Obiecałem ci, że naprawię to, jak tylko skończą się mrozy, żebyś mogła pływać już w kwietniu, w pierwsze naprawdę ciepłe dni, tak jak lubisz... ale w styczniu odeszłaś i drabinka nie miała już

znaczenia. Nie chodziłem pływać, nie potrzebowalem jej. Aż do tego dnia.

- Pomóż mi - poprosilem Jacka, próbując po raz siódmy podciągnąć się na rękach i wskoczyć na pomost. Robilem to tyle razy poprzedniego lata. Tyle razy... ale dziś nie umialem.

Jacek oczywiście natychmiast poderwał się z miejsca i wyciągnął do mnie dłoń. Ale ja jej nie złapałem. Bo nagle przestało mi zależeć na wyjściu z wody. Nagle spojrzałem na siebie z boku i zobaczyłem, jaki jestem żaloszny. Samotny, ciągle pijany facet w pustym wiejskim domu z rozwalającym się pomostem. Pomostem, na którym nigdy nie przytule ukochanej kobiety, patrząc z nią na zachodzące za trzciniami słońce. Nagle zobaczyłem, jak będą wyglądały kolejne tygodnie, miesiące, lata. Wszystko obróci się w ruinę, tak jak ta drabinka, po której schodziłaś do wody. Bez twoich małych, białych stopek, drabinka całkiem się rozpadnie, pociągając za sobą pomost. Ogród, w którym rok temu kwitły setki kwiatów, zarośnie gęstymi chaszczami. Już prawie zarósł. Lśniące, bielone deski na podłodze zakryje kurz, w szpary między nimi wedrze się lepki brud, na wszystkich meblach pojawią się plamy z piwa, wódki, miodu. Jedyne, co jadłem przez te miesiące, to były kanapki z miodem. Razem z wódką i piwem kupowałem masło i bułki. Mnóstwo bułek. Miałem ich cały zamrażalnik i wyjmowałem po dwie, czasami trzy dziennie. Dzięki temu nie musiałem odwiedzać sklepu całymi tygodniami. Pan Olaf, stary Kaszub, mówiący gwarą, której nie rozumiałem, sprzedawał mi miód ze swojej pasieki za górką. Najlepszy miód, jaki jadłem. Niestety, coraz bardziej trzęsły mi się ręce. W całym domu było coraz

więcej lepkich plam. Mój ukochany dom zamieniał się w norę. Lepką i śmierdzącą.

Trzymając się pomostu, cały drżałem. Woda była zimna, zerwał się wiatr... mną jednak wstrząsały przede wszystkim dreszcze bezsilności. Nie chciałem tak żyć. Nie po to kupiłem ten dom!

Zanurzyłem się w jeziorze jeszcze głębiej. Chciałem, żeby woda zakryła mi twarz, zmyła moje łzy i ten potworny smutek.

Jacek nie zrozumiał jednak, co chciałem zrobić.

- Przeraziłeś mnie! - Mówił z wyrzutem, wyciągając mnie na brzeg. - Tak nagle dałeś nura, pomyślałem, że...

- Pomyślałeś, że chcę się utopić? - Roześmiałem się, ocierając twarz. Sam już nie wiedziałem, czy to, co wycieram, to łzy czy woda z jeziora. Chyba woda. Ale czy woda może być taka słona?

Roześmiałem się. To było kolejne piękne zdanie do harlequina, którego nigdy nie napiszę. Cudownie łzawe zdanie.

- Nie strasz mnie tak więcej - poprosił Jacek, blady jak ściana.

A ja stwierdziłem, że to nie najlepsza pora na robienie mu wykładu o tym, że nie można się utopić w taki idiotyczny sposób, trzymając się pomostu. Gdyby zabrakło mi powietrza, zacząłbym mdleć i puściłbym deskę, której się chwyciłem. A wtedy woda wypchnęłaby mnie na powierzchnię i wziąłbym głęboki oddech. I już, byłbym uratowany. Bez pomocy Jacka. Ale on chyba nie chciał o tym teraz słuchać.

Zresztą, ja też wcale nie chciałem dyskutować w tej chwili o technikach popełniania samobójstwa. Moje myśli zaprzętało coś zupełnie innego. Tam, w jeziorze, w ułamku sekundy widziałem swoje życie przez kolejne

miesiące i lata. Upadek tego domu, który tak kochałem. Upadek mnie samego. Widziałem nawet swoją śmierć. Pożar. Ja pijany, fajka wysuwa się z mojej ręki albo z ust... I już. Nie ma mnie, nie ma domu.

Myślałem, że ucieszy mnie ta wizja, że sprawi mi ulgę. Przecież chciałem umrzeć. A jednak... jednak to mną wstrząsnęło. Nie chciałem takiego życia i takiej śmierci. Mimo wszystko.

- Kocham Adelę - płakałem na mokrym pomoście, otulony przez Jacka ręcznikiem i kocem przyniesionym z domu. - Kocham ją i nie chcę bez niej żyć. Ale nie chcę też, nie mogę żyć tak... tak jak...

Jak ja mu to miałem wyjaśnić? Powiedziałbym: „tak jak w tej wizji, którą miałem w jeziorze” - ale on by tego nie zrozumiał. A gdyby zrozumiał, zadzwoniłby po Marcina i razem odwieźliby mnie do psychiatry. Bo przecież normalni ludzie nie mają wizji, zanurzeni po szyję w wodzie!

Spróbowałem jeszcze raz:

- Nie mogę żyć tak jak...

- Tak jak teraz? Jak świnia? Masz rację. Przestań się, kurwa, nad sobą rozczulać. Musisz wziąć się w garść. I naprawdę, moim zdaniem, potrzebujesz kobiety.

ROZDZIAŁ 17

Tkanki

Potrzebowałem kobiety, to prawda. Zanim cię poznałem, wydawało mi się, że będzie mi lepiej samemu. Po rozstaniu z Beatą odżyłem. Nie chciałem już z nikim się wiązać. Mieszkałem w wynajmowanym pokoju u pani Wiesi, uroczej emerytki. Musiałem uważać, żeby za bardzo nie hałasować. A potem, po wizycie Marcina i Jacka, gdy opijaliśmy rozstanie Marcina z jego Rutką, pani Wiesia zrobiła się nieco mniej urocza i musiałem poszukać innego mieszkania. Tym razem niezależnego. Stara, nieremontowana od trzydziestu lat kawalerka niedaleko hotelu Sobieski miała trzynaście metrów kwadratowych. Była chyba rekordzistką świata, a przynajmniej rekordzistką Warszawy, jeśli chodzi o wielkość.

- Jeśli chodzi o brak wielkości - poprawiał mnie Jacek. - O małość wręcz, można by powiedzieć.

No tak, można by... Ale mi małość tej kawalerki bardzo odpowiadała. Nie potrzebowałem więcej miejsca. Miałem tylko kilka koszul i trochę książek.

- Gdzie masz te wszystkie słowniki, opracowania, skrypty ze studiów? - zapytała Beata, kiedy wpadła oddać mi slajdy z naszej wyprawy w Bieszczady. - Nie uwierzę, że je wyrzuciłeś.

Jasne, że nie wyrzuciłem! Nigdy nie wyrzuciłbym książki! Ojciec wychował mnie w poszanowaniu dla słowa pisanego, czyżby Beata o tym nie wiedziała?

- Przechowuję je u ojca, do czasu, aż znajdę większe mieszkanie - powiedziałem.

I przestraszyłem się, że Beata powie, że mogę zamieszkać u niej. Że się poniży, żeby jeszcze raz dać mi do zrozumienia, że mnie kocha i że wybaczy mi wszystko, jeśli tylko nareszcie pójde po rozum do głowy i poproszę ją o rękę.

Nie powiedziała jednak ani słowa o mieszkaniu, ani o prośbieniu o rękę. Może wiedziała, że tego nie zrobię? Może zauważyła, że jestem w tej maleńkiej kawalerce naprawdę szczęśliwy? Czułem tam, że żyję, znacznie bardziej, znacznie pełniej niż wtedy, kiedy mieszkałem z Beatą. Musiała to widzieć i może dlatego powiedziała tylko z wielkim smutkiem w głosie:

- U ojca? Nigdy nie poznałam twojego ojca... a zawsze chciałam mu powiedzieć, że wychował cię na świetnego faceta.

Wtedy wcale nie zrobiło mi się bardzo głupio. Odrobinę tak, ale nie bardzo. Dopiero teraz, kiedy sobie o tym przypominam... dopiero teraz rozumiem, co przeżywała Beata. Byłem dla niej najważniejszy na świecie. A ona dla mnie nie. Nie przedstawiłem jej ojcu, Jacka

i Marcina poznała dopiero po roku czy półtora, właściwie przypadkiem... Wydawała mi się jakimś elementem tymczasowym w moim życiu. Nie było sensu mieszać jej do tego, co było stałe. Do mojej rodziny, moich przyjaciół. Ona była... cóż, była tym, czym ja dla ciebie. Kimś do łóżka, kimś, komu można się wyzalić, kto posprząta i zrobi kolację. Pożytecznym, sympatycznym... ale nie mającym nic wspólnego z sensem życia.

Dopiero teraz wiem, jak cierpiała Beata. Bo nie umiałem jej kochać. Może to wszystko, co mnie teraz spotyka, to zemsta losu za to, jak ją skrzywdziłem? Nie

chciałem jej skrzywdzić, ale to marne wytłumaczenie. Nie byłem dla niej dobry. Nie umiałem być. A ona naprawdę mnie kochała.

Tak, rozstanie z Beatą było jak zrzucenie z pleców ciężkiego worka (ach, zapiszmy to debilne porównanie w wypełnionym już po brzegi różowym notesiku z napisem *Harlequin!* Naprawdę zbiję fortunę na tej książce!). W tej małej kawalerce, bez telewizora i połowy moich książek, czułem, że żyję. Nareszcie.

-Nie chcę mieć już żadnych kobiet! - krzyczałem przez okno po pięknym meczu, wygranym przez Polonię 4:1.

Tak, wtedy wydawało mi się, że interesuje mnie właśnie takie życie. Będę pisać doktorat, chodzić na mecze, pić piwo z kumplami. Wtedy wydawało mi się, że już zawsze chcę mieć takie właśnie życie. Bez kobiety na stałe. Że będę sprowadzał sobie dziewczyny na jedną noc, tak jak Marcin. On zaczął już w dniu rozstania z Rutką. A właściwie jeszcze wcześniej. Kiedy dowiedział się, że Rutka go kantuje, sam zaczął robić to samo. I trudno mu się dziwić.

- Powinniśmy brać przykład z Marcina - powiedziałem wtedy Jackowi. - On przynajmniej czuje, że żyje.

- Ja mam swoje zasady - zaczerwienił się Jacek, spuszcżając swoje błękitne oczy. - Przecież mnie znasz.

Znam. I wiem, że to nie zasady, tylko chorobliwa nieśmiałość. Żadnej kobiety od odejścia Ewy. Żadnej kobiety, żadnej kawy z kobietą, żadnego kina z kobietą, żadnego spaceru... To była choroba, a nie zasady!

- Ty chyba też masz zasady, i to żelazne - powiedział mi Jacek miesiąc czy dwa później. - Nie sprowadziłeś sobie jeszcze żadnej panienci, od kiedy tu mieszkasz, co?

- Nie sprowadziłem - przyznałem, a Jacek aż się zaczerwienił... tym razem z zadowolenia.

Nie wyjaśniłem mu więc, że wcale nie chodzi o zasady. Ani o nieśmiałość. Ja po prostu uwielbiałem ciche wieczory w pustym mieszkaniu. Po tych długich czterech latach z rozgadaną, hałaśliwą Beatą upajałem się ciszą. Nareszcie mogłem słuchać mojej ulubionej muzyki poważnej zamiast jej U2. Nareszcie mogłem leżeć w ciemności, wsłuchany w Bacha albo w Szostakowicza, i nikt nie pytał, o czym myślę. Nareszcie mogłem chodzić nago po mieszkaniu i słuchać swoich kroków, zamiast jej niekończących się opowieści o tym, co widziała na ulicy.

- Niewiele masz tego chodzenia - prychnął Marcin, kiedy mu powiedziałem, z czego się cieszę. - Jak w więziennej celi, dwa kroki na trzy.

- Wystarcza mi to - uśmiechnąłem się. Naprawdę tak było. Wystarczało mi w zupełności.

Nie chodziło o przestrzeń, tylko o sam fakt, że nie muszę mieć na sobie majtek. Beata tego nie znosiła. W ogóle nie znosiła nagości. Miała w sobie coś z dziewiętnastowiecznej cnotliwej mieszczyki. Tylko po ciemku, bez żadnych udziwnień...

- Na pewno dlatego nie poprosiłeś jej o rękę - usprawiedliwiał mnie Jacek. - Marcin, powiedz, co na ten temat mówi psychologia? Seks to przecież fundament związku, prawda? No wiecie, jak nie jest udany, to trudno zdecydować się na małżeństwo. No Marcin, powiedz, chyba tak jest, co?

- Gdyby tak było, faceci żeniliby się z kurewkami z ulicy Poznańskiej - machnąłem ręką. - One przecież wiedzą najlepiej, jak nam dogodzić. A jednak jakoś nie stoi tam tłum mężczyzn z pierścionkami z brylantem. Udany seks to za mało, żeby przywiązać kogoś do siebie na resztę życia. Z Magdą miałem udany seks, a byłem z nią znacznie krócej niż z konserwatywną Beatą. To bezsensowna teoria.

- Z kurewkami z ulicy Poznańskiej to raczej można zbierać materiały do pracy historycznej, a nie przeżywać uniesienia - poprawił mnie Jacek i oczywiście miał rację-

- Najważniejsze, żebyśmy znaleźli sobie nowe dziewczyny - mruknął Marcin, grzebiąc w notatkach. - Było ostatnio na ten temat kilka artykułów, skserowa-łem dla was. To jakiś koszmar. Facet bez kobiety, stałej kobiety, dziadzieję, schodzi na psy, umiera przeciętnie o dwanaście lat szybciej niż jego rówieśnicy pozostający w stałych związkach. Grozi nam rak, depresje, wrzody żołądka... Kobiety samotne radzą sobie świetnie, ale faceci po prostu umierają. Umierają, stojąc, w kilkanaście miesięcy. Już po ośmiu miesiącach bez stałej partnerki pojawiają się nieodwracalne zmiany w mózgu i w budowie tkanek miękkich. Chyba nie możemy ryzykować, jak myślicie?

- Tak, jasne, tkanki miękkie i ciała jamiste - roześmiałem się. - Chyba jednak zaryzykuję. Moje tkanki miękkie i tak nie są najlepszej jakości, nic im już nie zaszkodzi.

Wtedy naprawdę tak myślałem. Chciałem być sam. Cieszyć się cichymi wieczorami. Kiedy się pojawiłaś, bez żalu z tego zrezygnowałem. Ale ty byłaś moim przeznaczeniem i sensem życia. Gdybyś się nie zjawiała, byłbym pewnie sam aż do emerytury. I cieszyłbym się swoimi cichymi wieczorami. A teraz... Teraz siedząc na pomoście najbardziej na świecie nienawidziłem właśnie cichych wieczorów. Wieczorów bez ciebie. W dodatku niemal namacalnie czułem, jak w moim mózgu i wszystkich tkankach, miękkich i twardych, zachodzą nieodwracalne zmiany. Ile to miało być miesięcy? Osiem? Od naszego rozstania minie niedługo sześć. Mam jeszcze dwa miesiące, żeby znaleźć sobie nową kobietę. Dla dobra tkanek...

Siedziałem przy tym komputerze całymi dniami. Marcin i Jacek byli zachwyceni, że nareszcie zmadrzałem. Ja zaś miałem wrażenie, że staczam się na skraj obłądu. Szukałem

partnerki idealnej. Pisałem do dwudziestu, w pewnym momencie nawet dwudziestu pięciu kobiet jednocześnie. Każdej zadawałem ten sam zestaw pytań. Jakiej słucha muzyki (nigdy więcej U2 od rana do wieczora!), co lubi jeść (nie zamierzam nikomu robić sushi, potem w całym domu tygodniami śmierdzi wodorostami!), gdzie najchętniej spędza wakacje (odpadają miłośniczki wspinaczki wysokogórskiej i nurkowania), jaki typ humoru bawi ją do łez (to zdecydowanie powinien być bardziej *Monty Python* niż *Benny Hill*, ale najważniejsze, żeby w ogóle coś jębało. Kobiety bez poczucia humoru skreślałem natychmiast)...

Mam wrażenie - wybacz, jeśli Cie urażę! - że szukasz z jakiegoś powodu dziewczyny, ale tak naprawdę nie chcesz jej znaleźć. Ze robisz to dlatego, że ktos Cie namówił, albo uważasz, że powinienes... ale sam tego nie czujesz. Egzaminujesz więc mnie i pewnie wszystkie inne kobiety w tym portalu też, zadajesz setki pytań. Wygląda na to, że chcesz, żeby kobieta, na która sie zdecydujesz, przede wszystkim jak najmniej Ci przeszkadzała. Ma nie chrapać, słuchać tej muzyki co Ty, jesc to co Ty, jeździe na urlop tam, gdzie Ty chcesz jeździe... Sam prawie nic o sobie nie piszesz, mnie zaś wypytałeś o wszystko. Uważasz, że to fair!

A czy Ty uważasz, że to fair pisać bez polskich znaków! - odpisałem pół żartem. - Jeżeli pracujesz na Macintoshu, no to rozumiem, mogłoby się coś posypać... Chociaż przecież do tego właśnie służą konwertery... Ale jeśli pracujesz na PC, to pisz normalnie, z polskimi literami. Łatwiej się wtedy czyta.

Znow dostałam lekcje tego, co powinnam robie, zeby Ci było wygodniej - odpisała ta PiPi, ignorując oczywiście moją prośbę o polskie znaki. - Czy Ty zawsze tak traktujesz kobiety? Jeśli tak, to chyba rozumiem, dlaczego jesteś sam.

Ależ ona mnie denerwowała! PiPi, też coś! Czy ludzie naprawdę nie mogą wybierać sobie normalnych nicków?!

Spotkajmy się - napisałem, nieoczekiwanie dla samego siebie. A ona na to:

Desperat? Szukasz zony za wszelka cene? Myślałam, ze to kobiety tak sie spieszą, a nie odwrotnie.

Była bezczelna! Okropna! Kpiła sobie ze mnie prosto w oczy... prosto w monitor... Była pewna siebie i miała poczucie humoru. Chciałem japożnać. Byłem desperatem

- tak, słusznie to odgadła. Chciałem się z nią spotkać i pozwolić, żeby uratowała mnie przed samym sobą.

Miałem na szczęście dostatecznie dużo zdrowego rozsądku, żeby jej o tym nie powiedzieć. I dostatecznie mało, żeby poinformować o tym ciebie.

Zadzwoiłem... czułem, że muszę. Nie odebrałaś komórki. Na pewno widziałaś, że to ja dzwonię, wyświetlił ci się mój numer. Mogłem zadzwonić z budki, z poczty, z komórki Marcina... Ale nie zależało mi na tym, żebyś odebrała. Właściwie wolałem nawet nagrać ci wiadomość, niż mówić do ciebie, wiedząc, że słuchasz. Mogłabyś się rozłączyć, krzyknąć, wybić mnie z rytmu. Tak, nagranie się na sekretarkę było o wiele bezpieczniejsze. Pragnąłem z tobą rozmawiać, oczywiście... ale jednocześnie poczułem ogromną ulgę, kiedy włączył się automat.

- Adelka, kochanie - zacząłem ze ściśniętym gardłem.

- Proszę, wysłuchaj tej wiadomości do końca. Chciałem ci powiedzieć, że bardzo cię kocham... że zawsze będę cię kochał... że nic innego się nie liczy. Nie liczy się tak bardzo, że przez ostatnie pół roku żyłem jak kloszard. Piłem i paliłem, z

tęsknoty za tobą. I wiesz... Marcin i Jacek nie mogli na to patrzeć. Namówili mnie, żebym zaczął umawiać się z innymi kobietami. Nie chciałem się zgodzić, bardzo długo... ale teraz myślę, że faktycznie potrzebuję kobiety. Kogoś, kto wniosłby w to wszystko odrobinę sensu i kto uratowałby moje tkanki miękkie... bo samotność źle wpływa na tkanki u mężczyzn. Nie wiem, czy o tym słyszałaś? Więc postanowiłem to zrobić dla tkanek... mogą mi się jeszcze kiedyś przydać... Tylko wiesz, jeśli to miałoby cię skrzywdzić, zasmucić... jeśli myślisz, że jeszcze możemy być razem... Adelka, proszę cię, jeśli widzisz dla nas jakąś szansę, zadzwoń. Nie pójdę jutro na to spotkanie. To taka randka w ciemno, pewnie skończy się gigantyczną katastrofą. Nie chcę tam iść, idę z rozsądku... Adelka, ja obiecuję, że nie będę ci robił żadnych wyrzutów, nie będę miał o nic pretensji... Nie wspomnę ani słowem o tym, co się stało... O tym, co usłyszałem... Proszę, jeśli jest jeszcze szansa, jeśli też ci mnie brakuje, to zadzwoń. Albo wyślij SMS-a. Sprzedam dom, samochód, kupię mieszkanie w Warszawie. I zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Adelka, proszę, posłuchaj...

Mógłbym tak mówić jeszcze godzinami. O tym, jak bardzo cię kocham i jak bardzo chciałbym, żebyś dała nam szansę. I że na pewno jej nie zaprzepaszczę. Niestety, automatyczne sekretarki, zwłaszcza w komórkach, mają określoną pojemność. Pojemność twojej właśnie się skończyła. Usłyszałem cichutkie, jednostajne piii piii... Cóż, powiedziałem chyba wszystko, co najważniejsze. Teraz mogłem tylko mieć nadzieję, że odsłuchasz tę wiadomość. Do samego końca, do pierwszego pii. Odsłuchasz, zrozumiesz, oddzwonisz. I powiesz

drżącym głosem: „Spróbujmy jeszcze raz”. Może być nawet bez drżącego głosu. Może być nawet SMS-em. Albo Patrycją. Często prosiłaś Patrycję, żeby do mnie zadzwoniła i przekazała mi, że się spóźnisz albo w ogóle nie wrócisz do domu, albo żebym kupił ci podpaski... Wkurzało mnie to. Uważałem, że twoje podpaski to tylko nasza sprawa. I to, że zostanę jak głupi z kolejnymi porami pod bezzamelem też. Chciałem usłyszeć, że nie wrócisz, od ciebie. Osobiście. Ale tym razem nawet telefon od Patrycji przywitałbym z radością. Ze łzami szczęścia w oczach. Gdyby tylko zadzwoniła!

Co bym zrobił? Gdybyś zadzwoniła? Ach, jak dokładnie to sobie wyobrażałem... Wyjąłem nawet z szafy garnitur. Mój jedyny garnitur, niezakładany od Bożego Narodzenia. Wyprasowałem go. I niebieską koszulę. Wypastowałem buty. Położyłem na wierzchu portfel z prawem jazdy. I pieniądze na kwiaty. Wyjąłem z szuflady, pachnącą piżmem wodę po goleniu. Miałem plan. Musiałem być gotowy. Gdybyś tylko zadzwoniła, natychmiast wyruszyłbym do Warszawy. Wpadłbym do wydawnictwa i do twojego gabinetu. Bez pukania, choć wiem, co za to grozi. Pamiętam, jak się wściekłaś, kiedy tam wpadłem, w dniu gdy dostałem stypendium. Kazałaś mi wyjść, zamknąć drzwi i zapukać. To był przedostatni raz. Nie powinienem tego robić. Ani wtedy, ani potem... pół roku później.

Mój ojciec był w szpitalu. Lekarze podejrzewali, że to rak. Rak wątroby. Nikt nie mówił tego wprost, ale to byłby wyrok śmierci. Z powodu chorego serca ojciec nie przeżyłby przeszczepu. Nawet przygotowanie go do przeszczepu nie byłoby możliwe. Nie spałem dwie noce. Układałem w głowie tę ostatnią rozmowę. Chciałem mu powiedzieć, jaki jestem mu wdzięczny za to, że mnie wychował. Nie miałem mamy, nie pamiętałem jej... to też był rak... nienawidziłem tej choroby. Zabrał mi matkę, zanim mogłem powiedzieć do niej „mamo”.

Potem, gdy miałem sześć lat, zabrał mi babcię. Jedyłą osobę, która umiała się ze mną bawić. Przez te dwie śmierci rak zabrał mi też, w pewnym sensie, ojca. Zmienił go z duszy towarzystwa w człowieka małomównego, zgorzkniałego. Odebrał mi dzieciństwo. Dał mi ojca, który nie umiał się ze mną bawić, rozmawiać... Byłem o to zły. Ale nie o swojej złości miałem z nim rozmawiać w szpitalu. Układałem sobie w głowie inną rozmowę. Być może ostatnią. Miałem zacząć ją od słowa „dziękuję”. I skończyć słowem „dziękuję”. Nigdy mu tak naprawdę nie podziękowałem, a przecież dał mi naprawdę dobre dzieciństwo. Troszczył się o mnie jak nikt, na ten swój szorstki, męski sposób. Nie umiał być dla mnie matką i ojcem, ale ojcem był wspaniałym. Nauczył mnie miłości do książek, szacunku dla pracy. Nauczył mnie, że trzeba zawsze mówić prawdę.

- Powiesz mi synu prawdę? - zapytał wtedy, w szpitalu, godzinę przed odbiorem wyników z laboratorium.

- Powiem - uśmiechnąłem się tak krzepiąco, jak tylko umiałem. Ale tak naprawdę wcale nie byłem pewny, czy powiem. Tego mnie ojciec nie nauczył. Czy w takiej sytuacji prawda nie jest jednak większym złem niż kłamstwo?

Siedziałem na długim, szpitalnym korytarzu i zastanawiałem się, co zrobić. Chciałem się cię poradzić... bardzo chciałem. Wybrałem twój numer, ale nie odpowiadałaś. Nie miałaś żadnego spotkania. Nie pracowałem już w wydawnictwie, ale wciąż znałem twój terminarz. Leżał na wierzchu, w przedpokoju, a ja czasami zaglądałem, z przyzwyczajenia. Właśnie po to, żeby nie przeszkodzić ci w ważnym spotkaniu moim nieważnym telefonem. Tym razem nie miałaś spotkania.

- Po prostu nie chciało mi się rozmawiać, wiedziałam, że wieczorem i tak się zobaczymy - nie rozumiałaś, z czego robię problem. I dlaczego jest mi tak potwornie przykro. - To nieracjonalne - powtarzałaś.

Cóż, pewnie miałaś rację. Po prostu chciałem cię usłyszeć, podzielić się swoimi wątpliwościami. Nie miałem do powiedzenia nic tak ważnego, żeby nie mogło poczekać do wieczora. Wtedy jeszcze nie.

Ale półtorej godziny później wiedziałem już, że nie mogę czekać do wieczora. Ani nawet do chwili, kiedy odpowiesz na moje pukanie: „Proszę wejść”. Wpadłem do twojego gabinetu bez uprzedzenia. Ostatni raz w życiu.

- To nie rak! - krzyknąłem. - Ojciec nie ma raka! Nic mu nie będzie! Pojutrze wychodzi do domu, dostał mnóstwo recept i musi zmienić dietę. Ale nic mu nie grozi! To nie rak! Adelka, tak mi ulżyło!

Chciałem się do ciebie przytulić. Podzielić się z tobą tą ulgą, tą radością.

Spojrzałem ci w oczy. Były zimne jak stal. Trzymałaś w rękę słuchawkę i mówiłaś do niej:

- Patrycja, wezwij ochronę, do mojego gabinetu wdarł się intruz.

Wyszedłem sam. Nie musieli mnie wyprowadzać. Moja radość zamieniła się w rozpacz, że tak mnie potraktowałaś, podczas kiedy ja...

- Nie wiem, co ty sobie wyobrażasz - jęknęłaś wieczorem, przy kolacji. Zrobiłem ryż z jabłkami i mnóstwem cynamonu, tak jak lubisz. Żeby złagodzić twoją złość.

- Jej złość?! Chyba żartujesz! Co cię obchodzi jej złość? Powinieneś powiedzieć: „Spierdalaj głupia krowo” i dać jej w twarz, niezależnie od tego, ile razy przywiązywała cię do rury - stwierdził Marcin.

Ale tu nie chodziło o rurę. Chodziło o to, że bardzo cię kochałem. I rozpaczliwie chciałem wierzyć, że miałaś swoje powody. A przede wszystkim rozpaczliwie chciałem, żebyś przestała się boczyć.

- Przepraszam, kochanie - usiłowałem wziąć cię za rękę, ale ją wyrwałaś. Dwa razy. - Przepraszam... po prostu chciałem jak najszybciej powiedzieć ci, że mój ojciec...

- Naprawdę wydaje ci się, że twój ojciec może mnie obchodzić bardziej niż wysłuchanie prognozy pogody, którą właśnie wtedy nadawano w radiu? - zapytałaś.

Nie wydaje mi się. Wydawało mi się, głupio i niesłusznie. Ale już mi się nie wydaje.

ROZDZIAŁ 18

Cucurbita

A jednak, mimo wszystko, mimo że mogłabyś znowu wezwać ochronę albo policję, byłem gotowy wpaść jeszcze raz do twojego gabinetu bez pukania. W garniturze, z kwiatami... gdybyś tylko jakoś zareagowała na to moje nagranie na sekretarce. Gdybyś tylko dała mi najmniejszy choćby znak. Ale nie dałaś.

Czekałem dwa dni. Potem pojechałem do Warszawy. Nie zakładałem garnituru, nie kupowałem kwiatów. Ogoliłem się porządnie, to wszystko, co mogłem zrobić. Nie umiałem wykrzesać z siebie entuzjazmu przed spotkaniem z *PiPi*. Denerwowało mnie to posługiwanie się niekarni zamiast normalnych imion. A z drugiej strony sam czułem się bezpieczniej jako *Wacek*. Schroniłem się za tą anonimowością, umownością... Teraz jednak miałem się obnażyć. Pokazać twarz kobiecie, która miała mnie uratować. Nadać mojemu życiu znów choćby odrobinę sensu.

- Dlaczego wybrałaś kogoś z takim idiotycznym nickiem? - stuknął się w głowę Marcin. – *PiPi!* Chyba nie sądzisz, że to będzie seksowna, zmysłowa kobieta?

- Nic nie sądzę. Na nic się nie nastawiam - powiedziałem zgodnie z prawdą. - W ogóle jej sobie nie wyobrażam. Wiem, że jest inteligentna i ma poczucie humoru. I że chce mnie poznać. To chyba niezły początek?

- Znowu nie poprosiłeś o zdjęcie! - Marcin był załamany. - Gdybyś poprosił *Marie*, to może od razu byśmy się dowiedzieli, że coś jest nie tak? Na pewno by zaczęła kręcić, odmówiłaby albo...

- Albo wysłałaby zdjęcie jakiejś ślicznej młodej dziewczyny z ich zboru - dokończyłem. - Nie obchodzi mnie to, jak *PiPi* wygląda, naprawdę. Chcę po prostu z nią pogadać.

- Pogadać - skrzywił się Marcin. - Człowieku, daj sobie spokój z gadaniem i idź z nią do łóżka, jeśli tylko będzie chciała. Tego ci trzeba! Celibat od stycznia, rany boskie! Nic dziwnego, że zaczynasz svirować.

Nie chciałem prowadzić z nim tej dyskusji. Nie chciałem... bo sam coraz częściej czułem, jak bardzo mi ciebie brakuje. Tej fizycznej ciebie. Nie chodziło tylko o seks, naprawdę. Brakowało mi twojego nagiego ciała, pachnącego arbużami, w które mógłbym się wtulić przez sen. Twojej dłoni sprawdzającej delikatnie, czy mój policzek jest dostatecznie gładko wygolony. Twojej nogi na moim biodrze... Tak właśnie zarzucałaś mi nogę, kiedy chciałaś się kochać. Taki sygnał. Niestety, dawałaś mi go coraz rzadziej i rzadziej. Przez ostatni miesiąc czy nawet półtora przed twoją wyprowadzką nie kochaliśmy się ani razu. Nie miałaś czasu, ochoty, byłaś zmęczona swoimi imieninami obchodzonymi w wydawnictwie z wielką pompą, przygotowaniem do świąt, potem leczyłaś sylwestrowego kaca... Nie narzekałem. Wiedziałem, że kiedyś przyjdzie ta chwila, że znów zarzucisz mi nogę wysoko na biodro. Nie przyszła. I bardzo mi tego brakowało.

Ale to nie znaczyło, że chciałem, żeby *PiPi* zajęła twoje miejsce... i żeby jej ciepłe ciało przeżyło się w moim łóżku w ciemności. Naprawdę nie chciałem! Chciałem ciebie!

- Samotność to stan przejściowy - przypomniał mi Marcin, kiedy wychodziłem na tę randkę w ciemno.

- Przejściowy? To dlaczego, kurwa, trwa tak długo? - rzucił za moimi plecami Jacek.

Tak, Jacek miał z kontaktami z kobietami znacznie większe problemy niż ja. Ja byłem sam, bo tak chciałem. On był sam, bo nie umiał inaczej.

- Jak można nie zaprosić na kawę jednej z tych ślicznych panienek przychodzących do twojego sklepu po koronkowe staniczki? Rozmawiasz z nimi o tym, jak układają się stringi między ich pośladkami, a nie umiesz powiedzieć „kawa”? - nie rozumiał Marcin.

A ja rozumiałem. Jacek był nieśmiały. Chorobliwie nieśmiały. O stringach rozmawiał służbowo. Jako sprzedawczyni, nie jako Jacek. A kawę musiałby zaproponować jako Jacek. I tego właśnie nie potrafił.

- Trzymaj się! - Jacek uściśnął mnie w progu. - Pokaż na tej randce, co potrafimy.

Hm..., więc szedłem tam w imieniu nas obu?!?

-Następnym razem poproszę o zdjęcie - obiecałem Marcinowi po powrocie z randki. - Nie pytajcie, jak wyglądała! A oni, oczywiście, zapytali.

Co mogłem powiedzieć? Była ruda. Nie powinienem być zaskoczony, w końcu jak ktoś ma nick PiPi, to powinien mieć rude włosy. Zaplecione w warkoczyki. I piegi. Całe mnóstwo piegów.

- Nie miała piegów - powiedziałem. - Ani warkoczyków. Tylko potworne, źle ufarbowane włosy, spod których wyłaziły czarne odrosty.

- To wyglądała zupełnie jak Adela - roześmiał się Marcin.

Chciałem go uderzyć. Jak to „jak Adela”? Ty nie masz wśród swoich ślicznych miedzianych loczków żadnych

odrostów. Nigdy... no, prawie nigdy... no, czasami masz... ale nie takie!

- I odłaził jej lakier z paznokci - opowiadałem dalej.

- Jak Adeli - pokiwał głową Marcin.

Tym razem nie mogłem nawet zaprzeczyć. Lakier, sama to wiesz, nie chce się trzymać na twoich paznokciach. To jeden z tych zwyczajów, nad którymi nie umiesz zapanować, co strasznie cię irytuje. Chcesz przecież panować nad wszystkim i nad wszystkimi. A nad paznokciami nie umiesz. Zawsze, jak się denerwujesz, skrobiesz nimi o kant biurka. Albo, o zgrozo, o zęby. I zdrapujesz cały lakier. Musisz je malować codziennie. Pippi pewnie też.

- Była stara? - zapytał Jacek. Wzruszyłem ramionami.

- Chyba nie... to właśnie jest najgorsze. Może rok od nas starsza albo dwa. A wyglądała jakby stuknęła jej pięćdziesiątka. Te farbowane włoski, takie drobne loczki, wychodziły jej garściami. Dosłownie spadały do kawy.

- Jak Adeli - Marcin uparł się, żeby mnie zdenerwować. A najgorsze było to, że we wszystkim, co mówił, miał trochę racji. Masz problem z włosami. Wychodzą ci i już, nie pomagają nawet najdroższe witaminy, w odżywki nie wierzysz, tylko w ten szampon pokrzywowy... ale on nie załatwia sprawy. Włosy ci się kręcą. Z daleka wyglądają, jakby było ich mnóstwo, sam się na to złapałem... burza miedzianych loczków... ale tak naprawdę masz ich coraz mniej i mniej. Za kilka lat może być znacznie gorzej.

- Wyglądała jak Adela za dwadzieścia lat? - zapytał Jacek.

Powinienem dać w twarz im obu. Ale on mówił prawdę. Mogłaś tak wyglądać pewnego dnia. Te śmieszne

loczki, wychodzące garściami, z odrostami, pozdrapywane paznokcie... Gruba warstwa tuszu, a nawet sztuczne rzęsy, na większe wyjścia... I jeszcze ten przesadny zapach perfum...

- Czasami wydaje mi się, że Adela ma problemy z powonieniem - powiedział kiedyś Jacek. - Perfumuje się bez umiaru!

Wiedziałem, że ma rację. Po raz kolejny. Spryskujesz się tymi perfumami jak szalona. Ale mi to nie przeszkadza. Uwielbiam twoje perfumy. Nigdy nie jest ich dla mnie za dużo. Tęsknię za nimi od pół roku. Chodzę po sklepach i szukam, szukam, szukam... bez skutku. Myślałem nawet, że nazwa ma coś wspólnego z arbuzem. Wpadłem kiedyś, w bezsenną, pijaną noc, na taki pomysł. Sprawdziłem we wszystkich możliwych słownikach, jak nazywa się arbuz. Po angielsku, niemiecku, francusku... nawet po hebrajsku. Miałem nadzieję, że nazwa perfum pochodzi od słowa arbuz w jednym z tych języków. Watermelon nie brzmiało zbyt romantycznie. Anguria, po włosku, już lepiej. Jeszcze lepiej cocome-ro... też po włosku. Nigdy nie dowiedziałem się, jaka jest różnica między tymi dwoma słowami. Poza różnicą lingwistyczną.

- To pewnie tak jak arbuz i kawon - powiedział mi Jacek.

Kawon? Nie miałem pojęcia, co to jest... i czym się różni od tego czerwonego, słodkiego, ogromnego owocu z czarnymi pestkami i pasiastą zieloną skórą. Owocu, którym pachniało twoje ciało i włosy.

Niestety, w żadnej perfumerii nie było perfum o nazwie *Cocomero*. Czy naprawdę nikt na to nie wpadł? To takie piękne słowo!

Sprawdziłem też łacińską nazwę. *Cucurba... cucurbita...* To też byłaby ładna nazwa. Dlaczego perfumy miały te różne, głupkowate nazwy? *Lulu, Halloween, Opium, Dolce Vita, Baby Doli, Allure, Sensi, Romance, Jungle!* Dlaczego nikt nie nazywał ich po prostu *Arbuz!* Czy nie byłoby piękniej?

Cucúrbita... To brzmiało prawie jak nazwa jakiegoś egzotycznego tańca. Mogłem sobie z łatwością wyobrazić Mulatki, z gołymi piersiami i kolorowymi przepaskami na biodrach, podrygujące rytmicznie na plaży, wśród palm kokosowych. Tańczą o zachodzie słońca, a wokół nich unosi się intensywny zapach arbuza.

— *Cucúrbita! Cocomare!* — śmiał się Jacek.

- *Cocomero* - poprawiłem go. - *Cocomare* to byłoby Kokosowe Morze. Właściwie to też ładna nazwa...

Gdybym nie był tak pijany i tak zmęczony życiem, napisałbym do jakiejś agencji reklamowej obsługującej producentów kosmetyków. Może nawet coś by mi zapłacili za ten pomysł? Za nazywanie perfum różnymi pięknymi nazwami owoców i kwiatów. Na przykład z łaciny. To naprawdę byłoby fajne.

Ja jednak byłem pijany. I zmęczony. I dlatego twoje perfumy tylko w mojej głowie nazywały się *Cucúrbita*.

i pachniało nimi tonące w wieczornym mroku kokosowe morze, nad którym uwijały się w tańcu piękne, krągłe, długonogie Mulatki.

ROZDZIAŁ 19

Beethoven

Tej nocy, po nieudanym spotkaniu ze źle umalowaną, łysiejącą *PiPi*, poczułem twój zapach. Tak wyraźnie, jak nigdy przedtem. Moja ręka pachniała tobą, choć nie było cię tu od stycznia. Szczypałem się w ramię i płakałem jak dziecko. Tak bardzo chciałem, żebyś tu była. Tak bardzo chciałem wtulić twarz w burzę twoich drobnych miedzianych loczków.

Zrozumiałem, że szukanie przez Internet jakiejś namiastki ciebie nie ma najmniejszego sensu. Że to zawsze będzie tylko namiastka... A poza tym, wiedziałem, że nie znajdę. Nawet tej żalostnej namiastki. Bo to nie jest miejsce, w którym można spotkać kogokolwiek sensownego. Choćby po to, żeby pogadać.

- A może po prostu znajdź tam dziewczynę, z którą będziesz codziennie gadał, ale tylko wirtualnie? - odpowiedział mi następnego dnia Jacek. - Wiesz, od początku z takim założeniem, że nigdy się nie spotkacie. Nie byłoby rozczarowania tym, jakie ona ma włosy albo jaki ty masz brzuch... To znaczy... no wiesz, wygląd by się nie liczył. Ani głos. Tylko wewnątrz. Jak myślisz? To mogłoby się udać. To mogłoby się udać nawet mnie.

Jemu może tak. W Internecie pewnie byłby mniej nieśmiały. Chociaż nie wierzyłem, że wcześniej czy później nie chciałby się spotkać z tą kobietą. Że wystarczałyby

mu taka niewidzialna kochanka. I że jej wystarczyłoby on, niewidzialny, bez ciała... bez rąk, którymi mógłby przenieść ciężkie paczki i przesunąć szafę. No i którymi pieściłby ją całymi godzinami.

- Gdybyś trafił na znudzoną mężatkę, która nie chce mieć kłopotów, to mogłoby się udać - pokiwał głową Marcin. - Unikałaby spotkań. I opowiadałaby ci o tym, że mąż jej nie rozumie. I że chciałyby być z tobą, ale ma dzieci i chorą teściową, i kredyt, który będą z mężem spłacać jeszcze przez trzydzieści lat. Miałem w zeszłym roku taką kochankę i bardzo to sobie chwaliłem. Zero problemów. Nigdy nie chciała zostać do rana.

No tak, Marcinowi mogło to wystarczyć. Po rozstaniu z Rutką panicznie bał się stałych związków. Ale ja i Jacek... my chcieliśmy kobiety. Takiej, do której można się przytulić przed snem. Trudno tulić się do maili. Trudno się z nimi kochać. W końcu seks wirtualny to ciągle przyszłość. Może nieodległa, ale jednak przyszłość. A my chcieliśmy już, teraz, zaraz poczuć to ciepłe ciało obok siebie, pod sobą, wokół siebie... Przynajmniej ja chciałem. Bo Jacek chyba nie był zdecydowany.

- Ja to bym właściwie chyba nawet wolałbym taką, która nie chciałaby się spotkać - zaczerwienił się, jak zwykle przy rozmowach o kobietach. - Naprawdę. Przynajmniej nie byłaby rozczarowana... A ja bym nie musiał... nic bym nie musiał, no wiecie. Chciałbym taką. Tylko żeby nie była mężatką. Żeby miała tylko mnie. I kto to mówił? Póldoktor nauk drzewnych czy innej technologii? Prawie doktor, jak czasem mówiliśmy o mnie i o nim z powodu naszych rozgrzebanych, niedokończonych doktoratów. Nie uczyli tam u niego, na (ej technologii drewna, o kobietach, to jasne... ale pewnie uczyli, że życie nie znosi próżni. Ani życie drzewa, ani człowieka. I ta kobieta nie będzie chciała być sama.

Nie wystarczą jej tylko listy. Przez tydzień, dwa - może tak. Ale nie dłużej.

- Jesteśmy normalnymi facetami - powiedziałem wstając z miejsca. -1 potrzebujemy normalnych kobiet. A ich nie poznamy w Internecie. Wiecie, co zrobię? Zaraz wykasuję ten swój idiotyczny profil, przestanę być Wackiem, raz na zawsze, i pójdziemy do baru. To znaczy, pojedziemy do baru. Do Gdańska. W Gdańsku na pewno jest wiele fajnych dziewczyn. Od razu będziemy wiedzieć, jak one wyglądają... a one będą wiedziały, jak my. To będą prawdziwe, realne związki w realnym świecie.

- Mieć dziewczynę w Gdańsku to prawie tak, jak mieć ją w Internecie - mruknął Jacek. - Jak często będę się z nią spotkał? Co trzy tygodnie?

Nie powiedziałem mu, że jest niekonsekwentny, raz marząc o kobiecie, której nigdy nie spotka... a potem narzekając, że z taką z Gdańska nie będzie się widywał codziennie. Powiedział mu to Marcin. Ja w tym czasie poszedłem do komputera, zlikwidować swój profil w tym idiotycznym portalu, który przynosił mi same rozczarowania.

Zalogowałem się... oczywiście, bez logowania nic nie mogłem zrobić. Ani zlikwidować profilu, ani przeczytać najnowszych wiadomości... a czekało ich na mnie osiemnaście. Kobiety wciąż pisały jak szalone, skuszone najwyraźniej moimi zdolnościami kulinarnymi. Bo przecież nie kibicowaniem Polonii Warszawa. Do tej pory żadna nie zająknęła się w swoim liście o futbolu.

Strona główna. Zawsze na nią trafiałem po zalogowaniu. Tam pokazywano najnowsze profile. Te sprzed kilku minut. Z ciekawości rzuciłem okiem, kto logował się ostatni. *IwonkaB*? I co o sobie napisała? Że marzy o prawdziwym uczuciu i o mężczyźnie, który będzie na nią czekał, kiedy będzie wracała z pracy... Czekałem już na ciebie. Przez dwa lata. Nie chciałem

więcej czekać. A *IwonkaB...* Zrobiło mi się przykro, że czekają ją w Internecie same rozczarowania. I faceci, którzy mówią, że chcą znaleźć kogoś na całe życie, a szukają kobiety na jedną noc. Faceci wysyłający zdjęcia swoich kumpli, a nawet swoich synów. Faceci, którzy udają, że chodzą do filharmonii, żeby wypaść bardziej interesująco. Tak jak jedna z kobiet, z którymi o mały włos bym się spotkał. Pisała, że kocha muzykę poważną. Podała swoją komórkę. Pomyślałem, że moglibyśmy pójść do filharmonii, kiedy będę w Warszawie. Zarezerwowałem bilety przez Internet. Na V symfonię Beethovena. Zadzwoiłem do niej. Miała na imię Maja. To znaczy, miała taki nick: *Maja-jaja*. I to faktycznie były niezłe jaja, ta nasza rozmowa. Ja jej, że to miło, że lubi muzykę i że Beethoven, że kupiłem bilety. A ona mi, że był taki film, *Beethoven*. O psie bernardynie. I czy to na drugą część te bilety. Odłożyłem słuchawkę.

Iwonka B, która chce, żeby facet czekał na nią po pracy, trafi w tym portalu na dwadzieścia męskich odpowiedników *Mai-jai*. Każda z osób, które szukają tu czegoś prawdziwego, koszmarnie się rozczaruje...

Pociągnąłem łyk piwa i poczułem nagle, że mam misję do wypełnienia. Że nie mogę tak po prostu zlikwidować swojego profilu, nie ostrzegając innych. Muszę go po prostu zmienić. Ostrzec ludzi. Świetnie nadawała się do tego rubryczka, w której każdy podczas rejestracji pisze o swoim hobby, o marzeniach, planach... Kliknąłem „modyfikuj profil” i szybko zmieniłem bzdurne wynurzenia żółwia na coś naprawdę istotnego: *Ja już wypisuję się z tego portalu. Byłem tusześć i pół tygodnia i wiem już dość. Tu nikt nie jest tym, za kogo się podaje. Tu nie można znaleźć prawdziwego przyjaciela,*

nie mówiąc już o uczuciu. Uciekajcie stąd, dobrze wam radzę.

Nie wypisuj się! - napisała jakaś kobieta o idiotycznym nicku Ada-To-Nie-Wypada, zanim zdążyłem się wstać z krzesła. - Nie uciekaj! Ja też mam złe doświadczenia. Ale może po prostu miałam pecha? I ty też? Może zbyt wcześnie rezygnujemy? Przecież na pewno jest tu więcej osób takich jak Ty i ja, które szukają czegoś prawdziwego.

Skąd wiesz, czego szukam? - odpisałem natychmiast, zdenerwowany.

Czuję to... jest w Twoich słowach coś autentycznego i szczerego - odpisała ona. — Znam się na ludziach.

Wypisuję się stąd i dobrze Ci radzę, zrób to samo - waliłem palcami w klawiaturę, niemal na oślep. - Gdybyś przeżyła to co ja, nie wierzyłabyś w internetowe znajomości.

A co przeżyłeś? - znów natychmiastowa odpowiedź!

A co Cię to obchodzi? - nie byłem przyjemny, ale miałem już dość. Ostrzegałem ją, a ona nie chciała tego przyjąć. Poparzy się na własne życzenie! Już niedługo okropnie się poparzy!

Kolejna wiadomość kompletnie mnie zaskoczyła:

No dobrze, zagrajmy w otwarte karty... Mogłabym ciągnąć tę grę z Tobą, tak jak z kilkoma innymi osobami, ale dowiedziałam się już wszystkiego, czego potrzebowałam. Od tamtych osób. Nie szukam miłości, jestem tu służbowo. Na zmianę udawałam kobietę i mężczyznę. Porzuconą i nieszczęśliwą, a potem wyrachowaną mężatkę szukającą przygody. I znudzonego męża, marzącego o trójkacie. Jego żona oczywiście nie chce o tym słyszeć. Nawiązałam w sumie kontakt z siedemdziesięcioma osobami. Ale nie trafiłam na nikogo, kto by powiedział, tak jak Ty, że nie warto. Opowiedz mi o wszystkim, co Cię spotkało? Nie, nie jestem taka zła, jak myślisz. Tym, którzy szukali prawdziwej miłości, mówiłam

prawdę. Nie zasługują na to, żeby się ludzić, że mogą być ich drugą połową. Nie mogę. Jestem dziennikarką, pracuję nad artykułem. A właściwie... nie tyle dziennikarką co redaktorem. Przygotowujemy wielki projekt wydawniczy „Internet — drzwi, których nie trzeba wywierać”. Kilkanaście książek o ludziach, którzy robią różne rzeczy przez Internet. Pracują, studiują, zarządzają mieszkaniami... i znajdują miłość. A przynajmniej szukają tej miłości. Normalnie nie zajmuję się takimi rzeczami, pracuję na kierowniczym stanowisku, ale temat mnie zainteresował i postanowiłam się mu trochę przyjrzeć w wolnych chwilach. Że tak powiem, półoficjalnie. Czasami to robię. Kiedyś nawet poszłam na mecz, pracując nad publikacją o futbolu. Uważam, że to, co robię, muszę robić z sercem. Rozumiesz?

Rozumiem - odpisałem automatycznie i nagle zrobiło się gorąco z wrażenia. „Rozumiesz”? „Półoficjalnie”? Wydawnictwo? Zainteresowanie tematem? Teraz Internet, kiedyś mecz? *Ada-To-Nie-Wypada*? I jeszcze ręka. Moja ręka, pachnąca tobą, właśnie tej nocy! Nie mogłem się mylić... nie mogło być aż tylu zbiegów okoliczności...

- Jedziesz z nami do tej knajpy? - Marcin zajrzał do pokoju.
- No wiesz, Gdańsk, panienki, prawdziwe życie... Miałeś przecież już nie siedzieć w Internecie!

- Znalazłem Adele! - wysapałem, czując, że drżą mi dłonie, łydki, usta, policzki. Cały trzęsłem się jak osika. - Znalazłem Adele, rozumiesz? I jeśli tylko nie przyznam się jej, kim jestem... jeśli odpowiednio pokieruję rozmową... i będę udawał kogoś innego... kogoś, kto może mieć dla niej ciekawe informacje... jeśli tylko uda mi się to zrobić, to spotkam się z nią! Spotkam się z nią, nareszcie! Może nawet jutro!

ROZDZIAŁ 20

Bielizna

- Potrzebuję bielizny - powiedziałem Jackowi przez telefon, bez żadnych wstępów. - Błagam, nie pytaj o nic, tylko mi ją przywieź za dwie godziny pod szpital na Banacha.

- Co ci się stało? - mój przyjaciel oczywiście natychmiast się przeraził. - Co ci jest? Dlaczego za dwie godziny? Miałeś wypadek? W moim sklepie nie ma męskiej bielizny, chyba że na zamówienie, jak te nieszczęsne majtki o smaku mango. Ale nie przejmuj się, wejdę do Galerii Centrum, powinna być jeszcze czynna, i coś ci kupię. Czekać na mnie. Nie denerwuj się. Będę pod szpitalem za pół godziny.

- Spokojnie, jestem dopiero w połowie drogi do Warszawy.

- Możesz sam prowadzić? - Jacek był wyraźnie zdezorientowany. - A idziesz do szpitala? To co ci właściwie jest?

- Nic... to nie dla mnie - wiedziałem, że muszę mu to jakoś wytłumaczyć. Nie chciałem jednak mówić za dużo. Nie teraz, kiedy słuchałaś. A przynajmniej mogłaś słuchać. Nie byłem pewny, czy śpisz. Miałaś zamknięte oczy, odchyliłaś fotel maksymalnie do tyłu. Musiałem się odwracać, spuszczać na moment drogę z oczu, żeby zobaczyć twój profil. Wyglądałaś tak spokojnie

i pogodnie. Nie mogłem uwierzyć, że za kilka godzin czeka cię operacja. Taka operacja. Że możesz zniknąć.

- Co ci jest? Słyszysz mnie? - krzyknął Jacek.

- Słyszę, słyszę - szepnąłem do telefonu, żeby cię nie obudzić. Jeśli spałaś...

- Adam, mów normalnie jak człowiek - poprosił Jacek. - Idziesz do szpitala, tak? I potrzebujesz bielizny? Tylko majtki, czy piżama też?

- Piżama? Chyba też... - nie byłem pewny, co będzie ci potrzebne w szpitalu. - To wszystko stało się tak nieoczekiwanie...

- Adaś, zjedź na pobocze, przyjedziemy po ciebie!

- był naprawdę przerażony. - Skoro to jakiś nagły atak, to nie powinieneś prowadzić. To nagły atak?

- Dość nagły - potwierdziłem. - Ale nie mój. Potem ci wszystko wyjaśnię, teraz tylko przywieź mi bieliznę.

- Nie twój atak? - Jacek rozumiał chyba coraz mniej i był coraz bardziej zdenerwowany. - Ale do szpitala idziesz ty, tak? Skoro potrzebujesz bielizny?

- Nie mój atak i nie moja bielizna - jak ja miałem mu to wyjaśnić?

Uśmiechałaś się przez sen. Nie wyglądałaś na chorą. A może to wcale nie był sen? Może słuchałaś? Cholera, jeśli słuchałaś, to musiałem rozmawiać z nim bardzo ostrożnie. Mówiłaś przecież wyraźnie, że nie chcesz, żeby ktokolwiek wiedział... -Adaś! - jęknął błagalnie Jacek.

- Damska bielizna - zlitowałem się nad nim i nad sobą. W końcu musiał wiedzieć, co ma mi przywieźć.

- Taka do szpitala. Nic szczególnie strojnego chyba, co? Ale też nie taka, jak dla starej baby, dobrze? Wybierz coś. Żeby było... żeby było skromnie i seksownie jednocześnie. Tak... no wiesz... trochę nobliwie, ale ładnie... Tak... Poradzisz sobie, prawda?

Rzuciłem okiem w twoją stronę. Śmiałaś się. A więc to jednak nie był sen!

- Rozmiar Adeli, tak? - zapytał Jacek.

Adeli? Skąd on wiedział, jaki jest rozmiar Adeli?!

- Rozmiar... - zawahałem się.

- Majtki trzydzieści sześć - powiedziałaś. - Czyli S. Stanik 70B.

Powtórzyłem to do słuchawki.

- Adeli też rozstanie z tobą nie wyszło na zdrowie, schudło biedactwo bez twoich obiadków - Jacek, mimo zdumienia, starał się zachować poczucie humoru. - Dobrze, że znów jesteście razem. Bo jesteście, prawda? No i fajnie, może się wreszcie trochę uspokoisz. Będę pod szpitalem o... za dwie godziny będzie jedenasta, tak?

- Dwudziesta trzecia - poprawiłem go i rozśmieszyłem. Bo tak zawsze poprawiała nas nasza polonistka. Mówiła, że jedenasta to jest rano. A teraz na pewno był wieczór. A więc dwudziesta trzecia.

- Biorę klucze i jadę do sklepu, znajdę coś odpowiedniego, nie martw się. Trzymajcie się! Jedź ostrożnie! Do zobaczenia!

- Do zobaczenia - powiedziałem i odłożyłem telefon na półeczkę koło twoich kolan.

Cholerny mały fiat! Ciężko się w nim ruszyć! Oczywiście, odkładając telefon, musnąłem prawą ręką twoje kolano. Niechący, uwierz mi! Nie zamierzałem tego zrobić. Otworzyłem usta, żeby powiedzieć: „przepraszam”, ale nagle napotkałem twój wzrok i zrozumiałem, że nie muszę przeproszać. Bo wiesz, że to było niechący. A poza tym... wyglądałaś, jakbyś chciała, żebym to powtórzył. Jeszcze na ułamek sekundy. Czyżbyś też poczuła ten dreszcz? W takiej chwili? W drodze do szpitala, na operację, która ma tylko siedemdziesiąt procent szans powodzenia? Na operację, której możesz nie przeżyć?

„Jestem samcem!”, pomyślałem z niechęcią. Przecież wcale nie chciałem cię pożądać. Nie w tym momencie. A jednak wystarczyła ciemność, ciasny samochód i twoje nagie, ciepłe kolano... Jestem samcem!

Jeszcze raz, na sekundę, oderwałem wzrok od jezdni i spojrzałem w twoje oczy. Śmiały się do mnie. Naprawdę się śmiały! Ty wiedziałaś, co czuję. Znowu to wiedziałaś, tak dokładnie. Wiedziałaś, że najchętniej zjechałbym na pobocze i kochał się z tobą na mokrej trawie. Gdybyś tylko nie musiała natychmiast znaleźć się w szpitalu. Gdyby nie czekała tam na ciebie sala operacyjna. Gdyby każdy kwadrans opóźnienia nie oznaczał tak potwornego ryzyka.

- Widzę, że... - zaczęłaś tym swoim pięknym głosem, który sprawiał, że w mojej głowie natychmiast zaczynały szumieć łany zbóż.

Położyłem palec na ustach. Dobrze wiedziałaś. Dobrze wiedziałaś, co chciałbym zrobić. I wolałem, żebyś nie mówiła o tym głośno. Żeby łany zboża nie szumiały: „Zahamuj! Połóż ją na trawie! Rozepnij te dwadzieścia cztery maleńkie guziczki jej sukienki!”. Gdyby zaszumiały, nie umiałbym się powstrzymać. Przecież jestem samcem.

- Cichutko - szepnąłem, kładąc na moment dłoń na twoim kolanie i czując potężny dreszcz, przebiegający mi wzdłuż pleców aż po pośladki. - Cichutko. Zrobimy to, jak już będzie po wszystkim.

Nie zapytałaś, co zrobimy. Nie musiałaś. Twoje oczy śmiały się do mnie, pełne pożądania. Czytałaś mnie jak otwartą książkę. Byłem dla ciebie przezroczysty. Wiedziałaś, co czuję, czego pragnę.

Pokiwałaś głową.

Resztę drogi przebyliśmy w całkowitym milczeniu. I tylko, gdy podjeżdżaliśmy pod szpital, moja dłoń jeszcze

raz wylądowała na twoim kolanie. Ścisnęła je mocno i pozostała tam może na pół minuty.

- Jak już będzie po wszystkim, nie wypuszczę cię z ramion przez całą noc - obiecywałem, usiłując powstrzymać łzy. - I będę zawsze przy tobie. Kiedy wyjdiesz ze szpitala nigdy się nie rozstaniemy. Zawsze będziemy razem zasypiać i razem się budzić, przysięgam. Będę o ciebie dbał, będę cię kochał, jak nikt nigdy nikogo na całym świecie. Będę najlepszym mężem i ojcem dla naszych dzieci, przysięgam. Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Jutro przywiozę ci książki. Mnóstwo książek. Tylko postaraj się wyzdrowieć. Nie myśl ani przez chwilę, że może się nie udać. Obiecuj.

- Obiecuję - powiedziałaś, a po twoim prawym policzku spłynęła wielka, okrągła łza. - Uda się. Musi. Kocham cię.

- Ja ciebie też bardzo... - nie zdążyłem powiedzieć: „kocham"! Nie zdążyłem, bo nagle drzwi od strony pasażera otworzyły się, a do środka z trudem wpakowały się tłusciutkie ramiona Jacka.

- Co wy wyprawiacie, co się stało, kto w końcu jest chory, co to za historia? Adela, dlaczego tak mnie straszysz? Adela?! - Jasne rzęsy Jacka mrugały szybciotko, a jego błękitne oczy zrobiły się nagle okrągłe jak spodki. - Adam? Adam, powiedz coś! Przecież to nie jest Adela!!!

ROZDZIAŁ 21

Depozyt

- Nie spotkałem się z Adelą - wyjaśniałem Marcinowi i Jackowi w środku nocy na szpitalnym korytarzu.

Wiedziałem, że ta operacja może trwać nawet do rana. Ale nie mogłem zrobić inaczej. Musiałem siedzieć pod salą, czuć, że jestem tak blisko, jak to tylko możliwe. Być przy tobie. Czekać, aż będzie po wszystkim. Aż otworzysz oczy, aż powiem ci to, czego nie zdążyłem powiedzieć na parkingu. Że cię kocham. Chciałem być pierwszą twarzą, którą zobaczysz po operacji. Chciałem, żeby „kocham” było pierwszym słowem, które usłyszysz. Chciałem wykrzyczeć je, wyśpiewać, wyszeptać we wszystkich językach świata. Gdy tylko na mnie spojrzysz.

Jacek i Marcin, oczywiście, siedzieli na tym korytarzu ze mną. Dlatego, że są moimi dobrymi kumplami... jasne, że tak. Ale przede wszystkim dlatego, że chcieli dowiedzieć się, o co chodzi. Miałem przecież iść na spotkanie z Adelą. To miał być najważniejszy dzień mojego życia. I co?

- Adela nie ma już znaczenia - pokręciłem głową, popijając małymi łykami trzecią kawę z automatu stojącego na półpiętrze. - Nie chcę teraz mówić o Adeli. To przeszłość.

- Kim jest ta dziewczyna, którą przywiozłeś? Skąd ją wytrzasnąłeś? - nie rozumiał Marcin. - Jednak ta

z Internetu to nie była Adela, źle ją wyczułeś? Ale wydawało się, że jesteś pewny... wszystko się zgadzało... I co? I przyszła jakaś inna? I prosto z randki przywiozłeś ją do szpitala?

- Nie poszedłem na tamto spotkanie. Zrozumiałem, że Adela... że Adela nigdy mnie nie pokocha. Że będzie tak, jak było. Że... Nie, nie chcę teraz o niej mówić. Nie chcę o niej myśleć. Chcę myśleć o Oldze. Tylko o Oldze. Ona tam walczy o życie i potrzebuje teraz wszystkich moich myśli.

- Olga? - Jacek zamrugał swoimi białymi rzęsami. - Ta Olga, którą wynajęliśmy do posprzątania domu po twojej libacji w wiatrołapie? Ta Rosjanka?

- Ukrainka - poprawiłem. - Ta sama.

- Nie poznałem jej - pokręcił głową Jacek. - Zawsze miała takie długie włosy spięte w kok. A teraz...

„Właśnie przez te jej włosy teraz tu jestem”, uśmiechnąłem się do wspomnienia naszego wspólnego dnia. Ale nie opowiedziałem im o tym. Było za wcześnie. Nie mogłem. Chciałem, żeby to było tylko twoje i moje. Tamta chwila, gdy stanęłaś w moich drzwiach w środku nocy.

- Przepraszam, że pana obudziłam - powiedziałaś śpiewnym głosem. - Furtka była otwarta, więc pomyślałam...

- Proszę, niech pani wejdzie - podciągnąłem spodnie od piżamy, osłaniając dłonią oczy przed piachem niesionym od jeziora przez wiatr.

- Przepraszam, że pana obudziłam - powtórzyłaś.

- Nie obudziła mnie pani - pokręciłem głową.

Nie uwierzyłaś. Ale to była prawda. Tej nocy padał deszcz. Uwielbiam kaszubski deszcz, walący w mój dach. Uwielbiam wiatr, zawijający za kominem. Ale tej nocy wiatr i deszcz brzmiały inaczej. Zupełnie tak, jakby ktoś chodził wokół domu z metalowym wiatraczkiem na patyku. Pamiętam takie wiatraczki z dzieciństwa. Babcia kupiła mi kiedyś jeden,

śliczny, fioletowy, na jarmarku pod kościołem. To było dwa miesiące przed jej śmiercią.

Obudził mnie ten wiatr. Ten wiatraczek.

- Dwa miesiące przed śmiercią - powtórzyłem półgłosem.

Jacek i Marcin spojrzeli na mnie jak na wariata.

Nie, to nie był zwiastun twojej śmierci. Nie mógł być. Nie zgadzałem się na to. Tamten wiatraczek z dzieciństwa... nigdy nie myślałem o nim jak o symbolu śmierci. To był dla mnie symbol szczęścia. Ostatniego szczęśliwego dnia z moją babcią. A więc ten wiatraczek, który mnie obudził poprzedniej nocy... wiatraczek, z którym ktoś chodził wokół domu w Chmarkach... to też musi być symbol szczęścia. Dorosłego szczęścia, którego zaznam z tobą. Nie chcę myśleć inaczej. Nie wolno mi myśleć inaczej. Ani przez chwilę.

- Nie mogę jej stracić właśnie teraz, kiedy ją odnalazłem! - rozplakałem się.

Jacek i Marcin, nie wiedząc co robić, niepewnie gładzili mnie po plecach.

Takimi wielkimi, czystymi łzami nie płakałem nawet po odejściu Adeli. Nic dziwnego, że byli zaskoczeni.

Tak naprawdę jednak to nie ja odnalazłem ciebie, lecz ty mnie. Przecież to ty stanęłaś tej nocy w moich drzwiach.

- Furтка była otwarta, więc pomyślałam... - mówiłaś śpiwnym głosem, uśmiechając się niepewnie.

Otwarta??? Ja nie otwierałem tej furtki! Była zamknięta od wielu tygodni. Kiedy Jacek ostatnio mnie odwiedził, nie mogłem przecież znaleźć klucza. Wychodziliśmy przez bramę. Ta furтка...

Cóż, nie powinienem być zaskoczony. Przecież mój dom pewnego zimowego dnia sam mnie wybrał. Chciał, żebym w nim mieszkał. A teraz, w deszczową sierpniową noc, postanowił otworzyć furtkę. Co to dla niego w porównaniu z odgarnięciem śniegu z zamarznętej piaszczystej drogi i zakopaniem forda w tym zmrożonym na kość piachu.

- Bałam się, że furtka zakryta... zamknięta. A pan nie ma dzwonka...

Nie mam dzwonka. Zdjąłem go, kiedy Adela odeszła. Na nikogo już nie czekałem.

Gdyby była zamknięta, nie weszłabyś! Musiałabyś iść pieszo, w tym deszczu, z powrotem... Cztery kilometry. Do Chmarek, tych właściwych. Do centrum naszej wsi, jednej z najdłuższych w Polsce. I jednej z najmniejszych. Trzydziestu pięciu mieszkańców. Sześć kilometrów długości. Musiałabyś iść, ponad godzinę, w ulewnym deszczu.

- Dziękuję, domku, że na to nie pozwoliłeś - uśmiechnąłem się na szpitalnym korytarzu. - Dziękuję, że wpuściłeś Olę.

Marcin postukał się w głowę i zaczął spacerować wśród zielonych ścian, wyraźnie zaniepokojony moim stanem.

- Czy coś się stało? - zapytałem cię, szarpiąc się z drzwiami, których wiatr nie pozwalał mi zamknąć. - Skąd się pani tu wzięła o tej porze?

- Przyszłam zapytać, czy pan... czy pan ma aparat fotograficzny? - uśmiechnęłaś się niepewnie. - Pan Stanisław w sklepie mówi, że pan ma. Że kiedyś widział, jak pan ptaki fotografował. Ma pan? - wpatrywałaś się we mnie w napięciu.

- Mam - przez moment nie mogłem pozbyć się wrażenia, że to jest sen. Bardzo dziwny sen o wiatraczku, otwartej furtce i aparacie fotograficznym.

- Jak dobrze! - zobaczyłem na twojej twarzy wielką ulgę. - A film pan ma?

Film? A, film do aparatu... Tak, miałem całe mnóstwo filmów. Przecież ja i Adela mieliśmy jechać w lutym na urlop na Wyspy Kanaryjskie albo do Egiptu. Wszystko było już przygotowane. Kupiłem piętnaście filmów. Na giełdzie fotograficznej w Stodole, bo tam taniej. Nie wykorzystałem żadnego.

- Pani szła z Chmarek cztery kilometry? W nocy? W deszczu? Żeby pożyczyć aparat? - Nie rozumiałem.

- Nie chcę go pożyczać - uśmiechnęłaś się jeszcze piękniej, a na twoich białych policzkach pojawił się leciutki rumieniec. - Chcę prosić pana, żeby mi pan zrobił zdjęcie.

To musiał być sen! Ukrainka, sprzątająca domy w całej okolicy, nagle przychodzi prosić, żeby jej zrobić zdjęcie? O drugiej w nocy?

- Pan się dziwi, tak? - zapytałaś. Roześmiałem się.

- No... no przyzna pani... - nie chciałem cię urazić. - Przyzna pani, że to jednak trochę niezwykle. Taka prośba, o takiej porze... To nie mogło poczekać do rana?

- Nie mogło - zacisnęłaś swoje małe, różowe usta w wąziutką kreskę. - Gdyby mogło, nie przychodziłabym w nocy. Ja przepraszam, naprawdę...

- Nic się nie stało - a więc jednak cię uraziłem! - Naprawdę nic się nie stało. Chciałbym po prostu zrozumieć...

- A bez zrozumienia nie robi mi pan zdjęcia? - w twoim głosie brzmiała nutka przekory.

- Zrobię - utarłaś mi nosa. - Nie chcę się mieszać w nie swoje sprawy, przepraszam. Jakie to ma być zdjęcie?

- Moje - powiedziałaś powoli, ważąc każde słowo. Chodzi o to, żeby było widać moją twarz. I moje włosy.

Włosy są najważniejsze. Musi pan zrobić tak, żeby były całe. I żeby miały... no, swój kolor. Potrafi pan?

- Mam nadzieję, że tak - musiałem się roześmiać. - Ale lepiej byłoby zrobić te zdjęcia w naturalnym świetle, na dworze. Bez lampy błyskowej. Możemy poczekać do świtu? Byłyby piękne, gdybyśmy zrobili je o wschodzie słońca.

- Możemy poczekać - zgodziłaś się. - Mam czas do ósmej trzydzieści. Potem mam autobus do Gdańska. Muszę dojść na przystanek. Wie pan, jedenaście kilometrów... Będę szła ponad dwie godziny.

- Jedzie pani do Gdańska? - zapytałem. Przez moment się nie odzywałaś.

- I tak muszę panu powiedzieć. Bo muszę poprosić o pomoc. Z tymi zdjęciami. Musi pan wiedzieć, co się dzieje. Ale obieca pan, że nikomu nie powie? Obieca pan? Nawet jakby pytali?

- Czy to dotyczy jakiegoś przestępstwa? - kpiłem troszeczkę, wiem... ale nie miałem pojęcia, że to taka ważna i poważna sprawa. - Bo jeśli przyjdzie policja, to chyba będę musiał...

- To nie dotyczy przestępstwa - zdenerwowałaś się. - Dotyczy... dotyczy tylko mnie. Prywatna sprawa. Obiecuje pan milczeć?

- Obiecuję - podniosłem dwa palce w górę, jak na ślubowaniu harcerskim.

- Więc ja... ja jadę do Warszawy. I mogę tam umrzeć.

Co??? Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego. Byłem przygotowany na jakąś skomplikowaną historię miłosną. Może na coś związanego z pracą. Pan Stanisław, właściciel sklepu, mówił mi przecież kiedyś, że jesteś wyjątkowo dobrze wykształcona i że to niesprawiedliwe, że musisz sprzątać po domach zamiast pracować „na jakimś uniwersytecie”. Nie byłem pewny, co miał na myśli, no ale może właśnie znalazłaś jakąś lepszą pracę, w Gdańsku albo w

Warszawie? A może... tyle się pisało w gazetach o fikcyjnych małżeństwach Ukrainek. Może znalazłaś kogoś, kto zgodził się wziąć ślub za tysiąc złotych i dać ci obywatelstwo? Podobno odbywa się to bez problemu. Szybki ślub, szybki rozwód, a obywatelstwo zostaje. I prawo do pracy w Unii Europejskiej. Tylko jakoś zupełnie nie wyglądałaś mi na taką dziewczynę.

Tak, fikcyjne małżeństwo albo gorący romans, albo świetna praca... Wszystko to mogłem sobie wyobrazić. Ale jechanie do Warszawy, żeby tam umrzeć? Co to miało oznaczać?

- To jednak jakaś kryminalna historia, tak? - zacząłem czuć się odrobinę niepewnie. - Skoro grozi pani śmiertelne niebezpieczeństwo...

- Jadę do szpitala - powiedziałaś. - Na operację.

Ależ zrobiło mi się głupio! Potwornie głupio! Kpiłem, żartowałem, podejrzewałem cię o udział w aferze szpiegowskiej, o kupowanie obywatelstwa... a ty po prostu byłaś chora.

- Mogę usiąść? - zapytałaś.

No tak, jeśli mogło być mi jeszcze bardziej głupio niż dziesięć sekund temu, to właśnie to stało. Trzymałem cię w sieni. Byłaś przemoczona, zmarznięta... byłaś umierająca! A ja nawet nie zaproponowałem ci krzesła. Ani ręcznika.

- Rak? - zapytałem, chociaż wiedziałem doskonale, jak będzie brzmiała odpowiedź. Rak wyraźnie mnie lubił. Odebrał mi mamę i babcię, pozbawił radości życia mojego ojca, a potem solidnie go wystraszył... A teraz postawił cię w moim progu tylko po to, żebym towarzyszył ci w ostatniej drodze. Czy to się nigdy nie skończy?!

- To nie rak - uśmiechnęłaś się. - Raczej nie rak. To taki guz... w głowie... zrobił się za duży i bardzo uciska...

nie umiem tego tak dobrze wyjaśnić, jak lekarze. Trzeba go wyciąć. Jak się nie wytnie, to umrę. Ale on jest w takim miejscu, że wycinanie może... może... no, też mogę umrzeć. Jest jedna szansa na trzy, że umrę.

„Szansa że umrę”? Chyba nie to chciałaś powiedzieć... Nie tak... No i ta „jedna na trzy”... Nie byłem pewny, czy chodzi o to, że ryzyko jest jak jeden do trzech, czy może jedna czwarta to ryzyko, a trzy czwarte szansa, że przeżyjesz. Wtedy wydawało mi się to bez znaczenia. Dwadzieścia pięć procent albo trzydzieści trzy. I to i to brzmiało dostatecznie groźnie. A teraz... teraz strasznie żałowałem, że o to nie zapytałem. Bo na tym szpitalnym korytarzu nic nie wydawało mi się równie ważne, jak ustalenie, czy masz sześćdziesiąt sześć procent szansy na przeżycie czy aż siedemdziesiąt pięć. Tak bardzo chciałem to wiedzieć!

- Wczorajem zadzwonili do mnie, żebym przyjechała do szpitala. Mają moje najnowsze wyniki. Nie można już czekać ani jednego dnia dłużej.

- No to co pani tu robi? - zdenerwowałem się. - Skoro nie ma czasu do stracenia, to...

- Oni obetną mi włosy - powiedziałaś. - Nigdy już nie będę miała takich długich.

- Odrosną - próbowałem uśmiechać się pokrzepiająco, chociaż w tym momencie kompletnie nie obchodziły mnie twoje włosy. Jak mogłaś się nimi przejmować kilka godzin przed operacją?! Jakże to miało znaczenie?!?

- Nie chcę już mieć takich długich. Już nigdy - wyglądałaś, jakbyś miała się rozplakać. - Nie chcę, razem z nimi coś się kończy i już nie wróci. Nie chcę ich zapuszczać. Ale chcę... chcę je pożegnać. I wie pan, nie mam żadnego zdjęcia, na którym je widać. Ani jednego. A chcę mieć.

- Dlaczego nie poszła pani do fotografa? - nie rozumiałem. - W Gdańsku albo w Warszawie? Przecież to byłoby prostsze,

niż przychodzić tutaj w środku nocy, bez gwarancji, że mam aparat.

- Musiałam zaryzykować - przez twoją twarz przebiegł nagły grymas. To trwało tylko ułamek sekundy, usiłowałam pokryć go uśmiechem... aleja go zauważyłem. I wiedziałem, że to guz, coraz większy i coraz groźniejszy, właśnie daje o sobie znać. Przeszedł mnie dreszcz. Okno trzasnęło, szarpnięte kolejnym podmuchem wiatru.

- Może zaparzę herbatę? - nareszcie zachowałem się jak gospodarz.

Rozejrzałaś się po mojej kuchni. Nie wyglądała tak źle... nie tak źle, jak kilka tygodni temu. Nie było już butelek po wódce, smrodu, lepkich plam... ale wciąż nie lśniła tak, jak kiedyś. Miałem wynająć cię na kilka godzin, żebyś posprzątała. Odkładałem to z dnia na dzień.

- Cóż, wygląda na to, że będę musiał posprzątać tu sam - uśmiechnąłem się, desperacko szukając pustego, czystego kubka.

- Niedługo wrócę - też się do mnie uśmiechnęłaś. - Chyba wrócę...

- Oczywiście, że pani wróci - dotknąłem twojego ramienia. - Nie wolno myśleć inaczej. Nawet przez chwilę.

Babcia też mówiła mi, że wróci ze szpitala. Płakałem, kiedy zabierało ją pogotowie. A ona obiecywała, że wróci. I mówiła, że nie wolno myśleć inaczej. Powtórzyłem teraz jej słowa. Ale nie umiałem wierzyć w nie tak mocno jak wtedy, gdy miałem sześć lat.

- Nie wolno myśleć, ale trzeba być na to przygotowanym - powiedziałaś powoli. - I dlatego przyszedłem do pana zamiast do fotografa. Bo jeśli... jeśli umrę... nie chciałam, żeby te zdjęcia leżały u fotografa nieodebrane, niepotrzebne, miesiącami. Jeśli umrę, pan je wyśle mojej mamie i siostrze. Dobrze?

Nie odpowiadałem. To było... to byłoby tak, jakbym dał ci przyzwolenie na śmierć. Jak można powiedzieć: „Jasne, proszę się nie martwić i umierać spokojnie, zawiadomię kogo trzeba i wyślę odbitki”?! Ja nie umiałem tego powiedzieć.

- Niech mi pan obieca, że jak pojedę do szpitala, to nikomu pan nie powie... ani panu Stanisławowi ze sklepu, ani pani Józi, u której wynajmuję pokój, ani nikomu. Nie chcę, żeby się martwili. Żeby ktoś się martwił. Dlatego wybrałam pana. Bo pan jest obcy i nie będzie się martwił o jakąś obcą osobę.

- Będę się martwił! - prawie krzyknąłem. - Już nie jest pani obca!

To była prawda. Stałaś w moich drzwiach w środku nocy, zapowiedziana przez metalowy wiatraczek na patyku. Jak wiatr wdarłaś się w moje życie. I już nie było mowy o tym, że mogłabyś być obca.

- Woda się gotuje - powiedziałaś spokojnie.

A ja oczywiście poparzyłem się o czajnik. Wywołując salwę twojego śmiechu. Jak mogłaś się śmiać, w takiej chwili?!

- Nie boi się pani? - zapytałem idiotycznie.

- Boję się - spojrzałaś na mnie wielkimi oczami w kolorze migdałów i zaczęłaś powoli rozplatać swój mokry warkocz. - Bardzo się boję. Ale wciąż cieszy mnie życie. To źle?

- Chyba dobrze - wzruszyłem ramionami, niepewny, jak powinienem zareagować.

Byłaś taka drobna, krucha... taka malutka... Chciałem zamknąć cię w ramionach, zdjęć z ciebie cały ten strach... Nie odważyłem się.

- Proszę, niech pani weźmie ręcznik - podałem ci go szybko, niezgrabnie, usiłując cię nie dotknąć. I nagle się przeraziłem. - Jest pani cała mokra... Ta sukienka... Pani musi ją zdjąć, dostanie pani zapalenia płuc! Dam pani szlafrok!

Mój szlafrok nie był ani nowy, ani czysty. Miał dziurę pod pachą i postrzepiony pasek. Ale i tak był lepszy od mokrej białej sukienki z mnóstwem guziczków.

Odwróciłem się do okna, a ty momentalnie zamieniłaś sukienkę na mój stary szlafrok w kratę. I rozpuściłaś włosy.

Nigdy wcześniej nie widziałem cię z rozpuszczonymi włosami. Spinałaś je w kok, wiązałaś na karku w luźny węzeł, zaplatałaś w warkocz. Ale dopiero teraz, w środku sierpniowej wietrznej nocy, w mojej kuchni, zobaczyłem jak mokre i leciutko potargane spływają po twych ramionach, muskają okryte grubym szlafrokiem piersi, obejmują wąską talię i szczupłe biodra i sięgają ud, tuż nad kolanami. Włosy koloru zboża...

- Świetnie pasują do pani głosu - uśmiechnąłem się. I nagle przestałem się dziwić, że chcesz zrobić te zdjęcia i ocalić swoje włosy od zapomnienia.

- Podobno można je sprzedać na perukę - powiedziałaś, przeczesując palcami kolejne pasma. - Koleżanka sprzedała krótszy warkocz i dostała tyle, co za trzy tygodnie sprzątanía. Ja pewnie bym dostała więcej. Jeśli przeżyję, może to zrobię... będę potrzebowała pieniędzy. Nie mogę od razu wracać do pracy.

I nagle coś błysnęło w twoich oczach.

- Zostawię włosy u pana, dobrze?

- Dobrze - zgodziłem się.

Powiedziałaś to tak naturalnie, jakbyś chciała zostawić u mnie na kilka dni parasol albo książkę.

- Dziękuję. Nie chcę obcinać ich u fryzjera. Wolę sama. Poczekają u pana. W depozycie.

Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, co znaczy „zostawić”. I znów przebiegł po mnie zimny dreszcz. Tym razem okno było zamknięte. Nie mogłem zrzucić niczego na zimno.

ROZDZIAŁ 22

Dziękuję

Te godziny do świtu... Nie opowiedziałem o nich Marcinowi i Jackowi. Ani wtedy nocą na szpitalnym korytarzu, ani nigdy potem. Nie umiałbym o tym mówić. Bo jakimi słowami miałbym opisać twój profil na tle kuchennego okna, za którym czarne rozgwieżdżone niebo powoli zastępowała szarość? Siedziałaś w moim szlafroku, z przymkniętymi oczami nad kubkiem herbaty, a ja wpatrywałem się w ciebie i marzyłem, żeby czas się zatrzymał. Żebyś już zawsze była w mojej kuchni. Żeby guz przestał rosnąć. Gdyby został taki, jak w tej chwili, to może nie trzeba byłoby go wycinać? Nie musiałybyś iść do szpitala, nie ryzykowałabyś, że już nigdy się nie obudzisz. Tak, gdyby z jeziora wyskoczyła nagle złota rybka i powiedziała, że spełni moje jedno życzenie, poprosiłbym właśnie o to: żeby zatrzymała czas.

- Jadę w południe do Warszawy - powiedziałem. - Mogę panią zabrać. Chyba nawet małym fiatem będzie wygodniej niż autobusem czy pociągiem. No i nie będzie pani biegła jedenaście kilometrów do przystanku...

- Dziękuję - uśmiechnęłaś się prześlicznie, pokazując swoje drobne, równe, białe ząbki. Natychmiast skojarzyłaś mi się z małym króliczkiem. Noskiem też ruszałaś tak śmiesznie jak króliczek.

Patrzyłem na ciebie... i nagle poczułem, że wcale nie chcę jechać do Warszawy. To znaczy chcę, oczywiście: żebyś bezpiecznie i wygodnie dotarła do szpitala. Tylko po to. Bo wiedziałem, że już nie interesuje mnie spotkanie z Adelą.

Wiesz... to mną wstrząsnęło. Przecież od siedmiu miesięcy pragnąłem tylko jednego: znów ją zobaczyć, choć przez chwilę. Potrzebowałem jej jak powietrza. Nie umiałem bez niej pracować, cieszyć się wschodzącym słońcem wśród trzcin, nawet na mecz nie umiałem iść. A jak już poszedłem, zaciągnięty siłą przez Marcina i Jacka, to i tak nie wiedziałem, jakim wynikiem się skończył ani nawet, kto grał przeciwko moim ukochanym *Czarnym Koszulom*. A teraz, gdy wreszcie miały się spełnić moje marzenia... gdy wreszcie miałem spotkać się z Adelą... Adelą, do której mówiłem w myślach i w snach przez wszystkie te tygodnie, nagle poczułem, że tego nie potrzebuję. Nagle mówiłem do ciebie i do złotej rybki, nie do niej.

- Zaraz wszędzie słońce - powiedziałaś cichutko swoim głosem spośród łąnów zboża. - Urodziłam się o wschodzie słońca, wie pan? I moje siostry też. I moja mama. Zawsze marzyłam o tym, że będę miała córkę. I ona też urodzi się o wschodzie słońca. A teraz... teraz wiem, że to może się nigdy nie zdarzyć.

Po twoim policzku stoczyła się piękna, idealnie okrągła łza.

Poczułem, że coś dławi mnie w gardle. Tak cudownie mówiłaś o dziecku, którego nie było. Kochałaś to dziecko. Swoją nieistniejącą córkę. Głos robił ci się bardziej miękki, nawet rysy twarzy łagodniały. A z migdałowych oczu biło takie światło...

- Dałabym jej na imię Natasza - uśmiechnęłaś się do szarości za oknem. - Podoba się panu to imię?

- Jest piękne - znów chciałem cię wziąć w ramiona i przyrzec ci, że urodzisz Nataszę. Pewnego dnia, o wschodzie słońca. Nie odważyłem się jednak. Wielka kula w moim gardle była chyba z ołowiu. Kochałaś Nataszę. Tak po prostu. Mówiłaś o niej tak, jakby spała za ścianą. Miętko i cicho, żeby nie zmacić jej snu. Podczas gdy Adela...

- Dobrze, że usunęłam tę ciężę - śmiała się, stojąc na taborecie z kieliszkiem czerwonego wina, które kupiłem poprzedniego dnia na jej babski wieczór. - Wyobraźcie sobie, co by się działo, gdyby to był chłopiec! Czytałam, że długość penisa jest dziedziczna. Wydaliśmy nawet książkę o wpływie genów na życie seksualne. Więc dobrze, że to zrobiłam. Nigdy nie skazałabym mojego syna na takie jedenastocentymetrowe maleństwo! Jego i jego kobiet! O ile z czymś takim odważyłby się w ogóle do jakiejś zbliżyć!

Greta, Iza, Inka i Edyta odpowiedziały jej salwą śmiechu. A ja... ja chciałem umrzeć pod tym oknem. Otulić się śniegiem i zamrznąć. Żeby nie czuć bólu. Zabiła nasze dziecko??? Zrobiła to, nie pytając mnie o zdanie??? Nie mówiąc mi, że jestem ojcem???

-Adela, jak mogłaś! - wtoczyłem się do domu, bełkocząc i objając się o ściany.

Adela i jej przyjaciółki myślały, że jestem pijany. Nie byłem. Byłem tylko... byłem zdenerwowany. Bardzo zdenerwowany. Byłem w żałobie. Byłem ojcem, który stracił dziecko.

-Nie rozumiem, dlaczego histeryzujesz. - Adela była wtedy zła, że przerwałem jej „taką udaną imprezkę”. I wściekła, że podsłuchiwałem. Nie zamierzała mnie przeprosić, nie zamierzała wyjaśniać. Nie miała sobie nic do zarzucenia.

-Adela, to było nasze dziecko - tłumaczyłem.

- Nie żadne dziecko, tylko embrion - wzruszyła ramionami.

- Szybko to załatwiłam. Byłam w ciąży tylko cztery i pół

tygodnia, tyle co nic. To był embrion z ogonem. Sprawdź sobie w encyklopedii zdrowia, jak wygląda czterotygodniowy embrion!

Nie odzywałem się. Wciąż nie mieściło mi się w głowie, że to zrobiła.

- Nie pytasz, czy się nie bałam? Czy mnie nie bolało? - ona naprawdę chciała, żebym jej współczuł.

-Adela, to było nasze dziecko - powtórzyłem. - Nie pomyślałaś, że mogłem chcieć, żeby się urodziło? Gdybyś dała mi szansę na współdecydowanie?

- Nie pomyślałam - pokręciła głową. - To mój brzuch, moje pieniądze, moja sprawa. Za co byś to dziecko utrzymał? Gdzie byś je wychowywał? Tu, na tej zabitej dechami wsi? Czy w moim ciasnym mieszkaniu? Wtedy byłeś tylko sekretarką...

- Sekretarki też mają dzieci. I bezrobotni. Dzieci to nie jest przywilej zarezerwowany dla bogatych - czułem, że moje słowa rozbijają się o grubą, betonową ścianę. Ale nie mogłem przestać.

- Nie histeryzuj i nie odwracaj kota ogonem - powiedziała. - Chcesz mnie wpędzić w poczucie winy, ale ja się nie dam. To ty zmarnowałeś mi dzisiejszy wieczór. Nie rozumiem, jak mogłeś podsłuchiwać. To było chamskie.

Nie odważyłem się powiedzieć, że aborcja była nieco bardziej chamska... ale tak myślałem.

Chciałem mieć to dziecko. Tęskniłem za nim. Opłakiwałem je. Nawet jeśli to był chłopiec z najmniejszym członkiem świata. Wychowałbym go tak, żeby nie dał się nigdy upokorzyć żadnej pijanej rudej wydrze stojącej z kieliszkiem na taborecie.

- A jeśli Natasza okazałaby się chłopcem? Urodzonym o zachodzie słońca? Albo w środku najczarniejszej nocy? - zapytałem cię, zakładając film do aparatu.

- Umiałabyś go kochać?

- Co to za pytanie? Jak można nie kochać własnego dziecka? - uśmiechnęłaś się. - Gdyby to był chłopiec... dałabym mu na imię Joachim. Podoba ci się? To nie jest ukraińskie imię. I chyba nie polskie. Podoba ci się?

Żadne z nas nie zauważyło, kiedy przeszliśmy na ty. Byłem wzruszony. I tak bardzo chciałem wziąć cię w ramiona.

- Jeśli będę miał kiedyś syna, dam mu na imię Joachim - też się uśmiechnąłem.

A potem wziąłem cię za rękę i wyprowadziłem na dwór.

Słońce tak pięknie wschodziło za twoimi plecami. Zupełnie jak na jakiejś kiczowatej pocztówce. Barwiło twoje pszeniczne włosy na czerwono. Robiłem zdjęcia jak szalony, jedno za drugim. Trzy rolki.

- Szlafrok! - zawołałaś nagle, gdy zmieniałem film.

- Mam na sobie twój szlafrok!

Zanosząc się śmiechem pobiegliśmy do domu. Sukienka była już sucha. Słońce wznosiło się coraz wyżej, wychylając się zza trzcin. Nie było czasu do stracenia. Zrzuciłaś szlafrok i wybiegłaś z sieni nago, odpinając guziczki trzymanej w dłoniach sukienki. Mogłabyś chyba założyć ją przez głowę... ale nie zamierzałem ci o tym mówić. Biegłem za tobą z aparatem i pstrykałem, zdjęcie za zdjęciem. Twoje pośladki, wychylające się z gęstwiny długich, jasnych jak zboże włosów... twoje nagie stopy na mokrej trawie... twoje biodra, kołyszące się wraz z trzcinami w czerwonej poświacie... Wiedziałem, że to najważniejsze zdjęcia w moim życiu. I miałem nadzieję, że nie będzie na nich widać, jak bardzo drżały mi ręce, kiedy je robiłem. Że nie będę nieostre.

Już wtedy powinienem krzyknąć na całe gardło, że cię kocham. I wziąć cię w ramiona, i położyć na mokrej trawie, i obsypać pocałunkami. Zamiast tego powiedziałem tylko:

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co - uśmiechnęłaś się. - Przecież musiałam pozować, skoro chcę mieć te zdjęcia.

Myślałaś, że dziękuję ci za pozowanie! Nie wyprowadziłem cię z błędu. Tak naprawdę dziękowałem ci jednak za coś znacznie ważniejszego. Za to, że stając tej wietrznej, deszczowej nocy w progu mojego domu, sama na wpół martwa... na siedemdziesiąt procent martwa, żeby być precyzyjnym (z najwyższym trudem uśredniłem te sześćdziesiąt sześć i siedemdziesiąt pięć procent)... zdołałaś jakimś cudem wyciągnąć mnie z grobu, przywrócić do życia. Tak, po raz pierwszy od stycznia znów chciałem żyć. Dzięki tobie.

Przede wszystkim jednak dziękowałem ci za to, że zrozumiałem, nareszcie, jakim szaleństwem była miłość do Adeli. I za to, że wiedziałem, w końcu wiedziałem, bez najmniejszych wątpliwości, że już nie ma powrotu. Że to szaleństwo już się skończyło. Byłem zaskoczony, że stało się to tak szybko, tak prosto... Nie chciałem zastanawiać się, jak tego dokonałaś. Po prostu czułem, że żyję. Po raz pierwszy od tak dawna.

- To co, może zrobisz mi jakieś zdjęcie w sukience? W końcu? - stałaś przede mną taka piękna, niewinna i wyzywająca jednocześnie, wysuwając trójkątny podbródek do przodu. Chyba właśnie to nadawało ci takiego leciutko bezczelnego wyglądu. To i te twoje wielkie migdałowe oczy.

Uśmiechnąłem się i sięgnąłem po aparat.

- Rób, szybko... bo tamte nie nadają się do wysłania do domu... a musi być coś, co będziesz mógł wysłać... gdybym nie przeżyła.

ROZDZIAŁ 23

Migdały

Taki był ten poranek. Taki był cały ten dzień. Szczęście mieszało się w nim z rozpaczą, żarty ze słowami, które można mówić tylko szeptem i tylko w ciemności. Taki był. Słodko-gorzki. Jak migdały.

- Chciałabym być na tych zdjęciach ładna - powiedziałaś zamyślona, siedząc na pomoście.

- Będiesz piękna - uśmiechnąłem się, waląc się w myślach po łapach, żeby nie objąć cię, nie przytulić z całych sił, nie wbić się ustami w twoje usta. Tak bardzo tego pragnąłem!

- Chciałabym, żeby wszyscy byli zachwyceni - twoje migdałowe, słodko-gorzkie oczy wpatrywały się w dal, gdzieś w trzciny, w których siedziały pewnie kaczki i perkozy, jak zwykle o poranku.

- Wszyscy będą zachwyceni. Nie może być inaczej! - nie pocieszałem cię. Naprawdę tak myślałem. Przecież byłaś najpiękniejszym stworzeniem na świecie. Jeszcze niedawno wydawało mi się, że najpiękniejsze są malutkie, pokraczne szare łabędzie. Brzydkie kaczątka, które jeszcze nie wiedzą, że są najwspanialszymi ptakami, królami jezior. Ty jednak wygrywałaś ze wszystkimi brzydkimi kaczątkami świata. I nie wyobrażałem sobie, żeby ktoś mógł wygrać z tobą. No, chyba że Natasza... kiedyś... w przyszłości... Tak, ona umiałaby pewnie wy-

walczyć sobie kawałek mojego serca. A ty bez oporów byś się z nią podzieliła koroną najpiękniejszej.

- Powinam się pomalować - westchnęłaś. - Ach, gdybym miała przynajmniej puder... Będę się tak okropnie świecić na tych zdjęciach. Tak okropnie... Na wszystkich zdjęciach się świecę, nie znoszę tego.

- Nie masz pudru? - Adela miała trzy szuflady kosmetyków. Nie mieściło mi się w głowie, że istnieje kobieta, która nie ma nawet puderniczki!

- Przy sprzątaniu nie muszę się malować - przypomniałaś mi o tym, kim jesteś. - Zostawiłam wszystko w Kijowie siostrom. Im się przyda. Wszystkie cztery lubią się malować, a nie mają za bardzo czym.

No tak... twoja rodzina nie była bogata. Gdyby była, nie sprzątałybyś przecież w takiej wsi jak Chmarki! Nie czekałybyś na pracę czasami tygodniami, żeby wysłać do domu kilka groszy. Bo przecież tam twoje cztery siostry muszą się dzielić jedną puderniczką.

- Pojedziesz do sklepu? - Poprosiłaś mnie nagle, niepewnie. - Sam? Jak ja z tobą pojedę, samochodem, to pan Stanisław od razu będzie wiedział, że coś nie tak. Będzie pytał, co u ciebie robiłam tak rano... a potem, jak zniknę... ludzie zaczną gadać. Nie chcę, żeby się domyślili, że jestem w szpitalu. Powiedziałam pani Józi, że jadę do domu. Dziś rannym autobusem. Na cały miesiąc albo i dłużej. Nie chcę, żeby mnie widzieli w sklepie wtedy, kiedy powinnam już maszerować na przystanek. Pojedziesz sam? - Pojadę - powiedziałem. A potem po prostu wyszedłem, nie odwracając się za siebie. Bałem się, że jeśli się odwrócę, nie zdołam już wyjść. Bo zobaczę ciebie, taką kruchą... i może znów ten grymas bólu, na twojej twarzy, przez ułamek sekundy... Jeśli bym go zobaczył, nie wyszedłbym. Nie zostawiłbym cię ani na chwilę. Żeby nic ci się nie stało. Żebyś nie zniknęła.

Na dworze znów padał deszcz i szalał wiatr. Wyglądało na to, że słońce wyszło tylko na chwilę. Wtedy, o świcie, kiedy robiłem ci zdjęcia. Czerwone, piękne słońce. Specjalnie dla ciebie. A teraz znów mój biedny stary maluszek posuwał się piaszczystą drogą w strugach deszczu, których nie nadążały zbierać wycieraczki.

- Dzień dobry - powiedziałem do pana Stanisława. A on, nie pytając, co mi podać, sięgnął na najwyższą

półkę i zdjął z niej jedną ręką cztery półlitrowki na raz. Wiedział, po co przychodzę. Od tyłu miesiący...

- Nie chcę wódki - uśmiechnąłem się. - Potrzebuję... potrzebuję pudru.

Ciemne, małe oczka właściciela sklepiku przeszły mnie na wylot. Chyba podejrzewał najgorsze. Delirium. Szaleństwo. Typowe dla miastowych ze słabą głową i skołatanyimi nerwami.

Musiałem szybko wymyślić jakąś prawdopodobną historię. Choć trochę prawdopodobną.

- Skończył mi się paszport - zacząłem, żeby zyskać na czasie. - To znaczy, skończyła mu się ważność. Muszę wyrobić nowy, wie pan...

Pan Stanisław zachęcająco pokiwał głową, czekając na ciąg dalszy tej opowieści. Doskonale wiedziałem, jaką opowiastką poczęstuje dziś wszystkich kupujących chleb. Opowiastką o tłumaczu, tym z drewnianej chałupki nad jeziorem, który oszalał. Musiałem się skupić... to naprawdę była całkiem prawdopodobna historia. Jeśli tylko zdołam ją dobrze opowiedzieć...

- Do nowego paszportu potrzebne jest nowe zdjęcie - mówiłem, nie patrząc w oczy właścicielowi sklepu. - A skoro już będę je sobie robił, to chcę, żeby wyszło jak najlepiej... bo mam lecieć do Kapsztadu na spotkanie w sprawie moich tłumaczeń... i będzie po-

trzebne zdjęcie do wizy.... podobno to ważne, żeby było dobre. Bo w ambasadzie na podstawie zdjęcia decydują, który wniosek odrzucić, a który zatwierdzić.

- Myślałem, że robią to na podstawie wniosku, a nie na podstawie zdjęcia - pan Stanisław był tego poranka wyjątkowo zbyt bystry jak na moje potrzeby!

- Na podstawie wniosku, oczywiście - zgodziłem się z nim. - Ale zdjęcie też ma znaczenie... w spornych przypadkach.

- Nie sądziłem, że pana przypadek może być sporny - no nie, to chyba niemożliwe, żeby ten facet naprawdę całe życie nie wystawiał nosa z Chmarek! - Skoro pan coś dla nich tłumaczy i rząd panu za to płaci, to powinien pan być ich honorowym gościem, a nie przypadkiem spornym.

Postanowiłem nie wdawać się w tę dyskusję. Była niebezpieczna. A potem nagle przyszło mi do głowy genialne wyjaśnienie:

- No właśnie jak tam pojedę jako gość honorowy, to moje zdjęcie będzie w katalogu... i w takich ulotkach reklamowych... to ważne, żeby było dobre, prawda?

Pan Stanisław pokiwał głową.

- Trzeba było od razu zacząć od tego katalogu - powiedział.

Ha, gdybym wpadł wcześniej na katalog, to na pewno bym od niego zaczął! Ale to był pomysł last minutę... bardzo last minutę.

- Ale wie pan, panie Adasiu, ja to się panu właściwie nie dziwię, że pan nie chce o swoich sukcesach rozpowiadać na prawo i lewo - pan Stanisław nieoczekiwanie przestał być sceptycznym detektywem i zamienił się w mojego sojusznika. - Ludzie są różni, wszędzie ta okropna zawiść... Lepiej za dużo nie mówić. Mądrze pan robi. Ale mnie nie musi się pan obawiać, ja nie puszcę pary z ust.

Hm... Byłem dziwnie pewny, że jest akurat odwrotnie. Ale postanowiłem w to nie wnikać i w końcu przejść do sedna sprawy.

- No i wie pan, panie Staszku... - nigdy tak do niego nie mówiłem. Widać był to strzał w dziesiątkę, bo właściciel sklepu cały się rozpromienił. - Wie pan, panie Staszku... - powtórzyłem - ...nie chcę się na tym zdjęciu świecić. Na poprzednim zdjęciu w dokumentach strasznie się świecę, zwłaszcza czoło. Wstyd ludziom taki portrecik pokazać. A tu ten katalog... no i słyszałem, że jak się użyje pudru, to nic się nie świeci. Więc chciałbym spróbować. Ma pan jakiś puder?

- Mam. Ja mam wszystko! - pan Stanisław dumnie otworzył szufladę i wyjął z niej trzy pudełeczka. - Musimy zobaczyć, który kolor najbardziej pasuje do pana skóry.

Do mojej skóry?! To puder dobiera się do karnacji?! Dlaczego mnie nie uprzedziłaś?!

- Pan ma ciemną skórę... - małe, prawie czarne oczka świdrowały mnie na wylot. - Musi pan wziąć ten najciemniejszy.

- Nie! - prawie krzyknąłem. Przecież ty jesteś taka jasna... pszeniczna, owsiana... masz skórę jak mleko, jak to pisano kiedyś w książkach. Nie znam się na pudrach, ale z tym ciemnym jak czekolada na twarzy mogłabyś wyglądać dość groteskowo. A chyba nie o to nam chodziło. Chciałaś być przecież piękna. Wyjątkowo piękna.

- Muszę wziąć jaśniejszy... najjaśniejszy - powiedziałem, nie mając pojęcia, jak to wyjaśnić. - Fotograf tak mi radził.

Pan Stanisław chyba nie uwierzył w takie idiotyczne wytłumaczenie, ale bez słowa podał mi ten puder, którego się domagałem. Na etykietce napisano: „kolor słoneczny”. Tak, to był odpowiedni kolor dla ciebie. Bez wątpienia.

Nagle, gdy już sięgałem do portfela, przyszło mi do głowy coś jeszcze.

- Poproszę jeszcze szminkę - powiedziałem. - W kolorze migdałowym. No wie pan... takajakby beżową. Coś w tym stylu. Jak migdały, po prostu.

Wzrok pana Stanisława powiedział mi, że nie wyjdę ze sklepu, dopóki nie wyjawię, po co mi szminka. Wyteńczyłem wyobraźnię.

- Fugi w łazience mi się wykruszyły... Ktoś mi doradził, żeby je zalepić kawałkami szminki i polakierować.

- Według mnie to bardzo głupia porada - wzruszył ramionami sklepikarz. - Lepiej kupić po prostu fugę w tym samym kolorze i pouzupełniać braki.

- Już takiej nie produkują - szedłem na całość.

- Dzwoniłem nawet do producenta. Niech pan mi znajdzie migdałową szminkę, to najlepsze wyjście. Fachowiec mi tak poradził. A nawet dwóch fachowców.

Pan Stanisław wyjął z kolejnej szufladki trzy czy cztery szminki, przyjrzał się im uważnie i wręczył mi najcieńszą, w czarnej oprawce.

A potem, kiedy usiłowałem podać mu pieniądze, delikatnie odsunął dłoń. Resztę, kilka monet, położył na ladzie, zamiast wsunąć mi do ręki, jak zwykle. Wiedziałem już, co myśli. Że jestem gejem. Albo transwestytą. Że w domowym zaciszu przebieram się w kobiece ciuszki. Że mam HIV-a. Że moja obecność może być niebezpieczna dla pozostałych mieszkańców Chmerek.

Było mi wszystko jedno. Niech myśli, co chce. Najważniejsze, że nie podejrzewa, że to ma związek z tobą. Udało mi się zachować tajemnicę.

- A pędzel? - zapytałaś, oglądając moje zakupy.

- Nie kupiłeś mi pędzla? Albo chociaż gąbeczki?

- Nie wspominałaś o pędzlu - zdenerwowałem się. Miałem nadzieję, że podziękujesz mi za ten świetny pomysł ze szminką... a ty, zamiast podziękować, masz pretensje o jakiś pędzel? Skąd niby miałem wiedzieć, że będzie potrzebny?

- Dziękuję za szminkę - uśmiechnęłaś się, chyba odgadując moje myśli. - Bardzo się przyda, naprawdę. Dziękuję, że pomyślałaś o tym, o czym ja nie pomyślałam. A z pędzlem to moja wina, nie powiedziałam... Skąd niby miałeś wiedzieć, że będzie mi potrzebny? Poza tym, zwykle do pudrów dołączają gąbkę, a tu jej nie ma.

- Jakoś sobie poradzimy - powiedziałem, wzruszony.

Szkoda tylko, że nie miałem pojęcia, czym można zastąpić pędzel albo małą, okrągłą gąbeczkę.

- Taki do ścian chyba się nie nada? - sięgnąłem do szafki w sieni. Miałem wałek i cztery pędzle, różnych grubości. Niestety, wszystkie były ostre, drapały mnie w palce, gdy tylko lekko ich dotknąłem. Nie było się co łudzić, że zdołasz nimi upudrować twarz.

- Gąbka? Masz gąbkę do zmywania? - uśmiechnęłaś się z nadzieją.

Niestety... koło zlewu leżała tylko szczotka i druciak. Gąbka zgniła, tonąc w resztkach jakiegoś tłustego sosu przez miesiąc czy półtora. Nie zmywałem, dopóki nie zużyłem ostatniego kubka i talerza. Zresztą, przecież i tak nie jadłem właściwie nic oprócz bułek z miodem. Zawsze na tym samym żółtym talerzyku. Ten sos, w którym upaprałem gąbkę, to były resztki z kolacji z Jackiem i Marcinem. Przyjechali tu kiedyś po meczu z gotowym żarciem z jakiejś chińskiej budki.

- Do czego to doszło, żeby przychodzić zjedzeniem do najlepiej gotującego faceta w Polsce - śmiali się, kiedy odgrzewaliśmy je w piekarniku.

Aleja nie zamierzałem już gotować. Nie miałem dla kogo. Gąbka więc też nie była mi potrzebna.

- A gąbka do mycia? - Zapytałaś, nie tracąc nadziei.

- No wiesz, do mycia ciała?

Nie używałem gąbki do mycia ciała. Nigdy.

- Widziałam kiedyś przy sprzątaniu gąbkę w łazience

- upierałaś się.

Gąbkę w łazience?! Aaaaa! No jasne! Adela przywiozła ją z Grecji. Pojechały z Gretą na jakiś szalony weekend do Aten. Bo taką miały fantazję. Ja zostałem w domu, oczywiście. I czekałem z kolacją. Cannelloni z ricottą i szpinakiem, jedno z ulubionych dań Adeli. Nie dotknęła go. Nie była głodna. Nie pocałowała mnie na powitanie. Bo nie miała nastroju. Wręczyła mi za to prezent. Gąbkę. Podobno naturalną. Podobno kupioną specjalnie dla mnie, u rybaka. Szkoda tylko, że nie zdjęła z niej metki sklepu na lotnisku. Półtora euro... specjalnie dla mnie. Kupiła sześć czy siedem takich samych. Dla swojej sekretarki i dla Izy, i dla żony księgowego...

Nigdy nie używałem tej gąbki. Położyłem ją jednak na półce nad pralką. Ładnie wyglądała, jak jakaś skała z jaskiniami, w których czają się drapieżne ryby.

- Mam gąbkę, oczywiście! - Pobieglem do łazienki i przyniosłem ją, zadowolony.

- Twarda - skrzywiłaś się.

- Trzeba namoczyć... chyba... - nie byłem pewny, czy to, co mówię, ma jakiś sens.

Wsadziłaś ją pod kran. Gąbka faktycznie zmiękła ci w dłoniach i natychmiast przestała przypominać skałę. A więc problem z głowy. Nareszcie! Będziesz się mogła upudrować!

- Bez sensu - odłożyłaś ją na parapet, a na twoją twarz znów na krótką chwilę wrócił grymas bólu. - Przecież jak

nabiorę mokrą gąbką sypki puder, to on już nie będzie sypki, prawda?

Nie wiem zbyt wiele o pudrze, na oko jednak wygląda podobnie do mąki. A mąka w kontakcie z wodą na pewno przestałaby być sypka. Możliwe, że z pudrem jest tak samo.

- To chyba się nie upudruję - próbowałaś się uśmiechać i ukryć rozczarowanie. - Szkoda tylko, że na darmo jechałeś do tego sklepu. Pewnie pan Stanisław wypytywał cię, po co ten puder i szminka? Biedaku, musiałeś przeze mnie wymyślać jakieś głupie historie.

Byłaś kochana. Nawet w takiej chwili, śmiertelnie chora, zmęczona, rozczarowana, przejmowałaś się mną! Tak bardzo chciałem cię pocałować.

- Co mu powiedziałaś? - dopytywałaś się.

- 'Że jadę do Kapsztadu i będę zalepiał szminką migdałowe fugi - to był może zbyt duży skrót myślowy, ale moją uwagę zaprzętało coś innego. Pędzel! Miałem przecież pędzel! Stary pędzel do golenia, który ojciec podarował mi na osiemnaste urodziny jako znak tego, że jestem mężczyzną. Nigdy go nie użyłem, ale przeżył ze mną wszystkie przeprowadzki. I jeśli tylko Adela nie przełożyła go w czasie swojego nerwowego pakowania, wyprowadzając się na zawsze, bo „tak chamsko przerwałem jej imprezę”, wciąż powinien być w szufladzie pod oknem, zawinięty w czerwony papier w wypłowiałe kwiatki. Bardzo wypłowiałe. Od moich osiemnastych urodzin minęło przecież ponad osiemnaście lat. Miałem tylko nadzieję, że pędzle nie mają daty przydatności do spożycia... to znaczy, do użycia...

ROZDZIAŁ 24

Mandragora

Wyglądałaś pięknie. Tak pięknie, że chciało mi się płakać na twój widok. Twoje włosy... jak mogłem się dziwić, że jesteś do nich przywiązana?

- Ile już zrobiłeś tych zdjęć? - zapytałaś, siedząc na krzywym pomoście i przechylając głowę tak, że najdłuższe kosmyki niemal dotykały tafli wody.

- Trochę zrobiłem... - uśmiechnąłem się, zakładając jedenastą rolkę. - Przyniosę ci je do szpitala i wspólnie wybierzemy te, które wyślesz rodzinie, chcesz?

Nie odpowiedziałaś.

- Wystarczy już, nie rób więcej - nagle straciłaś ochotę na pozowanie, a twoje migdałowe oczy zrobiły się o dwa tony ciemniejsze od migdałowych ust. Swoją drogą, szminkę pan Stanisław dobrał znakomicie. Jakby wiedział, że ma pasować do twoich oczu. Jakby... A może wiedział? Może sprowadził ją do sklepu już dawno, specjalnie dla ciebie? Bo przecież nie miał tych szminek dużo, tylko kilka sztuk, wciśniętych w szufladce między chusteczki higieniczne, maść na reumatyzm i płyn do zmywania naczyń. To trochę dziwne, że wśród czterech czy pięciu kolorów miał akurat migdałowy...

Nie protestowałem. Chciałem sfotografować cię jeszcze na ganku i wśród kwitnących wysokich malw przy ogrodzeniu. Ale skoro już nie chciałaś...

- Boli cię? - zapytałem. Pokręciłaś głową.

-Nie mamy już czasu... mówiłeś, że jedziesz do Warszawy w południe. Już jest południe.

- Zmieniłem plany - machnąłem ręką. - Nie mam dziś nic pilnego do załatwienia. Powiedz, o której ty musisz być w szpitalu, pojedziemy tak, żebyś nie musiała tam czekać.

- Tak naprawdę... tak naprawdę mam być dopiero o jedenastej. O jedenastej wieczorem. Wiesz, to długa operacja, a wtedy mają wolną salę. Dziwna pora, co?

- Czy ja wiem? - nie miałem pojęcia, jaka jest normalna pora na operację.

Nie byłem w szpitalu ani u mamy, kiedy umierała, ani u babci. A ojcu robili tylko badania. Nie umiałem powiedzieć nic o zwyczajach chirurgów. O zwyczajach neurochirurgów wiedziałem jeszcze mniej. Może z jakiegoś powodu wolą operować w nocy?

- Na pewno nie zmieniłeś planów ze względu na mnie? - zapytałaś. - Nie chciałabym, żebyś miał przeze mnie kłopoty.

- Nie będę miał żadnych kłopotów - roześmiałem się. - A ta zmiana... to ze względu na mnie. Tylko na mnie. Chociaż dzięki tobie... poniekąd. Zrozumiałem coś ważnego.

- Opowiesz mi? - usiadłaś na schodku na ganku i wpatrywałaś się we mnie uważnie migdałowymi oczami. Uważnie... i odrobinę wyzywająco.

A ja opowiedziałem ci wszystko o Adeli. Naprawdę wszystko. Nie po kolei, to byłoby niemożliwe... Historia z nią, te dwa lata, przypominała trochę spacer z Wer-giliuszem po kregach piekielnych. Nie wiedziałem już, który jest pierwszy, a który ostatni. Kręciłem się po nich. Mówiłem raz o początku, raz o samiutkim końcu... o tym przemówieniu na taborecie... to znowu o przeprowadzce do Chmarek, a potem o wyjeździe do Wenecji... Tak jakby moje życie z Adelą nie miało właściwie

początku i końca, jakby nie było ciągiem logicznym, jakby jedne zdarzenia nie wynikały z drugich... i chyba tak właśnie było.

- Bardzo ją kochałeś - nie krytykowałaś mnie, nie pytałaś, co w niej widziałem i jakim cudem tak długo wytrzymałem. Rozumiałaś. Rozumiałaś mnie lepiej niż moi przyjaciele. Może nawet lepiej niż ja sam siebie.

- Kochałem - przytaknąłem.

I poczułem ogromną ulgę, że to już czas przeszły. Ze już wcale nie chcę jej spotkać, że nie będzie mnie znów prowadzić przez piekielne kręgi. Uratowałaś mnie. Adela nie była celem. Była tylko lekcją. I drogą do ciebie.

- Nie wierzę, że pozwoliłaś Adeli czekać na darmo! Nie zrobiłbyś tego! - pokręcił głową Marcin, przecierając zaspane oczy.

Nie zrobiłbym... jeszcze kilka godzin wcześniej na pewno bym tego nie zrobił. Ale teraz nie miałem żadnych skrupułów.

- Nie chcę mówić o Adeli - powtórzyłem, spacerując piątą godzinę długim, zielonym korytarzem. - Teraz Olga potrzebuje moich myśli, mojej energii. Nie chcę mówić o Adeli. Czekałem na nią przez wiele miesięcy, co wieczór, co rano... Ona czekała tylko raz. Wczoraj po południu na nieznajomego faceta z Internetu. Nie doczekała się. Trudno. Możecie to uznać za zemstę, jeśli chcecie.

- Przecież ty nie jesteś mściwym facetem - Jacek uniósł do góry swoje jasne brwi. - Zawsze to powtarzasz.

- Nie jestem - pokiwałem głową. - A więc to nie zemsta, tylko przypadek, jeśli wolicie. Albo wola niebios,

przeznaczenie... co tylko chcecie. Byle byście odczepili się od Adeli. Teraz muszę myśleć o Oldze. Tylko o niej.

- To może nam o niej opowiesz? - zaproponował Marcin słodkim głosem psychoterapeuty. - Wciąż nie wiemy, jak to się stało, że... no wiesz... że ona stała się ważniejsza od Adeli.

- Ja też nie wiem - roześmiałem się. - Po prostu... zapowiedział ją niewidzialny wiatraczek. A dom chciał, żeby weszła. Otworzył jej furtkę. Tak musiało być. To kobieta mojego życia.

- Kiedyś już to słyszałem - westchnął Marcin.

Nie mogłem odpowiedzieć na to nic sensownego. Tylko tyle, że wtedy, w sprawie Adeli, po prostu się pomyliłem.

' - Olga mnie podziwia - uśmiechnąłem się do wspomnienia naszego popołudnia.

- Za rekord świata w opróżnianiu półlitrówek w przedpokoju? - Jacek patrzył na mnie bardzo podejrzliwie. - Nie zapominaj, że ona wtedy sprzątała twój dom. Widziała, w jakim byłeś stanie. Nie można podziwiać kogoś, kogo się widziało zarzyganego po uszy.

- Cieszę się, że cię wtedy widziałam - powiedziałaś, kiedy o tym wspomniałem. O tym, ile piłem po wyprowadzce Adeli.

- Jak to „cieszysz się”? - nie rozumiałem. - Z czego tu się cieszyć?

- Z tego, że widziałam, jak potrafisz kochać. I rozpaczać. Że widziałam, że jesteś człowiekiem. Przedtem myślałam, że jesteś tylko wielkim artystą. Że liczą się dla ciebie tylko książki. Bo wtedy, jak przyjechałeś... jak kupiłeś dom... zachowywałeś się tak, jakby one były najważniejsze. Pamiętasz?

Pamiętałem, oczywiście. Noszenie pudeł z książkami w gęstym, lepkiem śniegu. Kartony rozmiękały, książki wysypywały się na ziemię, jedna po drugiej. Ratowałem je, jak tylko mogłem. Wiele było z biblioteki uniwersyteckiej, część

przysłano mi w paczkach z Mediolanu i Bolonii. Jak mógłbym ich nie ratować?

- Podobno jesteś wykształcona? - zapytałem, chyba niezbyt grzecznie. - Pan Stanisław tak mówił. Nie lubisz książek?

Zaczęłaś się śmiać. Twój śmiech stopniowo wypełniał kolejne pomieszczenia, wypełzał z kuchni do dużego pokoju, do łazienki, wspinał się po schodach na górę, do sypialni, w której nie spałem ani razu od wyprowadzki Adeli... Nie miałem odwagi, żeby tam wrócić. Żeby przytulić się do wspomnień. Teraz nie było już wspomnień. Wypędził je twój śmiech.

Nie odpowiedziałaś jednak na pytanie o wykształcenie. Śmiałaś się, śmiałaś... a potem powiedziałaś:

- Kocham książki tak jak ty... a może jeszcze bardziej. Kiedyś, przez chwilę, kochałam je chyba bardziej niż ludzi. Coś przez to straciłam. Dlatego chciałam wiedzieć, czy dla ciebie nie są one ważniejsze od pani Adeli i od całej reszty.

Od pani Adeli? Po tym wszystkim, co o niej usłyszałaś, wciąż mówiłaś o niej „pani Adela”? Jesteś niebywała...

- Jesteś niebywała - uśmiechnąłem się.

A ty delikatnie, chyba na palcach, podeszłaś do mojego biurka i odsunęłaś gazety przykrywające książki, które powinienem tłumaczyć.

- To tym się zajmujesz? - nie użyłaś czasu przeszłego, nie powiedziałaś ani słowa o tej grubej warstwie kurzu i papierów pokrywających największe dzieła literatury włoskiej. Po prostu stałaś i wpatrywałaś się

w okładki oryginałów. A potem dotknęłaś palcem wskazującym jednej z nich. Cieniutkiej *Mandragory*. Do dziś nie wiem, czy zrobiłaś to przypadkiem czy może zaintrygował cię tytuł... Albo autor... Machiavelli nie kojarzy się raczej z lekkimi komediami... A może wiedziałaś wszystko o magicznych ziołach? Zwłaszcza tych służących do czarów miłosnych?

Spojrzałem ukradkiem w twoje migdałowe oczy. Czy takie oczy mają czarodziejki i zielarki? Nie miałem pojęcia... Wiedziałem tylko, że nie dawałaś mi nic do picia. Za to ja dawałem ci herbatę. Nagle zapragnąłem, by była w niej domieszka mandragory. Bardzo duża domieszka...

- Masz cudowną pracę - powiedziałaś, gładząc leciutkimi ruchami kolejne okładki. - Ta książka przyjechała z Włoch? Mogę powąchać? Uwielbiam wąchać książki.

Pokiwałem głową, zbyt zdumiony, by ci odpowiedzieć. A ty uniosłaś do góry *Dekameron* w wypłowiałej, czerwonej okładce naderwanej przy grzbiecie i z nabożeństwem uniosłaś do twarzy. Przez moment myślałem, że ją ucałujesz. Ale ty tylko spojrzałaś na mnie bardzo zaskoczona.

- Myślałam, że będzie pachnieć kurzem... starością... a pachnie tak ślicznie kredkami świecowymi. Powąchaj!

Powąchałem... nie czułem jednak prawie nic. Całkiem nic, prawdę mówiąc. A już na pewno nie czułem kredek. Może to jednak prawda, że palenie tytoniu stepia powonienie?

- Lubisz zapach fajki? - zapytałem. Pokręciłaś głową.

- Nie znoszę. Nie rozumiem, po co ludzie palą. Papierosy, fajkę... To tak, jakby codziennie zjadali trochę arszeniku. Rosyjska ruletka.

- Ale fajka... - nie miałem dobrych argumentów. - Fajka przecież podoba się wszystkim kobietom!

- Nie pytałeś o to, co podoba się wszystkim kobietom, tylko o to, co podoba się mnie. Więc odpowiedziałam. Nie lubię

tytoniu. Ani alkoholu. Nie, i już. Oprócz lampki dobrego wina raz na jakiś czas.

Natychmiast pożegnałem się z fajką. Skoro jej nie lubisz... To był impuls. Wiedziałem, że muszę. Po prostu podniosłem ją półki i wyrzuciłem przez okno. Nie wpadła do jeziora, tak jak chciałem. Nigdy chyba niczym nie udało mi się dorzucić do jeziora. Tylko raz, jakimś papierkiem, zupełnie przypadkowo. Ale wtedy wiał silny wiatr.

Teraz nie wiał. Wichura, która szalała nad Chmar-kami, kiedy jechałem po puder, teraz gdzieś zniknęła. A fajka zniknęła w krzakach. Tak naprawdę nie były to nawet krzaki, tylko gigantyczne chwasty, których nie wyrywałem przez całą wiosnę i lato.

- Nie żal ci? - patrzyłaś na mnie uważnie.

W odpowiedzi wziąłem z półki tytoń i wysypałem przez okno.

Natychmiast na trawniku wylądowały dwie sroki, przekonane, że właśnie dają im jedzenie. Przez głowę przebiegła mi nawet myśl, że mogą się zatruć tym tytoniem. Wolałbym jednak nie zbierać następnego dnia o poranku martwych ptaków z trawnika...

- Myślisz, że srokom to nie zaszkodzi? - zapytałaś, czytając w moich myślach.

Cóż, pozostało nam tylko jedno. I to właśnie zrobiliśmy. Wyszliśmy przed dom i na kolanach wyszukiwaliśmy między źdźbłami trawy drobinki tytoniu. Wcale nie było to łatwe zajęcie. Zwłaszcza, kiedy widziałem twój profil dosłownie dziesięć centymetrów od mojej twarzy. Tak trudno mi się było skupić na tytoniu...

- Nie patrz tak - poprosiłaś, leciutko się rumieniąc.
- Nie patrz na mnie. Zajmij się tytoniem.

Ha, gdybym potrafił... gdybym był bardziej zdyscyplinowany... gdybym tylko nie nałykał się tej cudownej, odurzającej mandragory, która najwyraźniej unosiła się w powietrzu, wokół twojej głowy, razem z tytoniowymi okruszkami!

ROZDZIAŁ 25

Szympany

- Obetniesz mi włosy? - poprosiłaś, gdy pomarańczowe słońce powoli zaczynało przeglądać się w jeziorze. - Chyba już czas...

- Nigdy nie obcinałem nikomu włosów - zdenerwowałem się. - I nie mam dobrych nożyczek. I na pewno będą mi się trzęsły ręce. A poza tym...

- Dobrze, nie chcesz to nie - naburmuszyłaś się odrobinę, biorąc moje wątpliwości za odmowę. - Przepraszam, że w ogóle zapytałam.

To chyba była nasza pierwsza kłótnia.

A mogło być tylko jeszcze gorzej. Bo niestety, to co powiedziałem, nie było zbyt precyzyjne. Ja nie tylko nie miałem dobrych nożyczek. Ja nie miałem **ŻADNYCH** nożyczek.

- Jak można nie mieć w domu nożyczek? - twoje oczy, w których przed chwilą było tyle rozpaczy, znów się śmiały. - Każdy ma nożyczki.

- Ja nie mam - przypomniałem sobie, jak Adela z łoskotem pakowała do torby zabrany z biurka elegancki zestaw. Kałamarz, nóż do rozcinania korespondencji, piórnik i nożyczki. Małe biurowe nożyczki z trzymadełkami z jakiegoś rogu albo kości. O ile oczywiście te dziurki, w które wkłada się palce, można nazwać trzymadełkami? Miała też nożyczki, którymi od lat zamierzała ciąć

węlnę w czasie wyszywania obrazków. Często mówiła o tym wyszywaniu, którym miała zapełniać „nudne wiejskie popołudnia”, ale nigdy nawet nie kupiła płótna ani tej wełny... kordonka? Nie, muliny. Już wiem, to się nazywało mulina. Ale ona jej nie miała. Miała tylko nożyczki. I zabrała je ze sobą do Warszawy. Zabrała wszystko oprócz szarego swetra. Pewnie przez nieuwagę...

- A takie nożyczki do cięcia czegoś większego? - nie rezygnowałaś. - W kuchni albo gdzieś?

Pokręciłem głową. „W kuchni albo gdzieś” wszystko załatwiałem nożami.

- Ale mam sekator w ogrodzie! - ucieszyłem się. Ale po minucie, oczywiście, okazało się, że to była przedwczesna radość. Sekator owszem był. Leżał między łopata do odgarniania śniegu a konewką. I zdążył tam kompletnie zardzewieć, nieużywany od prawie roku.

- Nawet gdyby nie zardzewiał, do niczego by się nam nie przydał - ledwie udało ci się unieść do góry te wielkie, metalowe szczypce. - Chyba nie dałoby się nimi uciąć nic mniejszego od gałęzi starej jabłoni.

Skąd wiedziałaś, że tego lata jedyną pracą, którą wykonałem w ogrodzie, było wycięcie starej gałęzi z krzywej dzikiej jabłonki? To kolejne pytanie, które pewnie już na zawsze pozostanie bez odpowiedzi. Właściwie nawet nie chciałybym wiedzieć... tak jak z tą mandragorą... Ale z gałęzią faktycznie mordowałem się przez dwa tygodnie. Była spróchniała, a w czymś, co wyglądało jak stary sęk, a raczej dziura po sęku, zrobiły sobie gniazdo osy. Nie miałem wyjścia, musiałem się ich pozbyć... Ale wtedy używałem piły, a nie sekatora. Sekator po raz ostatni miałem w rękach jesienią. Dziesięć albo jedenaście miesięcy temu. Wtedy nie był jeszcze zardzewiały...

- To co, chyba trzeba nożem? - zapytałem nieśmiało. Ale ty wciąż nie wierzyłaś, że nie mam nożyczek.

- A paznokcie? - nie rezygnowałaś. - Czym obcinasz paznokcie?

- Mam taką starą, rosyjską obcinarkę - uśmiechnąłem się. A potem powiedziałem ci coś, o czym nie wiedzą nawet Jacek i Marcin: - Tak naprawdę nie obcinam paznokci. Nie muszę. Obgryzam je, bardzo równo. Doszedłem w tym do perfekcji. Spójrz, czy te paznokcie wyglądają na skracane zębami zamiast nożyczek? Przyznasz, że są równiutkie?

- Są - zgodziłaś się, nie patrząc jednak na moje dłonie. -Ale co z nogami? Nie wmówisz mi, że te paznokcie też obgryzasz.

- Obgryzam - pokiwałem głową.

A twoja zadziorna minka powiedziała mi natychmiast, co się teraz stanie.

- Dopiero co je skracałem! - usiłowałem się bronić. - Naprawdę, nie mam czego obgryzać! Może za tydzień albo dwa...

- Za tydzień albo dwa może mnie już nie być - przypomniałaś o tym tak lekko, niemal mimochodem. - Szybko bierz się do roboty. Chcę zobaczyć, jak to się robi!

-Ale... - wciąż chciałem zaprotestować.

- Nie ma żadnego „ale” - byłaś uparta. - Kobietom w ciąży i ludziom, którzy mają umrzeć, niczego się nie odmawia. Nie wiedziałaś o tym?

-A co, myszy mi wszystko zjedzą? Jak wtedy, kiedy odmówię ciężarnej?

- Nareszcie nauczyłaś się z tego żartować! Dzięki Bogu! - byłaś wyraźnie zadowolona.

A ja oczywiście natychmiast poczułem się potwornie głupio. Jak mogłem powiedzieć coś takiego, o tych myszach?!?

- Do roboty - popędzałaś mnie z tym swoim półuśmiechem, w którym nie unosiłaś niemal kącików ust.

Najwyraźniej przejęłaś się moją gafą znacznie mniej niż ja sam.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wziąć nogę w obie dłonie i unieść do góry, najwyżej jak się da.

- Naprawdę to potrafisz! Obgryzasz paznokcie u nóg! - piszczałaś z zachwytu, a kącikami ust niemal dotykałaś dolnych powiek. Jakby było czym się zachwycać...

Kurczę, chyba nikt nigdy nie zachwycał się tak żadnym moim tłumaczeniem nieprzetłumaczalnego idiomu, błyskotliwą przenośnią, żartem, puentą... Nigdy w nikim nie wzbudziłem takiej radości, jak w tobie w chwili, kiedy siedziałem jak szympans ze stopą w ustach. A najgorsze, że - zupełnie jak ten szympans - byłem naprawdę zachwycony tym, że budzę zachwyty. Cóż, widocznie każdy z nas ma w sobie coś z szympansa. Ja na pewno. Całkiem sporo.

Jak szympans chciałem zaimponować samicy. I jak szympans czułem, że coś rośnie w moich spodniach, usiłując je przebić. Rośnie do jakichś potwornych, nadnaturalnych rozmiarów. Jak kiedyś, wieki temu, w gabinecie Adeli. Ale wtedy robiłem, co mogłem, żeby to ukryć. A teraz... teraz wiedziałem, że nie stanie się nic złego, jeśli zobaczysz, jak bardzo mnie podniecasz. Przecież i tak o tym wiedziałaś. Musiałaś wiedzieć. I wydawało mi się, że jesteś z tego powodu naprawdę zadowolona. Jak szympansia samica. Moja cudowna szympansia samica.

- Może w takim razie obgryziesz mi włosy? - roześmiałaś się. - Skoro nie mamy nożyczek...

- Użyję noża - powiedziałem stanowczo, tak stanowczo, jak tylko potrafiłem. Żebyś nie wyczuła, jak bardzo się boję, że nie będę umiał tego zrobić. Że cię skrzywdzę.

- Będziesz umiał to zrobić? - Spojrzałaś na mnie niepewnie.
- Nie wiem - przyznałem. Nie umiałem udawać. Nie przed tobą. - Nie wiem... ale chyba nie mamy wyjścia. Więc spróbuję.

- Masz ostry nóż? Naprawdę ostry?

Chyba nie miałem... Od pół roku nie używałem właściwie noży. Tylko tego do masła, ale on nie musiał być ostry.

- Naostrzymy go na kamieniu - postanowiłaś. Naostrzymy... no jasne. My, szympany i nasze prymitywne narzędzia. To powinno się udać.

Zrobiłem nam zdjęcie. Całą serię zdjęć z samowyzwalaczem. Nie miałem statywu, ale udało mi się ustawić aparat na śmietniku. Niezbyt romantycznie, ale bardzo skutecznie.

- Jeśli wyjdą, to będą to twoje najpiękniejsze zdjęcia. - uśmiechnąłem się, patrząc jak zarumieniona i przejęta trzesz ostrzem noża o płaski kamień leżący na ganku. Chciałem to zrobić sam, ale uparłaś się, że mi pomożesz.

- A twój guz? - zapytałem. - Czy to mu nie zaszkodzi? Taki wysiłek?

- Jemu już nic nie zaszkodzi - też próbowałaś się uśmiechać, ale wychodziło ci to coraz gorzej.

- Jutro o tej porze już go nie będzie - w ostatniej chwili powstrzymałem się od pogładzenia cię po ramieniu.

- Albo nie będzie mnie - już nie usiłowałaś przywołać na twarz uśmiechu. - A to będą moje ostatnie zdjęcia. Nasze jedyne zdjęcia razem.

Pomyślałem - absurdalnie, automatycznie, bezsensownie - że powieszę to zdjęcie nad łóżkiem. Normalnie

wiesza się zdjęcia ślubne. Albo portrety. Okropne, krzywo namalowane monidła. Mąż i żona... Pomyślałem, że jeśli los mi cię odbierze, zanim tak naprawdę będziesz moja, powieszę nad łóżkiem to właśnie zdjęcie. Jedyne nasze wspólne zdjęcie. Ty i ja pochyleni nad kamieniem. Jak pierwsi ludzie przy krzesaniu ognia.

- Będiesz... będziesz zawsze. Musisz. Ja to wiem

- powiedziałem, starając się, żeby w moim głosie była tylko pewność. Żadnego strachu.

Nie dałaś się jednak nabrać.

- Nie możesz tego wiedzieć - uśmiechnęłaś się smutnym, pięknym uśmiechem. - Nikt nie może... Tego zdjęcia nie wysyłaj mojej rodzinie, dobrze? W razie czego... Nie wysyłaj. Niech ono będzie tylko nasze. Dobrze?

- Dobrze - z ciężkim sercem pokiwałem głową.

- Dobrze. W razie czego...

A potem złapałem nóż i przyłożyłem do palca, żeby sprawdzić, czy jest już dostatecznie ostry.

Był ostry. Ostry jak diabli. Przyłożyłem go do kciuka bardzo, bardzo lekko - a natychmiast spod skóry wypłynęła duża, ciemna kropla krwi.

- No to chyba możemy zaczynać - powiedziałem.

- Narzędzie, jak wykazały testy, jest już gotowe.

Zrobiłaś krok do przodu, wzięłaś mój palec w swoją drobną dłoń i uniosłaś go do góry. A potem wyssałaś z niego krew.

Poczułem, że kręci mi się w głowie. Nie mogłem jednak zemdleć. Poczułem, że chcę cię całować. Aż do jutra, aż do zimy... że chcę cię całować już zawsze. Ale nie mogłem. Musiałem wziąć głęboki oddech. Miałem przed sobą zadanie do wykonania. Może jedno z najważniejszych w moim życiu.

ROZDZIAŁ 26

Postrzyżyny

Jeśli ktoś wyobraża sobie, że obcinanie włosów nożem, nawet naprawdę ostrym, jest łatwym zadaniem, to powinien spróbować to zrobić. Z braku własnych włosów może nawet posłużyć się długowłosą lalką Barbie. Może nie być oryginalna. W zupełności wystarczy podróbka z Chin. Chodzi o to, żeby miała trochę włosów. Ty miałaś ich więcej niż trochę. I wcale nie chciały poddać się ostrzu noża.

Łudziłem się, że załatwię sprawę jednym cięciem. Błyskawiczny ruch - jak w filmach o samurajach. Oni obcinali głowy, ja zrobię tak z włosami. Zebrałem je delikatnie w koński ogon... a potem...

- Poczekaj, może zaplotę je w warkocz - postanowiłaś w ostatniej chwili. - Będzie łatwiej je potem przechowywać, nie rozsypią się na wszystkie strony...

Tak, to był bardzo dobry pomysł. Zwłaszcza z punktu widzenia samuraja. Z warkoczem rozprawię się jeszcze łatwiej... przynajmniej tak mi się wydawało.

Nie rozprawiłem się. Podszedłem do sprawy jak japoński mistrz miecza, naprawdę. Naciągnąłem warkocz jedną ręką, a drugą - oczywiście prawą - wzięłem zamach nożem. Solidny zamach.

I nic. Może udało mi się przeciąć dwa włosy, może trzy. I tyle.

- Był za mało naprężony - uważałem, że problem tkwi w warkoczu. Naciągnąłem go jeszcze raz. I jeszcze.

I znowu nic.

- Przywiąż go do klamki - zaproponowałam.

- Jak mleczny ząb - roześmiałem się, mimo złości, wspominając łyzy, które lałem, kiedy uparta górna lewa czwórka wisiała trzeci dzień na jednym włosku. Ojciec nie wiedział, co ma zrobić. Nie dawałem mu się dotknąć i stanowczo odmawiałem wizyty u dentysty. Z opresji wybawiła nas dopiero sąsiadka, przychodząc z ciastkiem w czekoladzie w jednej dłoni, a mocną nicią w drugiej.

Teraz ja miałem wcielić się w dzielną sąsiadkę.

- Pewnie nie masz w domu nici - westchnęłam. Tym razem jednak nie miałaś racji! Miałem... no, nie

prawdziwe nici, ale kilka rzeczy, które mogły je zastąpić. Na przykład sznurek, którym wiązałem paczki, wysyłając książki do Włoch. Mediolańczycy przysłali mi w zeszłym roku omyłkowo zupełnie inny zestaw, nad którym pracował inny tłumacz w ramach innej umowy międzyrządowej. To była literatura węgierska, która czekała na przełożenie na włoski. Czterdzieści siedem największych dzieł, jakie powstały nad Dunajem. Z Imre Kerteszem na czele, oczywiście. Niestety, *Noblistę* czytałem tylko w przekładzie na polski. Bo nie znam ani słowa po węgiersku. No, oprócz „keszenem” czy może „kesenem”. To chyba znaczy: „dziękuję”. Napisałem więc „keszenem” i „grazie” i odesłałem dzieła. Obwiązane szarym sznurkiem w siedmiu paczkach. Trochę tego sznurka wciąż leżało w szufladzie. Miałem też żyłkę wędkarską, którą przywiózł kiedyś Jacek. Uznał, że spędzając weekend nad jeziorem, trzeba łowić ryby. A potem wypuścił wszystkie trzy, które udało mu się złowić, „bo tak błagalnie patrzyły”. W sieni została jednak wędka z całym kompletem haczyków i mnóstwem

żyłki. Żywa przynęta szczęśliwie dawno rozlazła się po okolicy.

- Żyłka jest śliska, sznurek będzie lepszy - orzekłaś. A więc wyjąłem z szuflady pozostałości po krótkiej

wizycie dzieł zebranych Węgrów w moim domu i przywiązałem warkocz do klamki. Odeszłaś od niej na dwa kroki. Wszystko było jak trzeba: włosy były napięte, ja miałem wolne obie ręce.

- Teraz na pewno się uda - uśmiechnąłem się i wziąłem zamach.

Warkocz ugiął się pod naciskiem noża, klamka się otworzyła, a ty wylądowałaś na podłodze.

Byłem przerażony. Przez krótką, okropną chwilę miałem wrażenie, że to już koniec. Nie ruszałaś się. Może guz, kiedy twoja głowa nagle została pociągnięta przez drzwi i chyba nawet o nie uderzyła, po prostu pękł? O ile takie guzy pękają?

- Chyba musimy zrobić to jakoś inaczej - otworzyłaś oczy i spojrzałaś na mnie, roześmiana i chyba odrobinę już zmęczona.

A więc zrobiliśmy inaczej. Na desce do krojenia chleba. Bez samurajskich zamachów.

- To się nazywa dydolić? - zapytałaś, kiedy mszałem nożem w prawo i lewo, jak drwal usiłujący ściąć drzewo tępą piłą. Jak ja, usiłujący ściąć konar starej jabłonki...

„Dydolić”? Nie używałem nigdy tego słowa. Ale chyba dobrze pasowało do tego, co się działo w mojej kuchni. Ty siedziałaś z odchyłoną do tyłu głową, z warkoczem na desce... a ja dydoliłem. Właśnie tak. Nie wiem, ile to trwało. Piętnaście minut? Dwadzieścia? Pot lał się ze mnie stmmieniami, ale wiedziałem, że to właściwa droga. Kolejne pasma włosów ustępowały pod naciskiem ostrza. Potrzebowałem tylko jeszcze odrobinę cierpliwości. Twojej i mojej.

- Ładnie - uśmiechałaś się do swego odbicia w lustrze. - Jak chłopak, co?

Moim zdaniem wcale nie wyglądałaś jak chłopak. Z włosami, z których każdy miał inną długość. Niektóre kończyły się tuż za uchem, inne sięgały prawie ramion... większość zaś dotykała twojej szyi śmiesznymi krzywymi pasmami. Wyglądałaś... wyglądałaś...

- Wyglądasz ślicznie! - stałem za twoimi plecami i też uśmiechałem się do tego odbicia w lustrze. W bardzo brudnym lustrze.

Wyglądałaś jak mała dziewczynka. Jak Chincezka. Nie wiem, skąd to skojarzenie. Nie miałaś skośnych oczu ani ciemnych włosów. Byłaś zbożowo-migdałowa. A jednak wtedy, przy lustrze, zobaczyłem nagle bardzo wyraźnie drobną chińską dziewczynkę idącą przez pole ryżowe z wiadrami w obu dłoniach.

Złapałem aparat i szybko zrobiłem kilka zdjęć. Byłaś na nich ty i twoje odbicie w lustrze. Były was dwie. Najpiękniejsze kobiety świata.

Ach, jak ja chciałem cię przytulić! Wiedziałem jednak, że nie powinienem. Że musimy poczekać. A poza tym... ta nagła myśl... Co ja tu właściwie robiłem? Dlaczego chciałem cię tulić? Przecież byłaś kompletnie obcą kobietą. Obcą i do tego chorą... Jaki sens miało to wszystko, co się ze mną działo? Chyba żadnego... Nie, nie było sensu szukać sensu. Liczyło się to, co mówiło mi serce. Że chcę cię przytulić. Tak bardzo, jak nigdy jeszcze nikogo, w całym moim życiu. Nie wolno odwracać się plecami i odchodzić, w imię sensu i rozsądku, kiedy dzieje się coś takiego.

- Dokończ to, co zaczęłaś - powiedziałaś.

Nie rozumiałem. Co miałem dokończyć? Przytulanie cię? Przecież nie zacząłem. Ja tylko bardzo chciałem. Naprawdę bardzo.

- Włosy - wyjaśniłaś, a przynajmniej tak ci się wydawało. Bo dla mnie nie było to żadne wyjaśnienie. Co niby z włosami? Przecież już je obciąłem, tak jak chciałaś. Miałem odciski na rękach. Warkocz leżał, rozciągnięty jak martwy wąż, na stole... nagle tak zupełnie do ciebie nie pasujący.

- Moja Chincezka - szepnąłem, a w mojej głowie Iggy Pop uparcie śpiewał *My Little China Girl*. - Wiesz, pewien facet napisał o tobie piosenkę...

A ty wcale się nie zdziwiłaś, tylko przesłałaś mi z lustra najpiękniejszy z uśmiechów. I najsmutniejszy. Twoje kąciki ust nie uniosły się nawet o milimetr.

- Musisz dokończyć. Ogolić mi głowę - powiedziałaś. - Masz chyba maszynkę?

Maszynkę, o dziwo, miałem. I to nie jedną. Nie byłem tylko pewny, jak spisie się w walce z tak długimi włosami. Mój zarost, nawet wtedy, kiedy nie goliłem się całymi tygodniami, był jednak ze sto razy krótszy. No ale chyba nie miałem wyjścia.

Usiadłaś na krześle, a ja znów stanąłem za tobą i delikatnie przeczesałem palcami twoje włosy. Pierwszy i ostatni raz, zanim znikną... Chciałem, żeby to trwało wiecznie, a jednocześnie wiedziałem, że jeśli zaraz nie przestanę, to już nie uda mi się wziąć maszynki do ręki. A przecież musiałem. Miałem do wypełnienia zadanie. Wzięłem więc głęboki oddech... potem drugi... i dotknąłem twojej głowy maszynką elektryczną. Na samym dole, tuż przy szyi, tam gdzie wyrastają pierwsze włosy. Bez skutku. Maszynka natychmiast zaplątała się w to krzywe zboże i zawyła przeraźliwie. A potem po prostu przestała działać.

- To już chyba nie masz maszynki - znów ten twój uśmiech w lustrze. Dlaczego uparłaś się, żeby patrzeć, jak cię golę?!

Przyniosłem z łazienki piankę do golenia i cały woreczek maszynek jednorazowych. Dziesięć sztuk

z potrójnym ostrzem, kupionych w czasie kilkudniowej awarii prądu ostatniej jesieni. Powinno wystarczyć.

Nacisnąłem granatowy guziczek. Metalowy pojemnik z pianką zaszumiał, a twoją głowę zaczęły pokrywać gęste, białe fale. Śmiałaś się i zakrywałaś oczy, kiedy rozprowadzałem pianę tuż nad czołem i za uszami. Gdyby ktoś patrzył na nas przez okno, myślałby pewnie, że jesteśmy parą zakochanych, którzy nie mają żadnych trosk i po prostu świetnie się bawią. I właściwie... właściwie tak było. Nie mieliśmy żadnych trosk. Poza trzydziestoprocentowym prawdopodobieństwem, że nie dożyjesz jutra.

- Wyglądam, jakbym miała tyfus - powiedziałaś, kiedy skończyłem, wytarłem z twojego policzka resztkę piany i szybko zrobiłem kilka zdjęć.

Nie mam pojęcia, jak wyglądają ludzie, którzy mają tyfus. Chyba mają jakieś plamy? Albo ropne czyraki? Albo inne równie okropne zmiany na skórze? Ty nie miałaś nic takiego. Wyglądałaś całkowicie zdrowo. I...

- Jaką ty masz malutką, kształtną główkę - nie oparłem się pokusie i pogładziłem ją w zachwycie szybkim, niezgrabnym ruchem.

Nie odpowiedziałaś ani słowem. Po prostu patrzyłaś w lustro, ucząc się swojej nowej twarzy. Twoje oczy wydawały się teraz dużo większe i bardziej błyszczące. Twoje kości policzkowe wystawały silniej niż przedtem. Twój mały nosek zrobił się nagle jeszcze bardziej ruchomy i zadarty. I jeszcze bardziej przypominał mi nosek małego, puchatego króliczka.

- Witaj Olgo - powiedziałaś do lustra.

- Witaj Olgo - powtórzyłem jak echo.

- Jestem nowa... zupełnie nowa - szepnęłaś. Chciałem zaprzeczyć. Powiedzieć ci, że jesteś taka

sama, jak przedtem. Że zawsze taka będziesz. Że jesteś kobietą, na którą czekałem przez całe życie. Kobieta całkowicie doskonałą.

Chciałem powiedzieć nawet więcej. Że bez względu na to, co się stanie, będę przy tobie, na zawsze. Nawet jeśli będziesz nieprzytomna, całymi latami. Zamieszkać w szpitalu i będę masował ci nogi, żeby zapobiec odleżynom. Jak ten pielęgniarz w filmie Almodovara. Będę siedział przy twoim łóżku i czytał ci książki. Bo jesteś teraz sensem mojego życia. Na zawsze.

Chciałem to powiedzieć... ale nie wiedziałem, jak zacząć. Żadne słowo nie wydało mi się dostatecznie dobre, żeby właśnie ono stało się pierwszym... Szukałem więc i szukałem... aż w końcu to ty odezwałaś się, w tej ciszy:

- Jestem bardzo głodna. Muszę coś zjeść teraz, bo sześć godzin przed operacją już mi nie będzie wolno. To ostatnia chwila. Masz coś do jedzenia?

Przez moment byłem zły, że się odezwałaś. Że przerwałaś mi przemowę, której nie zacząłem jeszcze wygłaszać. Gdybyś dała mi trochę więcej czasu, na pewno bym w końcu zaczął. Na pewno... Gdybym tylko znalazł to pierwsze, najważniejsze słowo.

Potem jednak minęła mi złość. Bo spojrzałem w twoje oczy i poczułem pewność, że ty to wszystko wiesz. To, że siedziałbym przy twoim łóżku i czytał ci książki, całymi latami, codziennie, gdyby tylko było trzeba. Byłem dla ciebie przezroczystry. Nie musiałem mówić. Ty wiedziałaś. Wiedziałaś wszystko. Kiedy to zrozumiałem, poczułem ulgę. Mogłaś mówić o czymkolwiek, o czymś kompletnie nieistotnym... a między twoimi słowami był ten właśnie komunikat. Że wiesz. Że wiesz, że cię kocham. Na zawsze. Komunikat... tak pięknie zawarłaś go między słowem „głodna” i „coś do jedzenia”. Tak pięknie...

Coś do jedzenia??? Czy ty naprawdę to powiedziałaś???

ROZDZIAŁ 27

Polanka

Już nie czułem ulgi. Czułem panikę. Chciałaś jeść! Natychmiast! Za kilkadziesiąt minut będzie już za późno! Muszę cię nakarmić! To był właśnie komunikat, który zawarłaś między słowami „głodna” i „coś do jedzenia”. Komunikat, który brzmiał po prostu: „Nakarm mnie”.

Przez dwa lata moje życie składało się z rozpaczliwych prób nakarmienia Adeli. Gotowałem, szykowałem... i wyrzucałem. Bo ona zawsze miała coś innego, ważniejszego, do zrobienia. Siedzenie w pracy do północy. Wypad na piwo z koleżankami. Albo na kolację. Kolacja z koleżankami w modnej knajpce z lustrem na suficie i z krzesłami obitymi zielonym futerkiem była zawsze ważniejsza niż to, że ja czekam z blinami z kawiozem. Chociaż uwielbiała kawior.

- Stać mnie na kawior, jak będę miała na niego ochotę, to po prostu go sobie kupię. Wtedy, kiedy będę sama chciała - powiedziała kiedyś, kiedy trzy dni z rzędu szykowałem bliny, a potem je wyrzucałem. Bo „już jechała” - i nigdy nie dojeżdżała.

Zawsze marzyłem o tym, żeby moja kobieta cieszyła się z tego, co stawiam na stole. Żeby mówiła coś w stylu: „Och, suflet! Jaki piękny! I jaki pyszny!”. Byłem gotów siekać, mieszać i gotować przez cały dzień, żeby

na koniec zobaczyć jej uśmiech. Uśmiech Adeli. Nigdy właściwie go nie zobaczyłem. No, może raz... kiedy upiekłem tort z napisem Zi-Zu na piątą rocznicę otwarcia wydawnictwa. Wtedy się naprawdę ucieszyła. Tylko wtedy.

Tak. Zawsze marzyłem, żeby moja kobieta powiedziała: „Nakarm mnie”. I nigdy tego nie usłyszałem. Aż do teraz. Byłaś głodna! Chciałaś jeść! Chciałaś, żebym dał ci obiad! A właściwie obiadokolację. Przyszłaś tu w nocy, bez śniadania... a ja przez cały dzień nie dałem ci nic oprócz herbaty. Sam, przez te miesiące samotności, sprawiłem, że mój organizm odczuwał już tylko głód alkoholu. Pusty żołądek już nie sygnalizował, że należałoby go napełnić. Stracił nadzieję, dawno temu. Ale twój żołądek chciał jeść, a ja kompletnie o tym nie pomyślałem. Od samego rana! Byłem idiotą!!! A w dodatku teraz, kiedy nareszcie to do mnie dotarło, nie bardzo miałem jak naprawić swój błąd.

W moim progu stałaś ty. Kobieta, na którą czekałem całe życie. Przy moim stole siedziałaś ty. Kobieta, która - wiedziałem to na pewno - umiałaby docenić mój suflet, bliny, łososa w sosie koperkowym, a nawet najzwyklejsze risotto milanese. Nawet kanapki z serkiem topionym! Kobieta, dla której zawsze chciałbym robić śniadania, obiady i kolacje. A ja nie miałem w domu nic oprócz miodu, starego masła i dwudziestu bułek w zamrażalniku.

- Zjesz bułkę z miodem? - zapytałem, mając ochotę zapaść się pod ziemię.

A potem zrozumiałem, że nie mogę dać ci nawet tej bułki. Ona się nie rozmrozi w dwadzieścia czy trzydzieści minut! Nie rozmrozi i już! Zawsze byłem przeciwnikiem mikrofalówek. Głosiłem wszem wobec, że jedzenie z nich jest plastikowe i że mikrofalówka uwłaczałaby mojej

godności miłośnika dobrej, tradycyjnej kuchni. Może to i była prawda... ale dziś akurat mikrofalówka uratowałaby moją godność, zamiast jej uwłaczyć. Mógłbym wsadzić bułeczkę na trzy minuty do kuchenki i wyjąć ją ciepłą i chrupiącą. Podałbym ci ją z rozplływającym się masłem... Tak, to byłoby jakieś wyjście. Nie taką kolację chciałbym ci podać, ale lepsza taka niż żadna. Z braku mikrofalówki zanosilo się jednak na to, że nie dostaniesz nic do jedzenia. Piekarnik chyba nie nadaje się do rozmrażania? A może? Może powinienem spróbować? Ale on chyba będzie się rozgrzewał ze dwadzieścia minut... Cholera!

- Nie mam w domu nic nadzwyczajnego do jedzenia - powiedziałem, usiłując ukryć panikę. - Skoczę samochodem do sklepu, dobrze? To zajmie tylko chwilę.

- To zajmie co najmniej trzydzieści pięć minut - pokręciłaś głową. - Pan Stanisław zamyka w tym tygodniu o piętnastej... Musiałbyś jechać do innego sklepu, w innej wsi. Co najmniej trzydzieści pięć minut, może nawet czterdzieści... Wtedy na przygotowanie i zjedzenie zostanie mi najwyżej kwadrans. Nie potrzebuję nic nadzwyczajnego. Daj mi to, co masz.

- A co mam? - usiłowałem przywołać na twarz błazeński uśmiech i desperacko otworzyłem drzwi szafki nad zlewem, wiedząc, że zobaczysz puste półki. I zobaczyłaś. Ale, o dziwo, na jednej z nich, wciśnięta w kąt, leżała zapomniana paczka makaronu. Penne rigate! Pewnie zostały po ostatniej wizycie Jacka i Marcina. Albo przedostatniej. Albo przedprzedostatniej... No ale w końcu makaron to nie jabłko, może leżeć nawet dwa lata!

Wstąpiła we mnie nadzieja. Makaron! W czasie stypendium w Rzymie żywiłem się głównie makaronem. Osiągnęliśmy, wspólnie z Ingiem z Niemiec i Martinem

z Anglii, mistrzostwo świata w niedodawaniu do makaronu niemal niczego - oczywiście z przyczyn finansowych. Nasze stypendia nie pozwalały na zbyt częste kaprysy, takie jak: mięso mielone, karczochy czy oliwki, nie mówiąc już o łososiu, tuńczyku albo anchois. Nie przyszło nam do głowy, żeby kupować na targu resztki, jak tamta staruszka, której pomagałem nad kanałem San Trovaso w Wenecji. Może to byłoby niezłe rozwiązanie? Nie wpadliśmy na nie jednak... i dlatego jadałaliśmy głównie spaghetti aglio e olio, czyli makaron z oliwą i czosnkiem. I parmezanem. Lub w wersji „dwa dni przed wypłatą stypendium” - bez parmezanu.

- Zrobimy makaron - uśmiechnąłem się. Makaron, który miałem ci podać, wcale nie musiał

być aż tak skromny. Miałem przecież oliwę. Czosnek. I puszkę pomidorów. Oczywiście włoskich. Oczywiście bez skórki. Dla mnie samego była za duża, więc jej nie otwierałem. A dla Jacka i Marcina nie chciało mi się gotować. Przywozili zarcie z chińskich budek albo pizzę, całkiem już zimną, zanim tu dotarli. Bo wiedzieli, że u mnie nic do jedzenia nie dostaną. Na szczęście kiedyś, przed ich wizytą, postanowiłem zrobić im niespodziankę i kupiłem paczkę makaronu... a razem z nią dziesięć butelek wódki. Kiedy wypilem pierwszą z nich, zapomniałem o makaronie. Wrzuciłem go do szafki. I dzięki temu teraz mogłem zrobić ci coś do jedzenia. Coś całkiem smacznego. Gdybym jeszcze miał jakieś zioła...

- Poczekaj chwilkę! - rzuciłem za siebie i wybiegłem z domu. Tuż przy płocie, w samym rogu, pod starą gruszą, która nie miała ochoty rodzić owoców, ale była zbyt piękna, by ją wyciąć, rok temu był ogródek ziołowy. Żeby Adela miała caprese z listkami młodej bazylii, masło ziołowe, makaron z pachnącą szałwią... żeby miała wszystko, na co miałaby ochotę. Gdyby miała.

Nie miałem nadziei, że z ogródka zostało cokolwiek. Przecież nie byłem tam od ubiegłej jesieni. Zioła chyba nie wysiewają się same? Chyba...

Przedarłem się z trudem przez chwasty wysokie do pasa. Gdy na nie patrzyłem, czułem, że moja nadzieja na znalezienie choćby jednej gałązki bazylii, szałwii, rozmarynu czy mięty jest kompletnie absurdalna. Przecież to były chaszczki! A jednak...

Odgarnąłem jakieś badyle, wysuszone słońcem, drapiące w palce... Za nimi osty... i pokrzywy... i nagle zobaczyłem coś, co mogłem nazwać tylko jednym słowem. Cud. Bo to był cud. Moim oczom ukazała się polanka. Otoczona ze wszystkich stron wysokimi, agresywnymi chwastami. Mała polanka, a na niej zioła. Prawdziwe zioła, wysokie, ciemnozielone... Były nawet ładniejsze niż w zeszłym roku! Mogłem zrozumieć, że wysiały się same, przecież bazylia, rozmaryn, mięta i melisa ubiegłego lata kwitły, zrzucały nasionka... Tak, to nie było nawet takie dziwne. To, że służył im kompletny brak opieki i podlewania też jakoś być może dałoby się wyjaśnić. To przecież było deszczowe lato... Ale to, że na tej ich polance nie było żadnych, najmniejszych choćby chwastów? Że chwasty były wszędzie wokół, ale nie wdarły się na polankę, jakby powstrzymywane niewidzialną barierą... lub wyrywane niewidzialną dłonią? Po raz kolejny poczułem na plecach oddech przeznaczenia. Tym razem nie był złowrogi, lecz ciepły i radosny.

To był twój oddech. Stałaś pół kroku za mną. Zapomniałem o twoich włosach. Na krótką chwilę wstrząsnęło mną to, jak wyglądasz. Bez warkocza, bez koka, bez wężła na karku byłaś taka mała. Taka bezbronna. I taka naga.

- Jaka ładna polanka - uśmiechnęłaś się. - Myślałam, że ty tylko pijesz i rozpaczasz, a ty uprawiasz sobie tutaj pod gruszą zielny ogródek.

- Nie uprawiam - powiedziałem zgodnie z prawdą. Ale nie jestem pewien, czy mi uwierzyłaś. Chyba sam sobie nie wierzyłem.

- Jak to ślicznie wygląda! Biały makaron i czosnek, czerwone pomidory, zielone zioła... Jak flaga włoska, prawda? - wpatrywałaś się w talerz zachwycona. Zachwycona zupełnie tak, jak w moich marzeniach. A nawet piękniej.

- Powinien być jeszcze parmezan - uśmiechnąłem się przeprasząco. - Też właściwie biały... nie zaburzyłby tej flagi.

- Ale zaburzyłby smak, na pewno - powiedziałaś z przekonaniem, choć jeszcze nie spróbowałaś ani jednego kęska. Choćby najmniejszego. Ani jednej malutkiej makaronowej rurki.

- Jedz - powiedziałem, unosząc widelec do góry. - Smacznego!

- To takie ładne, że aż szkoda zjeść, wiesz? - chciałem zachwytu, zgoda, ale bez przesady! Chciałem też, żebyś jadła, a nie tylko patrzyła.

- Powinno być jeszcze wino - westchnąłem. - Pinot Grigio, Orneto albo Frascati. Ale nie mam. Zresztą chyba przed operacją nie powinnaś... Nie powinnaś, prawda?

- Nie powinnam - pokiwałaś głową.

I nareszcie uniosłaś pierwszą porcję do ust. Wpatrywałem się w nie w napięciu. Nigdy na niczyjej opinii nie zależało mi tak bardzo, jak na twojej! Nigdy dla nikogo nie gotowałem obiadu tak kompletnie z niczego...

Uśmiechnęłaś się szeroko znad szklanki lodowatej wody ze studni.

- Myślałam, że moja starsza siostra, Lenka robi najlepszy makaron na świecie. Teraz już wiem, że nie robi.

Ale nie mów jej tego nigdy, dobrze? Sama kiedyś spróbuje, jak smakuje twój makaron... spróbuje i domyśli się wszystkiego.

Też się uśmiechnąłem. Nie z ulgi, że ci smakuje, ale z radości, że mówisz o tym, co będzie kiedyś, w przyszłości. Że planujesz, jak zjemy makaron. Ja, ty i twoja rodzina. Że nie żegnasz się z życiem.

- Jak będziesz im wysyłał zdjęcia, to napisz, żeby cię kiedyś odwiedziły, dobrze? I zrób im makaron... A one domyślą się, jak minął mi ten ostatni dzień. Zrozumieją wszystko. Zrozumieją, że umarłam szczęśliwa. One są wszystkie bardzo mądre.

Nagle przestałem być głodny. I spokojny. Uderzyłem widelcem w stół i krzyknąłem... Po raz pierwszy na ciebie krzyknąłem.

-Nie mów takich rzeczy! Nigdy nie mów takich rzeczy! Nie umrzesz! Jeszcze przez wiele, wiele lat! Nie wolno ci myśleć inaczej!

A potem zerwałem się z krzesła i wybiegłem z domu do ogrodu. Na polankę, na której jakimś cudem wyrosły dorodne zioła. Specjalnie dla ciebie, specjalnie na ten obiad. Wyrwałem je, w dzikim szale, jedno po drugim. Nie zostawiłem nawet jednej, najmniejszej roślinki. Podeptałem je, a potem zaniósłem na pomost i wrzuciłem do wody. Nie potrzebuję już ziół. Jeśli wrócisz... kiedy wrócisz... wtedy zasadzę nowe. Choćby to był środek zimy. Zasadzę i wyhoduję je w doniczkach na parapecie. Tylko dla ciebie. Jeśli nie wrócisz, nigdy już nie posadzę żadnych ziół. I nie pozwolę im wyrosnąć na żadnej polance pod gruszą. Nigdy!

ROZDZIAŁ 28

Ahawa

Kiedy wracałem do domu z nad wody, widziałem w oknie twój profil. Nie wybiegłaś do mnie, nie powstrzymałaś mnie. Po prostu stałaś i patrzyłaś. Wiedziałem, że nic nie muszę ci wyjaśniać, że wszystko rozumiesz. Jak to ty.

- Byłam bardzo głodna - powiedziałaś, gdy wszedłem do kuchni. - Wybacz, zjadłam też twoją porcję. To było takie pyszne. Najlepszy makaron, jaki jadłam w życiu. W ogóle najlepszy obiad, jaki jadłam w życiu. Kupimy ci coś na stacji benzynowej po drodze, dobrze? Wybacz... Chciałam najeść się na zapas.

Na szczęście nie powiedziałaś ani słowa o tym, że to był ostatni posiłek w twoim życiu. Pewnie bałaś się, że znów wybiegnę z domu. A przecież musieliśmy niebawem jechać. Mój maluch nie należy do zbyt szybkich i zrywnych zawodników. Do Warszawy będziemy pewnie tłukli się z pięć godzin. Po raz pierwszy zateśniłem za służbowym fordem, którym jeździłem pracując u Adeli. W nim byłoby ci wygodniej... i nie musielibyśmy jeszcze wyruszać...

Kiedy wychodziliśmy, zatrzymałaś się w progu i omiotłaś wzrokiem mój dom. A ja obiecałem sobie, że kiedy tu wrócisz, w całym domu będą pachniały zioła. Na ścianach będą wisały twoje zdjęcia. Na stole będzie

stała butelka leciutko musującego Colli Asolani, które zawsze miało dla mnie posmak migdałów. Będzie pasować do twoich oczu. I będziemy je pili zawsze, gdy będziemy chcieli coś uczcić. Zawsze.

- Musimy zabrać moją walizkę - powiedziałaś, kiedy wsiadaliśmy do samochodu. - Ukryłam ją kilkaset metrów od domu... od domu pani Józi. Gdyby weszła do mojego pokoju i zobaczyła, że pojechałam na Ukrainę bez walizki, od razu by coś zaczęła podejrzewać. A nie miałam siły z nią iść, te cztery kilometry... Przechowasz mi walizkę?

- Przechowam - pokiwałem głową. - Ale chyba w szpitalu też będziesz czegoś potrzebowała?

- Tylko bielizny... a potem książki do czytania. Ale to potem. Za dwa albo trzy tygodnie. Wcześniej nie pozwolą mi męczyć oczu. Mam małą torbę, też w krzakach. A w niej bieliznę, koszulę nocną i dwie książki. Nie wiem, czy mi wystarczą na cały pobyt w szpitalu. Ja szybko czytam.

- Przywiozę ci mnóstwo książek - obiecałem szczęśliwy, że nareszcie myślisz pozytywnie. O tym, co będziesz czytać za trzy tygodnie. Obawiałem się tylko, że robisz to ze względu na mnie. Żeby mnie uspokoić. Ale nie... przecież te książki pakowałaś zanim tu przyszłaś. Myślałaś pozytywnie już wtedy. Jak dobrze!

- I mam spinki do włosów, całe mnóstwo - nagle znów uderzyłaś w ten ton, którego tak się bałem. - Wyślij je moim siostram, dobrze? Przydadzą im się... Jedna jest zabytkowa. Najcenniejsza pamiątka rodzinna, jaką mamy. Nie powinnam jej zostawiać w tych krzakach. Jest bardzo stara. Z napisem *Ahawa*. Mój pradziadek zamówił ją u jakiegoś wiejskiego rzemieślnika dla mojej prababci. Był Żydem... miał na imię Joachim. *Ahawa* to znaczy miłość, wiesz?

Nie wiedziałem, oczywiście. Skąd miałbym to wiedzieć?

Natychmiast polubiłem twój ego pradziadka. Joachim... To stąd to imię dla syna!

Ahawa... Chciałbym dać ci coś równie pięknego. Ale nie wiedziałem, co by to mogło być.

Wysiadłem z samochodu, żeby zamknąć bramę, i nagle zmieniłem zdanie. Pobiegłem do domu. Ze sterty papierów na biurku wygrzebałem to, czego szukałem, zrzucając oczywiście połowę książek na podłogę. Nie miałem oryginału. Trudno. Dostaniesz tłumaczenie. Na język suazi. Na razie tylko tłumaczenie. Odręczne. Poplamione piwem. Nie mogłem niestety równać się z twoim pradziadkiem.

- Najpiękniejszy sonet, jaki Petrarca napisał dla Laury - wyjaśniłem, patrząc w twoje zdumione oczy. - Przepraszam, że w niezrozumiałym języku... Przetłumaczyci ci od razu?

- Nie - pokręciłaś głową, roześmiana. - Poczekam... Przetłumaczysz mi go w szpitalu. Jak już będzie po wszystkim.

Uśmiech zamarł ci na ustach. Mi też. Bo obydwójce zrozumieliśmy, że zawarliśmy pakt. Będziesz żyła. A ja będę tłumaczył. Skończę swoją pracę na czas. Przetłumaczę wszystko. Dla ciebie.

Milczeliśmy przez dziesięć minut.

- To najpiękniejszy prezent, jaki dostałam - powiedziałaś, kiedy wyciągaliśmy z krzaków twoją wielką walizkę i małą torbę, w której miałaś koszulę nocną, bieliznę i dwie książki.

- Wszystko mokre - odpowiedziałem, trochę nie na temat.

Uchyliłem tę twoją torbę, żeby zobaczyć, jakie książki chcesz przeczytać w szpitalu. Pierwsze książki po

przebudzeniu. Pierwsze w nowym, bezpiecznym życiu, bez bomby zegarowej tykającej pod czaszką.

Nie dowiedziałem się, jakie to były książki. Niewiele z nich zostało. Rozmiękły... Posklejane, nieczytelne kartki rozpadały się w palcach. Nie miałaś już co czytać po przebudzeniu.

- Jutro rano, jak już będzie po wszystkim, jak już powiem ci „dzień dobry”, od razu pojedę do *Empiku* i kupię ci książki. Mnóstwo książek - obiecałem. - Albo jeszcze dziś. Zanim jeszcze zacznie się operacja. Wolisz po polsku czy po rosyjsku? Bo ukraińskich chyba tam nie mają...

- Wolę po polsku. I wolę jutro - powiedziałaś spokojnie. - Dziś bądź przy mnie, dobrze?

- Dobrze - niewidzialna ręka ścisnęła mnie za gardło. - Dobrze... nie ruszę się ani na krok spod tej sali operacyjnej.

- Dziękuję - ciebie chyba też ścisnęła inna niewidzialna ręka. - Szkoda tylko, że przywitam cię jutro z gołą pupą. Moje majtki po tej ulewie też nie nadają się do założenia. To nie było mądre, zostawić tę torbę w krzakach...

- Zadzwoń z drogi do Jacka - powiedziałem. - On to załatwi. Przywitasz mnie w najpiękniejszej bieliźnie świata.

A potem przez krótką chwilę, mgnienie oka zaledwie, dotknąłem twego kolana. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Wielki, ciężki, w metalowych butach. Czuję wyraźnie jego podkute podeszwy tuż obok kręgosłupa. Widać tak się objawia *ahawa*.

ROZDZIAŁ OSTATNI

Aqua di Gio

- Czujesz? - zapytałaś.

- Co? - mruknąłem przez sen.

- Czujesz ten zapach arbuza? Skąd tu arbuzy w grudniu? Przecież to nie sezon na arbuzy.

- Może to nie arbuzy? - momentalnie otrzeźwiałem i usiadłem na łóżku. - Może to tylko jakiś podobny zapach. Sezon na arbuzy skończył się już dawno, dawno temu. W sierpniu, kiedy tu przyszłaś.

- To zapach arbuza - powiedziałaś stanowczo. - Tylko co może pachnieć arbuzy w taką mroźną noc? Przecież nie drewno w piecu?

- To pachną moje marzenia - w ciemności przytuliłem się mocno do twoich pleców. - Marzenia o śniadaniu, które podam ci latem na tarasie. Będzie upał, od samego świtu. Pójdiesz popływać, a kiedy wrócisz, na stole zobaczysz grzanki, słoik miodu, do którego będą się dobijać osy, dzbanek soku pomarańczowego i grube plastry arbuza na białym talerzu.

- Po co osy miałyby się dobijać do ukrytego za szkłem miodu, skoro będzie arbuzy? - roześmiałaś się, wypełniając śmiechem cały dom, tak jak potrafisz tylko ty.

- A po co my mielibyśmy czekać do lipca? - wstałem z łóżka, a potem owinałem cię w kołdrę i wyniosłem na dwór. - Chodźmy na taras już teraz, na nasze śniadanie.

- Wariat! - zawołałaś, łaskocząc mnie w twarz swoim odrastającym językiem.

- Zakochany wariat - prychnąłem, wtulając nos w twoje włosy, cudownie miękkie i drapiące jednocześnie. Jak łany zboża. Niskiego, młodego, wiosennego zboża.

Nie wypuszczając cię ani na moment z objęć, łokciem otworzyłem drzwi na dwór. Noc była szmaragdowa. Tak pomyślałem. Nie mam pojęcia, czy szmaragdy naprawdę mają taki odcień, ale to bez znaczenia. Tafla jeziora migotała milionem kolorów. Płatki śniegu wirowały w powietrzu, zalepiając nam oczy i usta.

Ostrożnie ułożyłem cię w kokonie z kołdry na deskach i usiadłem nagi tuż obok, na lodowatym pomoście.

Wiatr szarpał ogrodzeniem.

- Słyszysz? - szepnęłaś, strącając płatki śniegu z twarzy. - Zupełnie jakby ktoś chodził po ogrodzie z takim metalowym wiatraczkiem. To chyba nie był tak naprawdę metal, tylko gruba folia... Pamiętam, wujek kupił mi taki wiatraczek kiedyś na odpuscie...

- Olga! Moja kochana! - wzruszenie odebrało mi głos. Jak mogłem być takim idiotą? Jak mogłem nie wiedzieć, że to na ciebie czekałem całe życie? Jak mogłem choć przez chwilę myśleć, że Adela to ty?

- Już nie pachnie arbuzem - powiedziałaś, wystawiając palec przed siebie i łapiąc płatek śniegu. - Szybko, jedz zanim ostygnie. To znaczy, zanim się roztopi. To nasze śniadanie na tarasie. Tak jak chciałeś.

- Jeden płatek chyba mi nie wystarczy - ucałowałem twój palec, z paznokciem krótko opiłowanym w kształt migdałka. - Potrzebuję ich więcej... dużo więcej...

Karmiliśmy się gęstniejącym śniegiem przez kwadrans, może dłużej.

Nagle pociągnąłem nosem.

- Tu pachnie świeżymi ogórkami obranymi ze skórki

- powiedziałem. - Czy mamy je w menu naszego śniadania?

- To moje perfumy, wariacie - roześmiałaś się. - Sama kiedyś złapałam się na myśli, że pachną ogórkami. Moja koleżanka z Anglii... byłyśmy razem na stypendium, kiedyś ci opowiem... ona nawet mówi na nie *Cucumba*. Wiesz, *cucumber* to po angielsku ogórek... Jasne, że wiesz. Sama czasami myślę o nich *Cucumba*.

Cucumba... Nie *cucurba*... *cucumba*... *cucumbita*... Jedna litera, tylko jedna... a taka różnica! Arbuz i ogórek... Adela i Olga... Arbuzowy sezon... Sezon ogórkowy... Spokojny, niemal nudny sezon ogórkowy. Dzień podobny do dnia. Niech tak będzie już zawsze. Niech sezon ogórkowy trwa do końca świata! Najnudniejszy sezon, kompletnie bez żadnych niespodzianek!

- *Cucumba* - powtórzyłem, roześmiany.

- Tak na to mówimy z Melany - szepnęłaś ze swojego kokonu. - Ale tak naprawdę to *Aqua di Gio* Armaniego.

- *Aqua di Gio*? Tak po prostu podajesz mi ich nazwę?

- nie mogłem w to uwierzyć. - Pokażesz mi butelkę?

Pokiwałaś głową, nie wiedząc, o co mi chodzi.

A ja wziąłem cię na ręce i pobiegłem do domu, po puchatym świeżym śniegu. Chciałem zapytać, czy za mnie wyjdiesz, czy będziemy mieli dzieci, urodzone o świcie, i czy pokochasz ten dom. Ale nie musiałem. Nie musiałem pytać o nic. Znałem wszystkie odpowiedzi. I nie musiałem nawet szczytać się w ramię, żeby sprawdzić, czy istniejesz.